

PAN SAMOCHODZIK i... WYSPA SOBIESZEWSKA

WSTĘP

Kar! miał siedem lat. Umiał trochę czytać, napisać kilka słów i liczb. Wiedział, że urodził się na rok przed wybuchem wojny, która teraz niespodziewanie nadeszła do niego z pierwszymi mroźnymi dniami. Śnieg i mróz stały się oznaką złych wiadomości. Najpierw pewnej zimy do drzwi mieszkania w bloku na Oliwie zapukał jakiś mężczyzna w mundurze. Jego wysoką funkcję podkreślały fantazyjne szlaczki na pagonach i odznaczeniach. Kar! miał wtedy cztery lata. Z otwartymi ustami słuchał opowieści tego oficera o tacie, który zniszczył kilka bolszewickich czołgów. Zapytał wtedy, co to znaczy „bolszewickich”? Mama, pogodna brunetka pracująca w jakimś urzędzie w mieście, nie wiedziała co powiedzieć. Kar! widział, jak drżą kąci jej ust, a na jednej z rzęs wisi wielka kropla. Chciał prosić mamę, żeby nie płakała, ale wtedy oficer krótko powiedział: „Bolszewicy to ludzie, którzy zabili twojego tatę”. Mama Karła nie wytrzymała i ukryła w dłoniach twarz mokrą od łez. Oficer poklepał chłopca po ramieniu mówiąc: „Twój tata był prawdziwym bohaterem”. Kar! popatrzył na gościa, który powstał z fotela.

— To znaczy, że tata jest teraz aniołkiem? — zapytał chłopiec.

— Tak, chłopcze — oficer głęboko westchnął i sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyjął niewielkie czarne pudełko. Kar! w podobnym pochował żółtego kanarka Czoko w ogródku dziadka, pod wiśnią. — To odznaczenia twojego taty, trzymaj je i bądź z niego dumny — mężczyzna położył opakowanie na stole i wyszedł salutując na pożegnanie.

Tego wieczora mama Karła płakała. Łzy ciekły jej po policzku nawet wtedy, kiedy przyszły do niej sąsiadki zapraszając do siebie na świąteczną wieczerzę. Kar! dostał wtedy dużo prezentów. Po Nowym Roku mama Karła wywoziła go do dziadka, rybaka mieszkającego nad Martwą Wisłą, na południe od majątku Kronenhof.

Następnej zimy listonosz Giinter Hafen przyjechał do chałupy dziadka przynosząc z Gdańska tragiczną wiadomość — mama Karła zginęła w czasie nalotu na miasto gdzieś w Niemczech. Dziadek Karła, Clemens, poprosił wnuka, by wyszedł do drugiego pokoju. Kari przez zamknięte drzwi słyszał, jak listonosz i rybak coś szepotali. Po wyjściu Hafena dziadek nie płakał. Siedział na taborecie przy piecu i scyzorykiem strugał jakiś patyk.

— To zostaliśmy sami, tylko ty i ja — powiedział dziadek Clemens.

— Mama jest w niebie z tatą? — upewniał się chłopiec.

— Tak — dziadek pokiwał głową.

— A co mam zrobić, żeby być teraz z mamą i tatą? Muszę się zabić?

— Nie gadaj głupstw! — warknął dziadek.

Od tej chwili Kar! zawsze towarzyszył dziadkowi. W czasie zimnych poranków, kiedy wyżyli na połowy. W upiorne letnie wieczory, kiedy śmierdząc łuskami i dymem wędzili ryby. Karla najbardziej przerażały długie i tłuste węgorze. Słyszał od kolegów, dzieci innych rybaków, że węgorze lubią wpływać przez otwarte usta do wnętrza ciała topielców. Te dziwne ryby, przypominające węże lub miniaturowe morskie smoki, przerażały Karla tym bardziej, że kojarzyły mu się z pijanymi żołnierzami z karczmy. Przyjeżdżali w te okolice ranni, żeby wyzdrowieć. Kari chodził do karczmy, bo miał nadzieję, że tata nie zginął, tylko jest ranny i szuka go. Wolfgang, kilkunastoletni syn kucharki, mieszkający gdzieś w okolicach Góry Mew, opowiedział Karłowi, że tak się raz wydarzyło. Kar! widział, jak żołnierze pili wódkę i wypite szklanki alkoholu zagryzali kawałkami węgorzy.

Chłopiec pamiętał smród potu, wódki, ryb, chrapliwe śmiechy żołnierzy podszczypujących kelnerki.

Teraz, kolejny rok i kolejna zima przyniosły smutne wiadomości z frontu wschodniego. Od strony bolszewików wciąż słychać było grzmot dział. Po szarym niebie dostojnie przesuwwały się samoloty z czerwonymi gwiazdami. Tydzień temu Kar! stał na wale z patykiem w ręku i wtedy nad Wisłą pojawił się jeden z tych samolotów. Kari widział sylwetki dwóch pilotów w kabinie. Przymierzył kij do ramienia.

— Tratatata! — wrzasnął strzelając do wroga.

Piloci zobaczyli go. Pomachali do chłopca i zrobili unik przed wymyśloną serią z karabinu. Nagle z nieba, prosto w kierunku Karla spadł grad pocisków. Śnieg jakby się zagotował. Twarde, zmarznięte grudki ziemi uderzyły o ubranie zastygłego w bezruchu Karla. Nad głową chłopca przemknął myśliwiec i poleciał na zachód.

— Co ty wyprawiasz? — Wolfgang nagle pojawił się obok Karla. — Mogłeś zginąć! Na zebraniu Hitlerjugend mówili, że bolszewicy z głodu potrafią jeść ludzkie mięso. Nie mają litości dla nikogo, ani dla kobiet, ani dla dzieci. Wiesz co? Opowiem o twoim wyczynie jednemu znajomemu. Wystraszyłeś załogę „szturmownika”. Tak Sowieci mówią na takie samoloty jak ten, do którego strzelałeś z kija — Wolfgang roześmiał się.

Kari widział na piersi kolegi błyszczącą odznakę świadczącą, że Wolfgang przeszedł specjalne szkolenie w obsłudze dział przeciwlotniczych. Wolfgang wyjął spod czapki dwa papierosy marki „Yuno”.

— Chcesz? — zapytał Karla.

— Nie — Kari przełknął ślinę.

Gdyby zapalił, poczułby się jak mężczyzna, ale kiedyś wciągnął do płuc dym wydmuchiwany przez dziadka, który palił fajkę. Kari potem długo krztusił się i strasznie gryzło go w oczy. Bał się kompromitacji, więc odmówił. Ukryli się za wierzbami i tam Wolfgang wypalił papierosa.

— Skąd je masz? — Kari zapytał.

— Od wujka Alberta — Wolfgang uśmiechnął się. — Mogę chodzić wszędzie, między innymi do specjalnych bunkrów, jakie kazał wykopać. Tam jest wszystko! Karabiny, granaty, jedzenie, papierosy, są nawet jakieś skrzynie z obrazami, dzbankami, jakimiś książkami i papierami. Co tylko chcesz! Chciałbyś to zobaczyć?

Kari pokiwał głową. Od tamtej rozmowy minęły dwa tygodnie. Teraz Kari biegł ścieżką wydeptaną w śniegu na pomoc, przez pola, w stronę lasu nad morzem, gdzie miał spotkać Wolfganga.

— Hecht! — gefreiter grenadierów obejrzał się za siebie. Westchnął prężąc się jak struna. Nadchodził młody porucznik Steif, owoc kilkutygodniowego szkolenia oficerskiego. Mógł służyć jako wzór aryjskiej urody. Jeszcze nosił na sobie regulaminowe okrycie. Nie zawijał szala na uszy chroniąc się przed dotkliwym zimnem i wiatrem prosto z Zatoki Gdańskiej.

— Tak jest! — Hecht krzyknął, ale nie było w tym zawołaniu gotowości wykonania rozkazu, tylko niewypowiedziane pytanie: „Czego znowu chcesz?!”.

Hecht to było przewisko, najlepsze, jakie mogli wymyślić koledzy dla chłopaka z Lecu w sercu Prus Wschodnich, między wielkimi jeziorami. Hecht był typem człowieka-drapieżnika. Potrafił całe dni leniuchować, nic nie robić, ale kiedy nadchodził czas walki, to Hecht potrafił upolować najwięcej wrogów. Był mistrzem w przygotowywaniu zasadzek i ustalaniu pozycji strzeleckich. To on dowodził plutonem w 12. pułku grenadierów. Z tymi samymi żołnierzami przeszedł szlak bojowy od Francji do Rosji. To właśnie tam, po bitwie pod Kurskiem został zdegradowany za pobicie oficera artylerii z dywizji pancerniej Waffen-SS za to, że artylerzyści nie chcieli wspierać ogniem grenadierów Hechta. Jego wspaniale zapowiadająca się kariera legła w gruzach i od tej pory nie miał

szans na stopień oficerski. Miał jako podoficer dalej służyć w swojej kompanii. Stanowisko dowódcy plutonu było wolne od roku. To Hecht ścisnął dłoń generała Dietricha von Sauckena, kiedy ten 5 maja 1944 roku wizytował ich batalion odchodząc na stanowisko dowódcy XXXIX Korpusu Pancernego. Von Saucken mógłby nosić przydomek „suchar” w przeciwieństwie do Clemensa Betzela, jego następcy jako dowódcy 4. dywizji pancerniej. Betzel często uśmiechał się. Żołnierze widzieli, jak ich generał dbał o ludność cywilną, niekiedy kazał bronić jakiejś pozycji tylko dlatego, by drogą zdążyła przejechać kolumna uchodźców. Betzel podobno dostał Steifa wbrew swej woli i rzucił go do plutonu Hechta wiedząc, że tam niedoświadczony, palący się do walki oficer dostanie dobrą szkołę dowodzenia albo zginie. Steifa nikt nie lubił, bo potrafił cofnąć przepustki za noszenie nieprzepisowej bielizny. On nigdy nie był w Rosji! Weterani z niedowierzaniem kręcili głowami słysząc rozkazy Steifa i w ogniu walk w Kurlandii słuchali porucznika, ale wykonywali rozkazy Hechta.

Po Bożym Narodzeniu 1944 roku całą dywizję przerzucono z Kurlandii do Gdańska. Walczyli na podejściach do miasta ponosząc ogromne straty.

— Hecht, chodźcie za mną — porucznik przyzwyczał się do postawy, jaką reprezentował ten zdegradowany oficer. Był przekonany, że Hecht poniósł zasłużoną karę i z pewnością nie nadawał się na oficera.

Steif poprowadził Hechta dwieście metrów za zagajnik świerków. Stała tam gromada młodych ludzi. Kilku mogło mieć najwyżej siedemnaście lat. Wszyscy patrzyli na dwóch przybyłych z mieszaniną strachu, nadziei i oddania.

— Będziesz nimi dowodził — Steif nie potrafił ukryć złośliwego uśmiechu. — Awansowałeś na obergefreitera. Powodzenia! Wieczorem zajmiecie pozycje koło drugiego plutonu. Będziecie osłaniać stanowisko Stuga.

Steif zasalutował i odszedł. Hecht popatrzył na swoich podwładnych. Mieli przepisowe sorty mundurowe, byli uzbrojeni w karabiny. Każdy miał pancer-faust i dwa granaty. Młodzi żołnierze bez żadnego rozkazu ustawili się na zbiórce. Hecht szybko policzył ich wzrokiem. Było ich szesnastu.

— Jest mi niezmiernie przykro, że będę wami dowodził — przemówił. Młodzieńcy pobladli, a część nerwowo roześmiała się. — Tak, zanim dobrze poznam wasze nazwiska, będziecie martwi lub w najlepszym wypadku ranni. Możecie mieć jednak taką ranę, która spowoduje tylko przedłużające się katusze, a nikt was nie wyleczy, bo zabrakło lekarstw. Jeden gefreiter z dwójką weteranów jest więcej wart niż cała wasza gromada. Dlatego jest mi przykro, że będę wami dowodził, bo z żadnym z was nie napiję się piwa po wojnie. Wiecie, po co tu jesteście?

Hecht widział, że kilku z odznakami Hitlerjugend chciało wyrwać się z patriotycznymi frazesami, ale zrezygnowało. Reszta nie wiedziała, co powiedzieć. Wreszcie jeden nieduży rudzielec z nosem jak młody kartofel wyprężył się.

— No?! — Hecht podszedł do niego.

— Chcę bronić się, by uratowały się moja mama i Luiza — chłopak wyrzucił z siebie.

— Kto to jest Luiza?

— Moja narzeczona.

— Masz jej zdjęcie?

Rudzielec poczerwieniał na twarzy, ale posłusznie sięgnął do kieszeni munduru i wyjął portfel, a z niego zdjęcie. Przedstawiało uroczą dziewczynę z promiennym uśmiechem i wstążkami wplecionymi w długie włosy, opadające falami na ramiona okryte sukienką w kwiaty.

— Jak się nazywasz? — Hecht zapytał oddając chłopakowi fotografię.

— Fryderyk Regenwetter!

— Fryderyk jako jedyny z was ma dość mocną motywację, by walczyć — Hecht stanął przed swoimi żołnierzami. — Od dziś on jest moim zastępcą. Idziemy!

Długą, milczącą kolumną maszerowali przez las i wzgórze na pozycję. Po drodze

każdy z nich w polowej kuchni dostał wodnistą zupę, pół bochenka chleba, dwa pęta kiełbasy i konserwę mięsną. Po zmroku zakradli się do okopu koło działła szturmowego. Hecht każdemu z żołnierzy wyznaczył stanowisko, a sam poszedł do dowódcy pojazdu. To był trzydziestoletni sierżant, z którym znali się od miesiąca. Przywitali się, wypalili papierosy w ciasnym, ale ciepłym wnętrzu maszyny i rozstali się. Wiedzieli, że mieli tylko kilka godzin spokoju. Sowieci atakowali zwykle o świcie...

Kar! zgrzał się i odpoczywał na poboczu drogi. Mijały go wozy uciekinierów skrzypiąc źle nasmarowanymi osiami, stukotem kopyt końskich zagłuszających krzyki mew. Z rzadka po drodze przetoczył się samochód osobowy, niekiedy ciężarówka. Chłopak chwilę odpoczął i pobiegł pod górkę, na przełaj do płotu. Kiedy znalazł się przy siatce otaczającej willę, włożył palce do ust i zagwizdał. Wolfgang pojawił się po kilku minutach, rozejrzał się na wszystkie strony i dał znak Karłowi, że może przechodzić. Kar! przeczołgał się pod ogrodzeniem, któreśdy Wolfgang czasami uciekał mamie. Weszli do willi mijając wartownika obojętnie patrzącego na nich. Nie było wuja Alberta i Wolfgang pokazywał koledze piękne sale, gdzie bywali najważniejsi ludzie w kraju, pomieszczenia tak ciepłe i przytulne, a jednocześnie napełniające każdego Niemca dumą.

Potem poszli do bunkrów, labiryntem między barakami, namiotami, szafasami, ziemiankami. Wolfgang nie kłamał, bo rzeczywiście podziemia były wypełnione wszelkimi możliwymi dobrami. Kari wziął z kartonu puszkę z tytoniem, dla dziadka. Kiedy wychodzili z podziemi, zatrzymał ich młody żołnierz SS.

— Stać, kim jesteście? — wymierzył w nich pistolet maszynowy. — Co tu robiliście?

Kar! pomyślał o puszcze tytoniu, że będzie rozstrzelany za kradzież.

— Moja mama pracuje w willi — Wolfgang próbował się tłumaczyć.

— Bolszewicy wyszkolili takich małych szpiegów? — żołnierz powoli zaciskał palec na spuście.

— Co tam masz? — zza drzew wyszedł podoficer. Popatrzył na zastaną scenę, chwycił lufę broni i przesunął ją w dół. — Zostaw ich, to Wolfgang, syn kucharki gauleitera. Zmykajcie i nie kręćcie się tu!

Chłopcy pobiegli do willi. Tam w kuchni było ciepło. Wolfgang znalazł kawałek chleba i sera. Poczęstował kolegę.

— Zaczęli pilnować tego jak bunkra na Gradowej Górze — Wolfgang zamyślony żuł chleb. Potem nastolatek podszedł do szafki. Wyjął z niej wojskowy plecak. Był ciężki. — Weź to. Przyda się, kiedy przyjdą trudne czasy — powiedział do Karla. — Zmykaj do domu, żebyś nie wracał zupełnie po ciemku.

Wolfgang odprowadził kolegę do siatki. Pomógł mu przejść pod nią.

— Żegnaj! — Wolfgang pierwszy raz użył tego słowa rozstając się z Karlem.

Rosjanie rzadko łamali tę zasadę i atakowali przed świtem. Hechta obudził pojedynczy wystrzał. Otworzył oczy i nie ruszając się z dna okopu próbował zorientować się, co się dzieje. Powoli podniósł się z dna rowu i wyjrzał zza wału ziemi na przedpiersiu. Przed nim na białych łąkach śniegu widział poruszające się cienie piechurów. Zerknął w kierunku Sługa. Sierżant siedział we władze, przy karabinie maszynowym. Czekał na odpowiedni moment. Młodzi żołnierze gramolili się na pozycje. Hecht posłał rozkaz, by nie strzelać i czekać na sygnał.

Hecht odwinął ze szmat swój karabinek szturmowy. Przed sobą ułożył dwa granaty trzonkowe i czekał. Kiedy Rosjanie byli pięćdziesiąt metrów od niemieckiej linii obrony, Hecht zaczął odkręcać bezpiecznik pierwszego granatu. Rzucił go, kiedy atakujący byli trzydzieści metrów od niego. Natychmiast posłał drugi, a potem chwycił za karabin. Strzelał ogniem pojedynczym starannie celując. Z boku zajazgotał karabin maszynowy Stuga. Młodzi żołnierze chaotycznie strzelali. Piechurzy padli na ziemię dwadzieścia metrów od okopów. Zrobili najgorszą rzecz z możliwych. Będąc tak blisko powinni byli rzucić się do ataku i

szukać szczęścia w walce wręcz. Hecht ze złością patrzył, jak jego podopieczni próbowali trafić w Rosjan. Zamilkł karabin maszynowy i wtedy Hecht usłyszał dźwięk, który bardzo go zaniepokoił. Zza wzgórza, pięćset metrów przed nimi wyjechały czołgi. To były sławne rosyjskie T-34.

Hecht przebiegł wzdłuż linii obrony. Nie zwracał uwagi na zabitych. Zebrał dwa pancerfausty. Ocalałym żołnierzom powiedział, by strzelali z pancernych pięści, kiedy czołgi będą sto metrów od okopu.

Zagrzmiało działo Stuga. Po chwili słychać było, jak pocisk rykoszetował od pancerza czołowego jednego z trzech T-34. Rosjanie zatrzymali się. Oddali salwę. Tylko jeden pocisk trafił w pobliże działa szturmowego.

— Strzelajcie do piechoty! — Hecht krzyczał do swoich żołnierzy. Wiedział, że działo będzie stanowiło ich jedyną osłonę przed czołgami, a oni muszą bronić Stuga przed piechurami uzbrojonymi w granaty i ładunki wybuchowe. Sierżant wreszcie dobrze wycelował i trafił jadącego z lewej T-34, kiedy rosyjski czołg pokonywał jakiś wał ziemi i przez moment odsłonił spód. Stał się wbijając lufę w ziemię.

Rosjanie odpowiedzieli salwą. Tym razem jeden z nich trafił w boczny pancerz Stuga odrywając pancerną płytę ze specjalnego fartucha ochronnego. Działo odpowiedziało drugim celnym strzałem, tym razem tuż pod jarzmem lufy rosyjskiego czołgu. Widać było, jak czołgiści próbowali obracać wieżyczką. T-34 dalej pędził przed siebie otwierając ogień z karabinów maszynowych. Nagle z ziemi zerwał się piechur z wiązką granatów. Hecht przymierzył i trafił go krótką serią. W miejscu, gdzie padł Rosjanin, pozostał wielki lej po wybuchu ładunku. Ostatni T-34 nie zatrzymując się strzelił. Nie trafił, ale był już sto metrów od okopów. W tej chwili poszybowały w jego kierunku trzy ładunki z pancerfaustów. Czołg stanął. Czwarty strzał przypieczętował jego los.

Trzeci rosyjski czołg gnał i siał pociski z karabinów maszynowych. Hecht wystrzelił ze swojej pancernych pięści. Trafił we właz kierowcy. Czołg zakołysał się, stanął i wtedy uderzyły w niego kolejne pociski. Pojazd eksplodował. Rosyjska piechota wycofała się w popłochu.

Hecht zapalił papierosa opierając się o ścianę okopu. Sierżant ze Stuga wychylił się z włazu i rzucił manierkę. Hecht łąpczywie napił się wódki i oddał naczynie.

— Dobra robota! — Hecht pochwalił obsługę działa.

— Im też nieźle poszło, jak na pierwszy raz — sierżant uśmiechnął się.

— Tak — Hecht smutno pokiwał głową.

— Fryderyk! — zawołał zastępcę.

Rudzielec przybiegł ścierając z czoła kurz i poprawiając oporządzenie.

— Policz, ilu mamy zabitych i rannych — Hecht kucnął w okopie. Regenwetter wrócił po dwóch minutach.

— Czterech zabitych i trzech lżej rannych — zameldował.

— Zbierzcie amunicję i wszystko to, co może się nam przydać. Zabitych odnieść sto metrów do tyłu. Rannych opatrzcie. Przygotujcie się do odwrotu.

— Czemu? Przecież ich odrzuciliśmy!

— Wróć tu w dzień lub wieczorem. Będzie ich dwa razy więcej. Ostrzelają nas z dział, przysła samoloty...

Dwie godziny po walce przyszedł rozkaz do wycofania się. Hecht wyprowadził swój oddział do Gdańska. Walczył o dworzec, z rosyjskim przyczółkiem w fabryce chemicznej na Stogach, potem na Mierzei, blisko Pillau. W okolicach Bramy Oliwskiej zginął dowódca dywizji, a jego ciało przetransportowano na wyspę, za Martwą Wisłę. Hecht dotarł do grobu generała z trójką żołnierzy. Był wśród nich i Fryderyk. W czterech stali przy skromnym krzyżu obok drewnianej willi. Była wiosna. Podobno Rosjanie otoczyli już Berlin, podobno ktoś tam dowodził obroną. Mało kogo na wyspie to obchodziło. Wąski pas nadbrzeżnego lasu był wypełniony ludźmi, którzy usiłowali ewakuować się na Hel, skąd odpływały statki do Niemiec. Tu już nikt nie myślał o walce. Może tylko kilku SS-manów pilnujących czegoś w

lesie.

— Tu nasza wojna się kończy — powiedział żołnierzom. Dwa miesiące walk uczyniły z nastolatków o wiele starszych, wychudzonych mężczyzn. Nie przypominali regulaminowo wyposażonych żołnierzy. Mauserzy zastąpiły karabinki szturmowe i rosyjskie pepesze. Szorstki zarost świadczył, że od trzech dni nie golili się.

— Z naszej kompanii zostaliśmy tylko my — Hecht po chwili kontynuował. — Róbcie, co chcecie. Jesteście wolni. Zrobiliście dla ojczyzny więcej niż po was się spodziewano. Teraz musicie zadbać o siebie.

Dwaj żołnierze zrozumieli słowa dowódcy i natychmiast ruszyli na wschód, do portu, skąd odpływały stateczki wywożące resztki armii i uchodźców na Hel. Z Hechtem został tylko Fryderyk.

— Co zamierzasz robić? — Fryderyk zapytał Hechta.

— Uciekać.

— Jak?

— Wodą.

— Czym?

— Zobaczysz — Hecht roześmiał się.

Do zmroku poczekał na skraju lasu, a potem pomaszerował na południe. Wiedział, że są tam chaty rybaków. Po dwóch godzinach doszli do osady, ale tylko w jednym z domów paliło się słabe światło. Zajrzeli przez okno. W środku, przy stole siedział kilkuletni chłopiec i smarował chleb smalcem. Na talerzu obok leżała wędzona ryba.

Żołnierze zastukali w drzwi i weszli do chałupy. Chłopiec patrzył na nich z szeroko otwartymi oczami. Na piecu dymił parą czajnik. Fryderyk zdjął naczynie z ognia.

— Gdzie twoi rodzice? — Hecht zapytał chłopca.

— Tata zginął na wojnie, mama też. Dziadka zabili rosyjscy piloci. Zakopałem dziadka w sadzie, koło kanarka.

— Długo tu tak sam siedzisz?

— Miesiąc.

— Nikt do ciebie nie przychodził?

— Tylko listonosz. Dał mi chleb.

— Możemy się tu zatrzymać? Razem będzie nam raźniej. Chłopiec wskazał żołnierzom miejsce przy stole. Z kredensu wyjął talerze, z komórki ryby i konserwę. Do kubków nalał wrzątku.

— Nie mam kawy ani herbaty — bezradnie rozłożył ręce.

— My mamy kawę — Fryderyk szybko zaparzył napój. Chłopiec cały czas zerkał na żołnierskie karabiny.

— Już w tej wojnie nie postrzelasz — Hecht pokręcił głową i zatopił zęby w tłustym kawałku ryby. — Nie wiesz, gdzie dziadek trzymał łódź?

— Wiem — chłopiec pokiwał głową.

— Powiesz nam?

— Jak mnie pan nauczy strzelać.

— Po co ci to? — Hecht popijał kawę.

— Chciałbym umieć.

— Pokaż mu! — Hecht powiedział do Fryderyka.

Rudzielec pokazał chłopcu, jak się odbezpiecza broń, jak celuje i jak strzela.

— Dziadek miał kuter na Wiśle, w niewielkim kanale, zamaskowany snopkami trzciny — powiedział chłopiec.

— Zuch! — Hecht pogłaskał chłopca. — Jak masz na imię?

— Karl. Musicie wziąć jeszcze to — chłopiec wyjął z kredensu niewielką skrzynkę.

— Co to jest? — zdziwił się Fryderyk.

— ^- Dziadek mówił, że bez tego silnik nie zapali — Karl roześmiał się. Żołnierze

wtórowali malcowi. Najedzeni ułożyli się do snu nastawiając wielki budzik, żeby zadzwonił o trzeciej. Wtedy planowali przedostać się do łodzi. Kiedy obudzili się zobaczyli, że Karl uciekł zabierając ze sobą jeden z karabinków.

— Pal go lichu — Hecht machnął ręką.

Zabrali do plecaka jedzenie, napełnili manierki wodą i poszli do ślepej zatoki Martwej Wisły. Tam rzeczywiście był zacumowany niewielki, siedmiometrowy kuter z silnikiem, składanym masztem i nawet sterówką mieszczącą jednego człowieka. Hecht uruchomił silnik, kiedy usłyszał głęboki basowy dźwięk. Wybiegł na wał przeciwpowodziowy. Już świtało. Zobaczył Karla, jak stoi i macha do rosyjskich samolotów. Celuje do nich z kija i krzyczy jakby strzelał. Szturmownik zakołysał skrzydłami i oderwał się od formacji, by przelecieć nisko nad chłopakiem. Wtedy ten pochylił się, wziął leżący na ziemi karabin, wycelował w niebo i strzelił długą serią. Widać było, że boli go ramię potłuczone od odrzutu, ale Karl nieustannie naciskał spust. W samolocie silnik zadymił się. Maszyna przeleciała trzydzieści metrów nad głową chłopca. Próbowwała wznieść się, ale nie mogła. Wtedy z lasu odezwały się działa przeciwlotnicze. Ich pociski rozerwały szturmownika na strzępy. Inny rosyjski samolot skierował się na chłopca, zaczął strzelać, a wokół Karla padały pociski. Myśliwiec przemknął, zakręcił nad zgłiszczami rozbitego samolotu i wrócił do formacji. Hecht podbiegł do Karla. Ten był ranny. Krwawiły głowa, ramię i noga. Żołnierz opatrzył go i zaniósł półprzytomnego do kutra. Fryderyk patrzył na Karla z politowaniem.

— Ostatni żołnierz w tej wojnie — Hecht z niedowierzaniem pokręcił głową.

Dzień spędzili na kutrze, by przed zmierzchem ruszyć w kierunku ujścia Wisły. Wypłynęli na morze nie niepokojeni przez nikogo. Skierowali się na Hel.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

TAJEMNICE I KONSPIRACJA • MISTER SEBEDIAN POWRACA • NOWE ZADANIE • ZOSTAJĘ FOKĄ • SPOTKANIE Z BATURĄ W POCIĄGU • NAWIĄZANY KONTAKT • ODLATUJĘ Z GDAŃSKA

Meteorolodzy zapowiadali upalny lipiec. Z pewnością z tych prognoz pogody cieszyli się urlopowicze i uczniowie, którzy skończyli zajęcia w szkołach. Mogłem sobie tylko wyobrażać ten tłum na bałtyckich plażach, wsłuchany w okrzyki łodiarzy, zapatrzony w młode dziewczyny z dumą prezentujące opalone ciała. W tym roku Tomasz N.N., zwany Panem Samochodzikiem, zapowiedział, że nie mam szans na wakacyjny wyjazd. Było za dużo pracy. Mój szef był pierwszym pracownikiem powstałego przed wielu laty w Ministerstwie Kultury i Sztuki referatu zajmującego się poszukiwaniem zaginionych dzieł sztuki. W ten sposób stał się państwowym poszukiwaczem skarbów ukrytych przed laty i w czasie ostatniej wojny przez hitlerowskich rabusiów, rozwiązywał zagadki historyczne, walczył z handlarzami i przemytnikami dzieł sztuki, którzy chcieli sprzedać za granicą zabytki bezcenne dla polskiej kultury. Teraz pan Tomasz był moim kierownikiem, a nasze zadania trochę się zmieniły. Inne referaty ministerstwa zajmowały się odzyskiwaniem cennych dla Polski dzieł sztuki wystawianych na aukcjach na całym świecie, kto inny wspierał muzea w doradztwie dotyczącym zabezpieczania sal wystawowych. Niekiedy odnosiłem wrażenie, że kolejni ministrowie z chęcią zlikwidowaliby nasze etaty, ale sukcesy naszej niewielkiej komórki były tak spektakularne, że nie można było tego uczynić. Z naszej wiedzy korzystały służby mundurowe, a my często musieliśmy działać półoficjalnie. Właśnie charakter naszych misji sprawił, że szczęśliwie znalazłem pracę u pana Tomasza. Przydatne były moje doświadczenia z okresu służby w jednostce powietrzno-desantowej, studia na historii sztuki, zamiłowanie do historii i rozwiązywania zagadek.

Zniecierpliwiony zerkałem kolejny raz na zegarek. Czekałem na wezwanie szefa, który zapowiedział, że dziś otrzymam nowe zadanie. Wreszcie zadzwonił telefon.

— Paweł? — usłyszałem głos pana Tomasza. — Zejdź na parking.

Szybko wyłączyłem komputer, ubrałem się i zabrałem torbę z laptopem. Zbiegłem na ministerialny parking. W rogu, przykryty brezentem stał wehikuł pana Tomasza. Teraz jednak szef stał przy otwartych drzwiach lancii na rządowych numerach rejestracyjnych. Obok niego przeżył się funkcjonariusz Biura Ochrony Rządu.

— Wsiadaj! — pan Tomasz wskazał na drzwiczki. — Nie mamy czasu! Usadowiłem się na tylnej kanapie przestronnego auta. Kierowca lancii z piskiem opon ruszył, włączywszy migające światła i syrenę. Inni kierowcy z niechęcią ustępowali nam z drogi.

— Panie Tomaszu, o co chodzi? — zapytałem nieco wystraszony tym, co się działo. Szef preferował dyskrecję.

— Wszystkiego dowiesz się na miejscu — odpowiedział mój przełożony. W milczeniu jechaliśmy pół godziny, za granice Warszawy, do niewielkiego dworku, obiektu rządowego pilnowanego przez wojsko. Nie weszliśmy do wnętrza, tylko pan Tomasz poprowadził mnie do altanki w stylu antycznym, stojącej w parku. Była otoczona wysokim, dwumetrowym żywopłotem układającym się w labirynt, w którym widziałem specjalne ekrany uniemożliwiające podsłuchiwanie, o czym rozmawiali przebywający w środku tej zielonej fortecy. Czuję się zaskoczony widokiem mężczyzn siedzących na drewnianych ławeczkach pomalowanych na białą.

— Cześć! — przywitałem ich.

Szczególnie serdecznie uściskałem jednego z nich. To był Leśnik, żołnierz jednostki specjalnej, który pomagał mi w rozwiązaniu kilku zagadek. Straciłem z nim kontakt po tym, jak poszukiwaliśmy wraka statku „Generał von Steuben” i przeżyliśmy emocjonujące przygody na Półwyspie Helskim. Nie wyróżniał się niczym specjalnym oprócz spojrzenia. Było w nim ciepło, mądrość, spokój, ale i coś niepokojącego. Tylko niektórzy potrafią mieć w sobie intuicyjnie wyczuwaną przez innych wewnętrzną siłę. Zdziwiło mnie, że Leśnik, który zwykle ubierał się w stare wojskowe drelichy lub dzinsy i flanelowe koszule, tym razem był ubrany w markowy garnitur ze starannie dobranymi dodatkami. Do tego pachniał drogą wodą kolońską.

Drugą osobą był Pirania. Jego znałem jako policjanta, z którym też współpracowałem przy rozwiązywaniu kilku spraw. Był szczupły, nosił się z nonszalancją, wybierając styl „skóra i dzins”. Wyglądał jak pomocnik bossa mafii rodem z filmu gangsterskiego. Do tego miał dłuższe włosy starannie umodelowane żelami. Spod poły kurtki wyglądała rękojeść pistoletu noszonego w kaburze pod pachą.

— Sami swoi — uśmiechnął się Pirania, kiedy podałem mu rękę.

— Usiądźmy — pan Tomasz zajął miejsce na metalowym fotelu wyściełanym miękkimi poduszkami.

W tej chwili pojawił się kelner, który przyniósł filiżanki, dzbanki z kawą i herbatą oraz tacę z kanapkami. Bez słowa rozstawił wszystko i zniknął w przejściu między zielonymi ścianami. Pan Tomasz zajął miejsce pod blatem stołu i widziałem, że szukał tam czegoś.

— Czerwony guzik na konsoli — odpowiedział mu Leśnik. — Włączy pan urządzenia zagłuszające rozmieszczone wokół nas.

— Jestem tu pierwszy raz — szef przyznał się. — Mówiono mi tylko, że jest tu coś takiego. No, możemy teraz spokojnie rozmawiać — stwierdził po chwili. — Pawle, ciebie trzeba wprowadzić w całą sprawę. Na wstępie powiem tylko, że Leśnik pracuje teraz w służbach wywiadowczych, a Pirania awansował i jako policjant działa w całym kraju i ma dosyć dużą władzę.

— Tylko ty cały czas siedzisz w tym pokoiku na końcu korytarza — żartował Leśnik patrząc w moją stronę.

— Jesteś szpiegiem? — zdziwiłem się.

— Chyba nie oczekujesz, że powiem ci całą prawdę? — Leśnik znowu uśmiechnął się. — Mogę ci tylko powiedzieć to, co instytucja, którą reprezentuję, wie. Dowiedzieliśmy się, że nasz stary, dobry znajomy — Mister Sebedian — znowu planuje akcję na Bałtyku. Tym razem celem jego akcji jest „Goya”.

Jak pamiętałem, „Goya” był statkiem wybudowanym w norweskiej stoczni w 1941 roku. Był mniejszy od bardziej znanych transportowców „Wilhelm Gustloff” i „Generał von Steuben”, zatopionych przez radzieckie okręty podwodne w 1945 roku, ale razem z nim zatonęło więcej ofiar niż na „Wilhelmie Gustloffie” — podobno 5200 pasażerów. Transportowiec wypłynął z Helu 16 kwietnia 1945 roku i został zatopiony tuż przed pomocą.

— Czyżby Sebedian wpadł na kolejny trop Bursztynowej Komnaty? — nie mogłem powstrzymać się od kpiny.

— Nasi przyjaciele z Niemiec donieśli nam, że widzieli Sebediana w miasteczku niedaleko Kolonii. Pojawił się i zniknął, a razem z nim przepadł pewien staruszek. Jego rodzina zgłosiła zaginięcie dwa dni po wizycie Sebediana.

— Czemu zainteresowaliście się tą sprawą?

— Ten staruszek od dawna był w centrum zainteresowania wywiadu. Zgłosił się do polskiej ambasady z ofertą, że wskaże nam miejsce skrytki, w której coś zdeponował Albert Forster. Pamiętasz, kto to był?

— To hitlerowski „kat Pomorza”, gauleiter i SS-Obergruppenfuhrer. Wiosną 1945 roku uciekł z Pomorza w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach. Po wojnie został przekazany polskim władzom i otrzymał za swoje zbrodnie wyrok śmierci...

— Który nie wiadomo kiedy wykonano — wtrącił Leśnik. — Ów staruszek spod Kolonii informował nas, że widział, jak i gdzie wykonano skrytki Forstera.

— Skrytki? — upewniałem się.

— Takie mamy informacje.

— A jaki to ma związek z wrakiem statku „Goya”? — dopytywałem się.

— Oba wątki łączy osoba Sebediana. Pamiętasz, że jest to syn hitlerowskiego oficera, który był odpowiedzialny za ukrycie i transport części dzieł sztuki wywożonych z Królewca. Wiemy o tej dziwnej aferze pod Kolonią i... — Leśnik skierował dłoń na Piranię.

— O człowieku znanym w pewnych środowiskach jako „Foka” — dokończył policjant. — Aresztowaliśmy Fokę w związku z pewnym włamaniem do sklepu jubilerskiego. W zamian za zeznania obciążające współników prokurator zgodził się na wnioskowanie o niższą karę dla Foki. Rzezimieszek był tak rozmowny, że opowiedział nam o propozycji, jaką przyjął. Dotyczy ona akcji nurkowej na pewnym wraku na Bałtyku i otwarcia znajdującego się tam sejfu. Foka jest byłym żołnierzem morskiej jednostki specjalnej. Jest fachowcem od używania pod wodą ładunków wybuchowych. Do tego nurkował na „Goi”.

— Rozumiem, że chcecie mnie podstawić za Fokę, ale Sebedian mnie zna.

— Zna, ale jego tam nie będzie — powiedział Leśnik. — Został dziś zatrzymany w Wielkiej Brytanii. Brytyjczycy obiecali, że przetrzymają go minimum trzy dni. Ty masz jeszcze dwa dni. Tyle czasu powinno ci wystarczyć.

— Foka mówił, że dziś wieczorem miał odlecieć z Trójmiasta — wyjaśniał Pirania. — Nurkowanie ma odbyć się jutro wieczorem.

— Pogoda może spowodować zmianę planów i przesunięcie zejścia pod wodę — argumentowałem. — Nie zrozumcie mnie źle. W razie poślizgu...

Leśnik sięgnął do teczki, która stała przy jego nodze. Wyjął z niej małe urządzenie zwane popularnie „gwizdkiem” lub pendrive. To przenośna kostka pamięci, którą podłącza się do komputera. Jest wygodniejsza w użytku i wydajniejsza niż dyskietki czy płyty.

— Włącz laptop! — poprosił.

Z torby wyjąłem swój komputer, a Leśnik podłączył „gwizdek” i kilka razy kliknął w klawiaturę. Najpierw zobaczyłem mapy pogodowe.

— W tej części Bałtyku, gdzie na dnie leży „Goya”, dziś w nocy przewidywane są deszcze i burze — Leśnik tłumaczył mi znaczenie wykresów widocznych na ekranie. — Jutro ma być spokojnie. Dopiero rano, pojutrze, pogoda gwałtownie się zmieni. Jutrzejszy dzień, z „oknem pogodowym” jest wymarzony na nurkowanie.

— Mogą czekać z rozpoczęciem operacji na przybycie Sebediana — zauważył pan Tomasz.

— Statek badawczy „Boston” ma pozwolenie na prowadzenie badań w interesującym Sebediana rejonie na czas dwóch najbliższych dni — odparł Leśnik. — „Boston” to duży kuter, który może wynająć każdy. Jest wyposażony w doskonałą aparaturę do badania dna morskiego oraz do prowadzenia prac nurkowych. Jest własnością prywatnej firmy, wynajmującej go najczęściej uniwersytetom lub koncernom naftowym. Oficjalnie badania prowadzi właśnie jedna z amerykańskich uczelni, taka o marnej renomie. Pawle, przegram ci także dossier Foki.

— Jeśli chcesz, możesz zrezygnować — wtrącił pan Tomasz.

— Macie kogoś, kto by mnie zastąpił?

Pirania wpatrywał się w blat stołu. Szef nagle całą uwagę skupił na kanapkach. Tylko Leśnik pokręcił głową.

— Alternatywą jest obserwowanie ich poczynąń z daleka — opowiadał. — Musimy wkroczyć do akcji wtedy, kiedy na pokładzie kutra znajdzie się to, co Sebedian chce wydobyć z sejfu na wraku. Nie możemy się pospieszyć ani spóźnić. Rozumiesz?

— Tak.

— Cały czas będzie w pogotowiu czekała grupa szturmowa, gotowa w każdej chwili ruszyć tobie na ratunek — mówił Pirania. — Będziesz miał specjalne nadajniki, które włączysz i zaraz będziemy przy tobie.

— Nie tak zaraz — Leśnik uniósł dłoń. — Nie możemy być blisko ekipy kutra, żeby nie wzbudzać czujności jego załogi.

— Zaryzykujesz? — pan Tomasz patrzył teraz na mnie z niepokojem.

— Podobno nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki — odpowiedziałem. — W tej sytuacji chyba nie mam wyjścia.

— Jeżeli dowiesz się, że nurkowanie ma się opóźnić lub pojawi się Sebedian, masz natychmiast nawiązać z nami łączność i wycofać się z akcji —” pouczał mnie Leśnik.

Pokiwałem głową na znak, że rozumiem. Leśnik wyjął z teczki dwa niewielkie pudełka. Otworzył pierwsze z nich. W środku były trzy nadajniki, każdy wielkości pudełka zapalnika, ale dwa razy cieńsze.

— Sygnał z tych urządzeń dochodzi do dwudziestu kilometrów — tłumaczył mi przyjaciel. — To wystarczająco, byśmy go odebrali i zareagowali. Dobrze by było, gdybyś te nadajniki miał stale przy sobie. Działają nawet pod wodą. Tu — przysunął do mnie drugie pudełko — masz coś do samoobrony.

Uchyliłem wieczko. W środku leżał pistolet.

— Nie, dziękuję — odsunąłem go od siebie.

— Miałeś rację — Pirania uśmiechnął się do Leśnika. — Nie wziął giwery! Wygrałeś ten obiad w „Bristolu”!

— To wy się założyliście? — z niedowierzaniem patrzyłem na Piranię i Leśnika.

— Powiedział, że w życiu nie weźmiesz broni — Pirania kiwał głową. — Wytłumacz mi tylko czemu? Leśnik mówił coś o poleganiu na umyśle, ale ja tego nie rozumiem. Ostatecznie dobry gnat zawsze pomaga skończyć najtrudniejszą nawet partię szachów. Po prostu walisz i już!

— Broń daje złudne poczucie bezpieczeństwa — odpowiedziałem. — Myślisz sobie: „Mam pistolet, to się obronię”. To osłabia czujność, a w chwili kryzysu zamiast szukać wyjścia z sytuacji, kombinujesz, jak wydobyć pistolet. Wszystkie twoje myśli skupiają się na broni i nagle okazuje się, że bez niej czujesz się bezbronny.

— Niech ci będzie — Pirania wzruszył ramionami.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął grubą szarą kopertę i podał mi ją. W środku były bilet kolejowy, dokumenty na nazwisko Foki z wklejonymi moimi zdjęciami, klucze do jakiegoś mieszkania, telefon komórkowy, portfel z kartami kredytowymi Foki i zdjęciem jakiejś dziewczyny.

— Kto to? — wskazałem na portrecik blondynki.

— Magda, twoja dziewczyna. Foka nosi takie fotki w portfelu. Przeczytałem informacje na bilecie kolejowym. Miałem wyjechać po południu pociągiem ekspresowym do Gdyni.

— Musisz zwracać uwagę na wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły — mówił Leśnik. — Foka miał instrukcje, żeby wsiąść do tego pociągu. Wie, że ma lecieć samolotem i czeka go odprawa paszportowa. Nic więcej. Nie wie nawet, skąd wypływa „Boston”. Wiemy, że nie zawinął do żadnego z polskich portów. Pociąg, którym będziesz jechał do Trójmiasta, nie zatrzymuje się na żadnej stacji po drodze. Ktoś od Sebediana zechce nawiązać z tobą kontakt w pociągu lub najpóźniej na dworcu. W pociągu przejrysz życiorys Foki. Wsiądziesz na dworcu w Gdańsku, zostawisz komputer i wszystko co pozwala zidentyfikować ciebie w skrytce bagażowej, a klucz przekażesz mnie.

Pociąg miał odjechać za trzy godziny, więc szybko zjadłem kilka kanapek wymieniając z kolegami uwagi na temat tego, co słycać u nich i u naszych wspólnych znajomych. Potem lanią odwieziono mnie pod mój blok. Tam spakowałem plecak, zostawiłem sąsiadce klucze do mieszkania, żeby podlewała kwiatki, zamówiłem taksówkę i pojechałem na Dworzec Centralny. Kupiłem wodę mineralną i paczkę rodzynek, które bardzo lubiłem.

Foce wykupiono miejsce w rogu wagonu, przy oknie. Siedziałem sam mając obok siebie i naprzeciwko puste fotele. Na rozkładanym stoliku ułożyłem laptop i kiedy tylko ruszyliśmy, zacząłem przeglądać życiorys człowieka, za którego miałem się podawać. Foka był mniej więcej w moim wieku, był podobnej budowy ciała i miał włosy tego samego koloru co ja. Po zdaniu matury zgłosił się na ochotnika do jednostki morskich komandosów, gdzie po zakończeniu służby zasadniczej podpisał kontrakt i jednocześnie kończył kursy minerskie, podoficerskie i innych specjalności. Po dwóch kontraktach zrezygnował z wojska i związał się ze światem przestępczym. Foka lubił towarzystwo ładnych dziewczyn, drogie lokale, hazard i szybkie samochody. Podejrzewano, że konstruował bomby, których używano w porachunkach trójmiejskiego świata przestępczego. Potem nagle zerwał z mafią. Według policyjnych informatorów Foka zakochał się w absolwentce filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Przeniósł się do Warszawy, pracował w firmie budowlanej jako magazynier, dorabiał jako instruktor walki wręcz na kursach samoobrony. Chciał prowadzić spokojne życie, ale nagle zerwał z tym, ponieważ polonistka zmieniła obiekt zainteresowań na młodego doktoranta, podobno obiecującego poetę i prozaika młodego pokolenia. Foka znowu nawiązał kontakty z podziemiem przestępczym. Został zaangażowany do skoku na sklep jubilera, gdzie jego zadaniem było otwarcie sejfu — oczywiście ładunkiem wybuchowym.

Leśnik oprócz suchych informacji przygotował także album zdjęć z dzieciństwa, młodości i okresu służby wojskowej Foki. To była masa danych. Właśnie zaczynałem czytać informacje o budowie podwodnych ładunków wybuchowych przygotowane specjalnie dla mnie przez instruktora Foki, kiedy poczułem, że ktoś patrzy na mnie. Zamknąłem klapę laptopa i podniosłem wzrok. Przejściem między fotelami szedł w moją stronę Jerzy Batura. Tak jak Waldemar, jego ojciec, był odwiecznym wrogiem mojego szefa, tak Jerzy był moim przeciwnikiem. Kiedy spotkaliśmy się na Kociewiu, zawarliśmy rozejm, a nawet wydawało mi się, że nastał czas pokoju. Jego pojawienie się w tym pociągu oznaczało kłopoty i nie było dziełem przypadku. Pomyślałem, że trzeba odwołać mój udział w akcji.

— Cześć! — Batura usiadł po drugiej stronie stolika.

Nasze powitanie dla osób postronnych mogło wyglądać jak przypadkowe spotkanie starych znajomych. Jerzy nic się nie zmienił. Podobnie jak jego ojciec był przystojnym mężczyzną. Miał wysportowaną sylwetkę. Byłby idealnym kompanem w mojej pracy, bo był inteligentny, miał ogromną wiedzę historyczną i z historii sztuki i podobnie jak ja kochał zagadki. Batura kiedyś powiedział, że jesteśmy jak dobra i zła strona tego samego człowieka. Tak chyba było w rzeczywistości.

— Wakacje? — Batura pytał o cel mojej podróży.

— Tak jakby. Jadę do znajomego popracować w spokoju.

— Co przygotowujesz?

— Artykuł o podwodnych poszukiwaniach skarbu. A ty co porabiasz?

— Też ostatnio zainteresowałem się nurkowaniem. Trochę interesuje mnie życie fok.

Czy przypadkowo wspomniał o fokach?

— Czemu akurat foki tak cię interesują? — zapytałem.

— To zdolne zwierzęta o ogromnym talencie do przystosowywania się do nowej sytuacji. Cieszę się, że ciebie widzę, bo może pomożesz mi w pewnej sprawie. Masz kilka wolnych dni?

— Niestety — wskazałem na komputer, jakby to on był wszystkiemu winny. — To pilna praca.

— Szkoda — Batura wstał. — Uważaj na siebie i do zobaczenia! Odszedł w tym kierunku, skąd przyszedł. Byłem przekonany, że powinienem natychmiast zadzwonić do Leśnika, żeby odwołać operację. Z pewnością Batura był, jak przy okazji poszukiwań na wraku „Wilhelma Gustloff”, pomocnikiem Sebediana, zobaczył mnie na miejscu wykupionym dla Foki i powiadomił mocodawcę, że wiem o wszystkim. Chciałem zadzwonić do Leśnika, potem do Piranii i pana Tomasza, ale żaden z nich nie odpowiadał. Postanowiłem poczekać na dalszy rozwój wypadków.

Nadeszła pani rozwożąca gorące napoje i słodkie przekąski.

— Kawa, herbata? — sztampowo zapytała uśmiechając się uroczo.

— Kawę, czarną i dużo cukru — poprosiłem. Szybko postawiła przede mną kubek z parującym napojem. Obok położyła trzy baloniki.

— Tylko kawa! — nie chciałem słodczy.

— Prezent od firmy — kelnerka ponownie uśmiechnęła się promiennie.

Szybko przeszła do następnego wagonu. Nie ufałem temu prezentowi i uważnie obejrzałem batoniki. Na opakowaniach nie było żadnych dziurek, w środku chyba rzeczywiście były słodczy. Moją uwagę zwróciły kody kreskowe, ciągi trzynastu cyfr. Ktoś, całkiem niedawno, bo na palcach zostały mi plamy tuszu, skreślał z kodów cyfry zostawiając w sumie z trzydziestu dziewięciu tylko dziesięć — tyle, ile ma numer telefonu stacjonarnego w Gdańsku! Wyjąłem telefon komórkowy Foki i zadzwoniłem. Po pięciu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Z nagrania dowiedziałem się, że mam zgłosić się o dwudziestą do hangaru piątego na lotnisku w Rębiechowie.

Wyłączyłem telefon i rozparłem się w fotelu. Teraz musiałem podjąć decyzję, co zrobić. Mimo że Batura spotkał mnie w pociągu, przekazano mi dalsze instrukcje, tak jak miał je otrzymać Foka. Czyżby Batura chciał mnie wciągnąć w pułapkę? Może w pociągu był ktoś od Sebediana i po prostu wykonał swoje zadanie wierząc, że ja to Foka?

Ekspres wtoczył się na dworzec główny w Gdańsku. Zebrałem swoje rzeczy i wysiadłem. Razem ze mną uczynił to tłum innych ludzi. Nie było wśród nich Batury. Przeszedłem przejściem podziemnym do budynku dworca. Tam, w skrytce, zostawiłem torbę z laptopem, telefon komórkowy i dokumenty.

Przechadzałem się po holu oglądając witryny sklepików i czekając na Leśnika. Kupiłem sobie hamburgera i usiadłem na ławce w poczekalni. Cały czas starałem się mieć na oku moją skrytkę bagażową. Właśnie byłem zajęty swoim posiłkiem,

by płaski placek mięsa nie wystrzelił pomiędzy połówek bułki, kiedy kątem oka zauważyłem, że obok mnie usiadł jakiś kloszard. Podniosłem wzrok na niego i zobaczyłem Leśnika. W brudnych i wytartych dżinsach, tenisówkach, poplamionej i śmierdzącej piwem koszuli, podziurawionym kapeluszu wyglądał jak typowy hulaka.

— Kierowniku, parę groszy na piwo — odezwał się chrapliwym głosem. — Rany, jak mnie suszy. Cały dzień nic mokrego w ustach nie miałem.

Sięgnąłem do kieszeni spodni. Miałem tam drobniaki i kluczyk do skrytki. Leśnik ułożył dłoń w muszelkę, do której wsypałem garść monet.

— Dzięki, zbawco! — powiedział. — Pan to chyba przyjezdny?

— Tak.

— Jak minęła podróż?

— Dobrze. Spotkałem starego kumpla, z którym pływałem kiedyś na „Diabolo”. Dostałem informację, gdzie mam zadzwonić, żeby polecieć samolotem tam, dokąd się wybieram.

— Kiedy pan będzie leciał?

— Dziś o dwudziestej z Rębiechowa.

— Będę trzymał za pana kciuki.

Leśnik wstał, przeszedł kilkanaście kroków, do innego kloszarda, chyba kolegi z wywiadu, z którym podzielił się pieniędzmi i pewnie przekazał mu kluczyk. Potem wyszedł z dworca.

Dokończyłem hamburgera i poszedłem poszukać przystanku autobusowego linii „B”, którym miałem pojechać do portu lotniczego. Na miejscu musiałem najpierw odbyć odprawę paszportową, która chyba za sprawą Leśnika była czystą formalnością. Potem pogranicznik odprowadził mnie do hangaru piątego.

— Prawdziwe cacko — podoficer aż cmoknął na widok samolotu, który na mnie czekał.

Jako dzieciak zajmowałem się modelarstwem i doskonale pamiętałem ten model samolotu. To był unikat — Martin Baltimore 187, dolnopłat, dwusilnikowy bombowiec z okresu drugiej wojny światowej. Miał wąski kadłub, niecałe dwadzieścia metrów długości i piętnaście metrów rozpiętości skrzydeł. Z przodu, w oszklonej kabinie siedział bombardier nawigator, ponad nim pilot, w środku kadłuba radiooperator i ewentualnie operator tylnej wieżyczki z karabinami maszynowymi. Ten egzemplarz był pozbawiony uzbrojenia, zamiast wieżyczki miał tylko płaską, oszkloną kabinę. Przypuszczałem, że właściciel przerobił maszynę do transportu ludzi lub towarów. Po oznaczeniach poznałem, że samolot był zarejestrowany w Wenezueli.

Przy samolocie krzątało się dwóch mechaników, którzy chyba bardziej byli zajęci podziwianiem silników Wright Cyclone Model, chłodzonych powietrzem, cztenastocylindrowych, w układzie podwójnej gwiazdy. Pilot był ubrany w skórzane spodnie, kurtkę z kołnierzem obszytym futerkiem, czapkę pilotkę i nasunięte na oczy wielkie gogle. Siedział w swojej kabinie i coś majstrował przy przyrządach. Widząc mnie wskazał przed siebie w dół, że mam usiąść w oszklonej kabinie bombardiera.

— Powodzenia! — rzucił pogranicznik, nim wyszedł z hangaru. Mechanicy wyjęli klocki hamulcowe spod kół, jeden z nich podjechał elektrycznym wózkiem i podłączał do kadłuba hol, na którym zamierzał wyprowadzić bombowiec przed hangar.

ROZDZIAŁ DRUGI

LOT NAD ZATOKĄ GDAŃSKĄ • KTO JEST PILOTEM? • ZABLOKOWANE STERY • BURZA I SAMOTNA WYSPA • GOSPODARZE W MUNDURACH • ZAKAMUFLOWANA BAZA

Do kabiny nawigatora wchodziło się od spodu, przez otwieraną do dołu i do tyłu

klapę. Na stopniu drabinki na włązie wisiała kurtka, czapka pilotka i gogle, podobne do tych, jakie miał pilot. Tu, na lotnisku, było ciepło, ale w powietrzu było zimno. Pamiętałem z prognoz pogody od Leśnika, że nad Bałtykiem miał padać deszcz. Ubrałem się, wrzuciłem do środka plecak i wszedłem do kabiny. Dziwiło mnie, że pilot w żaden sposób nie sprawdzał mojej tożsamości. Widocznie uznał, że tylko Foka mógłby zgłosić się do niego i przejść kontrolę graniczną. Pewnie ostrzegał polską Straż Graniczną, że będzie zabierał pasażera i podał jego nazwisko.

Zamknąłem wąż specjalną klamrą, przesunąłem do przodu fotel i cieszyłem się, że nie mam postury koszykarza. Takiemu Olbrzymowi byłoby tu ciasno. Przez oszklony nos samolotu widziałem, jak mechanicy krzżeli się jeszcze przy maszynie, mocowali hol i wyprowadzali nas z hangaru. Obejrzałem się do góry za siebie. Od pilota odgradzała mnie pancerna płyta. Rozejrzałem się po kabinie. Siedziałem w metalowym fotelu, na którym położono spadochron. Dzięki temu miałem miękkie siedzenie, ale i tak nie było ono wygodne. Na ścianie po lewej stronie widziałem kilka podstawowych wskaźników, jak prędkościomierz, wysokościomierz. Z prawej miałem wolant, a pod sobą pedały orczyka.

Zostaliśmy ustawieni na początku betonowego pasa startowego. Mechanicy odłączyli hol. Jeden z nich stanął przed samolotem, twarzą do nas. Powiedział coś do krótkofalówki i przed nami rozbłysły dwa rzędy świateł. Pokręcił palcem nad głową i wtedy pilot uruchomił prawy silnik. Mechanik kiwnął głową na znak, że wszystko działa jak trzeba i znowu pokręcił palcem. Lewy silnik dołączył do duetu. Huk momentalnie stał się uciążliwy. Lustrowałem kabinę w poszukiwaniu słuchawek. Znalazłem je na kołku na grodzi oddzielającej mnie od przedziału bombowego. Wzrokiem odszukałem gniazdko, do którego należało podłączyć kabel intercomu.

Pilot włączył światła i beton przed nami zaczął przypominać drogę, na której ktoś rozlał mleko. Silniki zaczęły pracować na wyższych obrotach i bombowiec powoli zaczął toczyć się po pasie startowym. Gwałtownie przyspieszał i w pewnym momencie zaczęliśmy dostojnie wznosić się w powietrze. Intrygowała mnie cisza panująca w słuchawkach. Przecież powinienem był słyszeć, jak pilot rozmawia z wieżą. Najpierw lecieliśmy na południe, potem zaczęliśmy skręcać na zachód i na północ. Wracaliśmy nad Gdańsk. Z góry wyglądał przepięknie, nawet przemysłowe tereny stoczni, port. Leciliśmy wysoko, około tysiąc metrów nad ziemią. Nie mogliśmy lecieć ani nad portem, ani nad rafinerią, więc teraz skierowaliśmy się na wschód. Nad morze wlecieliśmy przelatując nad ciemną plamą zalesionej Wyspy Sobieszewskiej, na której jasne plamy stanowiły samo Sobieszewo, rozświetlony most pontonowy i pojedyncze zabudowania zagubione wśród drzew. Morze w chłodnym świetle księżycy przypominało lodową pustynię, ale chmury, które widziałem na horyzoncie na północy, wyglądały złowieszczo tym bardziej, że dostrzegałem pojedyncze rozbłyski świadczące, że przed nami jest burza.

W słuchawkach usłyszałem trzaski, piśnicie, a potem odezwał się pilot.

— Witaj, Pawle! — struchlałem, tym bardziej że intercom zniekształcał głos mówiącego. — Daj mi pięć minut, a potem sam zadecydujesz, co masz zrobić. Ja nie mam odwrotu, ale ty, jeśli zawrócę nad wybrzeże będziesz mógł wyskoczyć ze spadochronem.

— Jestem Foka i chyba mylisz mnie z kimś — usiłowałem kłamać i grać na czas, rozpaczliwie szukając wyjścia z sytuacji.

— Dla ludzi Sebediana będziesz Foką, ale dla mnie jesteś Pawłem i mnie nie oszukasz — mimo słabej jakości dźwięku wyczułem drwinę.

— To powiesz mi, kim jesteś?

— Batura.

A jednak! Przeczucie mnie nie myliło i spotkanie w pociągu nie było przypadkowe. Znalazłem się w pułapce, zamknięty w ciasnej kabinie. Skok, nawet ze

spadochronem, nad morzem nie przyniosłby mi ratunku. Miałem uczucie, że się uduszę. W czasie studiów chodziłem na zajęcia z aikido prowadzone przez instruktora zafascynowanego kulturą japońską. Przypomniałem sobie, jak próbował nam, grupie adeptów, zaszczerpić kilka prostych prawd o sztuce walki przydatnych w życiu. Mówił, że nie można cały czas zamartwiać się tym, co może nas złego spotkać. Trzeba analizować dochodzące do nas bodźce, by w odpowiednim momencie uchylić się przed ciosem lub niebezpieczeństwem. W aikido trzeba obrócić energię atakującego przeciwko niemu.

Przypomniałem też sobie najprostszy sposób na uspokojenie się. Głęboko wciągałem powietrze nosem i wypuszczałem je ustami. Już po kilku takich wdechach ustało nerwowe kołatanie serca, a umysł uwolnił się od wyimaginowanych zagrożeń.

— Czemu wiesz mnie do ekipy Sebediana? Żebym wam nie przeszkodził w akcji? — zapytałem Baturę.

— Pawle, zostałem zmuszony do współpracy, a kiedy zobaczyłem ciebie, w pociągu na miejscu Foki, poczułem radość.

— Czemu?

— Bo mi pomożesz.

Mijaliśmy końcówkę Helu i Batura zawrócił na południowy wschód.

— Mam ci pomagać w jakichś dziwnych machinacjach? — dziwiłem się.

— Nie musisz, ale bardzo cię o to proszę.

Żałowałem, że w tej chwili nie mogę spojrzeć w oczy Jerzego. Już kiedy spotkaliśmy się nad Jeziorem Krzyżowieckim, dostrzegłem w nim przemianę, którą potęgował związek z piękną Zuzanną. To ona przekazała mi wskazówki, jak odszukać skarb joannitów. Tak bardzo chciałem ujrzeć teraz wzrok Jerzego. Kiedyś mawiano, że oczy są zwierciadłem duszy. Głęboko w to wierzyłem. Pewnie fachowcy od behawioryzmu znaleźliby mnóstwo wyjaśnień, dlaczego patrząc na kogoś potrafimy niekiedy wyczuć jego intencje. Nie wnikałem w te naukowe dywagacje uważając, że potrzebujemy w życiu elementów magii, czegoś nieopisywalnego. Opierając się tylko na tym, co i jak mówił Batura, zaczynałem mu wierzyć.

— Co się stało? — odezwałem się.

Wydawało mi się, że słyszę, jak Batura z ulgą wzdycha.

— Pamiętasz Zuzannę? — Jerzy z czułością wypowiedział to imię.

— Byliście parą.

— Tak. Mieszkaliśmy razem. Prowadziliśmy wspólnie interesy i jeździliśmy na wycieczki w egzotyczne miejsca.

— Co zrobiliście z zamkiem w Starej Kiszewie?

— Cały czas remontujemy go.

— Zuzanna wciąż jest twoją narzeczoną?

— Tak. Miesiąc temu pojawił się w Polsce wysłannik Sebediana. Odszukał mnie i namawiał do współpracy. Odmawiałem, ale on zaczął grozić, że coś zrobi Zuzannie. Chciałem namówić ją na wspólny wyjazd z Polski na dłuższe wakacje, ale wtedy ona zniknęła. Ci dranie porwali ją i wywieźli nie wiem dokąd.

— Co chcieli osiągnąć w ten sposób?

— Facet w czasie pierwszej rozmowy wygadał się, o co chodzi.

— O nurkowanie na wraku „Goi”? — upewniałem się.

— Tak. Maj ą tam znajdować się wskazówki prowadzące do jakiejś skrytki ze skarbami. Wiedziałem zbyt wiele, a nie chciałem pracować dla Sebediana. Mieli dwa wyjścia: uciszyć mnie lub szantażować. Wybrali to drugie wyjście. Moim zadaniem było znalezienie odpowiedniego nurka i dostarczenie go do samolotu. Zuzanna miała wrócić do mnie po zakończeniu akcji.

— Chyba popełniłeś błąd — wyprostowałem nogi i podziwiałem widok Trójmiasta tym razem od strony morza. — Skoro ludzie Sebediana porwali Zuzannę, to pewnie trzymają ją jaw jakimś odludnym miejscu w Polsce. Twoim

celem jest uwolnienie jej, więc nie powinieneś odlatywać z kraju.

— Ona jest tam, dokąd lecimy.

— Czyli gdzie?

— Na małej kamienistej wysepce na Bałtyku.

— Skąd o tym wiesz?

— Od pilota.

— Przyznam, że zgubiłem się...

— Paweł, nie wierzę Sebedianowi, nie chcę brać udziału w tej aferze, zależy mi tylko na Zuzannie. Odnalazłem Fokę, zwerbowałem go, a później dowiedziałem się, że go aresztowano. Bałem się, że kiedy Sebedian się o tym dowie, odwoła akcję, ale ja już nie zobaczę Zuzanny. Chciałem udawać Fokę, ale na szczęście w pociągu to ty siedziałeś na wykupionym dla niego miejscu.

— Przecież ten człowiek od Sebediana natychmiast rozpoznałby, że coś tu nie gra, gdyby zamiast nurka zobaczył ciebie — zauważyłem.

— Aresztowano go z Sebedianem w Wielkiej Brytanii. Na wyspie czekają na nas ludzie, którzy nigdy nie widzieli mnie, pilota. Foki. To jacyś Amerykanie.

— Skąd o tym wszystkim wiesz?

— Już wczoraj nawiązałem kontakt z pilotem. Nocował w Gdańsku. Wieczorem zaprosiłem go na kolację i dowiedziałem się od niego kilku ciekawych rzeczy na temat Sebediana i tej akcji. Pilot nazywa się Kurt Holsnut. Lata tym samolotem głównie w Ameryce Południowej, ale Sebedian sprowadził go do Europy. Tym bombowcem Kurt miał wywieźć to, co zostanie znalezione na wraku. Na wyspie oprócz Zuzanny są ci trzej Amerykanie i jakiś staruszek. Skoro ty zostałeś Foką, ja postanowiłem udawać pilota. Zaprosiłem go jeszcze na obiad, uśpiłem, uwięziłem w mieszkaniu wynajętym w Gdańsku. Dałem mu taką dawkę leku usypiającego, by obudził się jutro w południe albo i później. Teraz powiedz mi tylko, czy pomożesz mi uratować Zuzannę?

— Tak, tylko jak i kiedy?

— Wiem, że chcesz dowiedzieć się, czego Sebedian szuka na wraku. Mamy tę noc i część jutrzejszego dnia na działanie. Będziemy improwizować tak, byśmy obaj zrobili to, co zamierzamy.

— Spróbujmy, ale może powinniśmy powiadomić o wszystkim władze?

— Nie. Ty trzymaj się swojego planu, a ja swojego. Lecimy na północ?

— Lecimy!

Martin Baltimore łagodnie przechylił się na lewe skrzydło, kiedy wykonaliśmy zwrot w kierunku Szwecji. Lecieliśmy nie mówiąc do siebie ani słowa. Z każdą chwilą zbliżaliśmy się do burzy. Najpierw na szybie pojawiły się drobne kropelki deszczu, potem zaczęły bić grubsze krople. Uderzenia brzmiały jak terkot karabinu maszynowego. Na zewnątrz huczał wiatr, wyły silniki, Mimo takich fatalnych warunków Batura prowadził samolot bardzo dobrze.

— Gdzie nauczyłeś się tak pilotować? — zapytałem Baturę.

— Umiem tylko trochę, ale mam dobrą motywację.

Udzielił odpowiedzi tym swoim charakterystycznym zimnym tonem zwiastującym kłopoty ludziom, którzy stanęliby na jego drodze. Rozumiałem, że odezwał się w ten sposób, bo był skupiony na pilotowaniu. Pojąłem jeszcze jedną rzecz: Jerzy Batura mocno kochał Zuzannę i ta miłość gnała go teraz na ratunek ukochanej.

Zastanawiałem się, czy powinienem zdradzić niespodziewanemu sojusznikowi, kim mógł być znajdujący się na wyspie staruszek? Nie, to jeszcze nie był odpowiedni moment.

Wokół nas szalał żywioł. Przez deszcz nie widziałem nic prócz strug wody spływających po oszklonym nosie i upiornych zygzaków błyskawic. Bombowcem niekiedy mocno rzucało w górę i w dół. Nagle poczułem, jakby coś uderzyło w maszynę. Rozległ się potworny huk i usłyszałem, jak Batura zaklął.

— Co się stało?! — wrzasnąłem. — Piorun?!

— Trafił nas, ale tylko w końcówkę skrzydła. Nic się nie stało. Ten drań zmajstrował coś gorszego.

— Mów! — krzyknąłem zauważając, że samolot jakoś dziwnie się zachowuje. Batura sterował bombowcem, jakby chciał lecieć zygzakiem. — Co ty wyprawiasz?!

— Kiedy Kurt zasypiał i widział, że biorę jego kurtkę i kluczyki do samolotu, powiedział coś o tym, że spotkamy się w piekle. Nie rozumiałem, co miał na myśli. On tu zamontował coś w rodzaju immobilizera, jakby ktoś chciał ukraść samolot, to ma się nim rozbić. Nie wiem, jak to wyłączyć, a czuję, że już nie panuję nad sterem. Ty masz u siebie awaryjny ster. Zobacz, czy u ciebie działa jak trzeba.

Niepewnie wyciągnąłem rękę do wolanta. Na drążku było umocowane coś, co od biedy kształtem przypominało niewielką kierownicę. Musiałem cały ster wysunąć przed siebie, przesunąć fotel w stronę pedałów orczyka.

— Uwaga, poruszę drążkiem! — ostrzegłem Baturę.

— Zrób to z wyczuciem! — usłyszałem błaganie.

Wolant poruszał się niczym wąż czarowany grą fujarki indyjskiego tresera. Chwyciłem go tak samo szybko i delikatnie, jakbym chciał złapać jadowitą kobrę. Pokręciłem w lewo i w prawo. Poczulem opór, a jednocześnie w słuchawkach rozległ się radosny okrzyk Batury.

— Działa! — cieszył się. — Leć, a ja poszukam, jak wyłączyć to cholerstwo.

— Łatwo ci powiedzieć: leć! Jak mam to zrobić?

— Na razie trzymaj kurs i wysokość! To nie „Sokół Millennium”, a ty jesteś trochę bystrzejszy niż Wookie.

— Han Solo dałby sobie radę z takim zabezpieczeniem — odgryzłem się. Dowcip był marnym panaceum na katastrofalną sytuację, w jakiej się znaleźliśmy. Mimo moich najszczerszych wysiłków zbaczaliśmy z kursu, raz w lewo, raz w prawo, a utrzymywanie wysokości w moim wydaniu przypominało raczej jazdę kolejką górską w parku rozrywki. Na szczęście to był dobry samolot i reagował na wszystkie moje ruchy sterami bardzo łagodnie, dając czas na ewentualną korektę błędów.

— Znalazłeś wyłącznik? — pytałem Baturę.

— Taki czerwony z napisem „fuel” to pewnie nie to?

— To dość kiepski żart — wycodziłem przez zaciśnięte usta. — Jak wyobrażasz sobie nasze lądowanie na tej wysepce?

— Masz wrodzony talent do rozbijania statków, samolotów i samochodów należących do przeciwników, ale zawsze cało wychodzisz z opresji. Jesteś po prostu niewyobrażalnym farciarzem. Pamiętaj, że jakby coś nam nie wyszło, masz zaopiekować się Zuzanną.

— Jeśli pamiętam, to dość samodzielna i bardzo bystra dziewczyna.

— Masz ją wyciągnąć z tej wyspy! Batura nagle zamilkł.

— Co się stało? — zaniepokoiłem się.

— Odbieram sygnał z urządzenia naprowadzającego na pas na tej wysepce. Skręć osiem stopni na wschód.

Zerknąłem na kompas ulokowany pomiędzy wysokościomierzem a chyłomierzem. Poruszyłem wolantem i orczykami. Straciłem pięćdziesiąt metrów wysokości, ale byłem prawie na wyznaczonym przez Baturę kursie.

— Kiedy będziemy podchodzili do lądowania, ja będę obsługiwał manetki gazu, ty tylko słuchaj tego, co mówię — rozkazywał Batura. — Jesteśmy około pięciu kilometrów od nich. Zaczni ostrożnie sprowadzać samolot w dół.

Pchnąłem ster.

— Nie wchodź w lot nurkowy! — po tym wrzasku pociągnąłem ster do siebie.

— Teraz chcesz zrobić świecę?! — Jerzy pouczył mnie ponownie.

— Może jednak będziemy skakali? — zaproponowałem.

— A oni z radością przyjmą pilota bez samolotu. To nie wzbudzi w nich żadnych podejrzeń? — Batura drwił. — Paweł, skup się! Delikatnie... O, właśnie tak! —

pochwalił mnie, kiedy udało mi łagodnie skierować bombowiec ku wyspie.

Z wysokości trzystu metrów ujrzałem dwie rozświetlone kreski oznaczające lądowisko. Jerzy zapalił światła na skrzydłach i pod kadłubem.

— Paweł, mamy jedno podejście — w głosie Batury słyszałem napięcie. — Zejdiesz za nisko, to roztrzaskamy się. Przeleczysz nad pasem, to nie uda nam się zawrócić i drugi raz tak dobrze podejść, bo trema cię zeżre i nawalisz. Teraz albo nigdy!

Od tej chwili w słuchawkach słyszałem tylko polecenia Batury: „w lewo”, „w prawo”, „wyżej” lub „niżej”. Miałem wrażenie, że zbliżamy się do lądowiska z zawrotną prędkością. Mimo to dwa rzędy świateł wciąż wyglądały na bardzo krótkie.

Byliśmy na wysokości około pięćdziesięciu metrów, kiedy w świetle reflektorów bombowca ujrzałem sterczące skalne szpile, zaledwie kilka metrów pod nami.

— Odrobinę podciągnij! — wrzasnął Batura.

Nos samolotu uniósł się, a wtedy Jerzy zmniejszył moc silników.

— Równaj! — kolejny wrzask.

Uderzyliśmy kołami o pas. Cała maszyna zaskrzypiała, ale koła zaterkotały na dziurawym betonie. Jerzy jeszcze bardziej zmniejszył prędkość. Ogon bombowca opadł i od tego momentu mogliśmy tylko patrzeć, czy zdążymy wyhamować.

— Uważaj! — krzyknął Batura.

Pod nami coś stuknęło, a ja przez oszklony spód kabiny dostrzegłem rozciągnięte w poprzek pasa grube liny. Instynktownie zapałem się i słusznie. Batura wiedział, że podobnie jak samoloty lądujące na pokładzie lotniskowca mamy hak, który miał zaczepiać o takie liny. Gwałtownie traciliśmy prędkość, zatrzymując się około trzystu metrów od końca pasa.

— Jak się czujesz? — zapytał Batura.

— Nie chciałbym drugi raz powtarzać tego wyczynu.

— Teraz pilnuj się. Jedzie komitet powitalny.

Z prawej strony dostrzegłem światła jakiegoś samochodu. To był stary, pocziwy UAZ, auto terenowe produkcji radzieckiej. W kabinie siedziało dwóch mężczyzn. Pasażer, ubrany w mundur amerykański z czasów wojny wietnamskiej, zwany „tygrysię pręgi”, wysiadł i kuląc się przed deszczem wszedł pod samolot. Odczepił liny hamujące, dał znak kierowcy, a tamten ustawił pojazd tyłem do nas, pięć metrów przed nami. Mężczyzna w mundurze umocował hol i wszedł do terenówki. Po prawej stronie, sto metrów od nas, ujrzałem powiększającą się rozświetloną szparę. To były otwierające się drzwi do hangaru.

— Są dobrze zorganizowani — stwierdził Batura.

— Dlatego nie możemy popełnić nawet najdrobniejszego błędu — przyznałem.

UAZ odholował nas pod hangar. Stanęliśmy tyłem do wjazdu. Z terenówki wysiedli obaj mężczyźni i dali nam znak rękoma, żebyśmy wysiedli.

Odsunąłem fotel, otworzyłem właz i z nieco zdrętwiałymi nogami znalazłem się na lotnisku. Nade mną Batura schodził po lewym skrzydle bombowca. Deszcz siekł nas po twarzach, a musieliśmy jeszcze wepchnąć maszynę do hangaru. Kiedy tylko znaleźliśmy się pod dachem, w oświetlonym wnętrzu od razu poczułem się lepiej. Mogłem też przyjrzeć się gospodarzom. Obaj, podobnie jak trzeci mężczyzna, który otworzył nam hangar, byli ubrani w identyczne mundury. Kierowca, nieco tęgawy, najniższy, z twarzy przypominał typowego czterdziestoletniego sierżanta. Nieco arogancki, odpychający, władczy. Przyglądał nam się badawczo. Miał krótko przystrzyżone włosy, nalaną twarz, garbaty nos, a szeroka szyja ledwo mieściła się w kołnierzu bluzy.

Ten, który podpinał do nas hol, zdjął teraz kapelusz ukazując długie, sięgające do ramion kasztanowe włosy, spięte w kucyk. Mundur nosił z nonszalancją, którą podkreślała koszula w kwiaty założona pod bluzę. Natychmiast wyjął paczkę papierosów i zapalił. Był szczupły, miał najwyżej trzydzieści lat, inteligentne i zawadiackie spojrzenie. Cały czas po jego twarzy błąkał się złośliwy uśmiezek.

Ostatni członek witającej nas ekipy był wysoki, chyba dwumetrowy, dobrze zbudowany — typ żołdaka rodem z filmów wojennych. Do tego założył koszulkę na ramiączkach — chyba po to, żebyśmy z uwagą obejrzeliby tatuaż „Semper Fidelis” z godłem amerykańskiego korpusu marines i mogli podziwiać jego mięśnie. Podszedł do nas.

— Witajcie — odezwał się po angielsku. — Nazywam się Mel Redeye — stanął w rozkroku podpierając się pod boki. — Ty jesteś Kurt? — wskazał na Baturę.

— Tak, a to mój pasażer — Batura natychmiast skierował uwagę olbrzyma na mnie.

— Witaj, kolego — Mel wyciągnął do mnie wielką grabę. Podałem mu dłoń, którą tamten ścisnął i z wyraźną radością zaczął miażdżyć patrząc, jak zaczynam się wić z bólu.

— Puścisz? — syknąłem.

— Spróbuj mi się wyrwać. Foko — drwił tamten.

Zrobiłem prawą nogą krok w tył pociągając też umęczoną rękę. Nagły ruch wyprowadził Mela z równowagi. Lewą dłonią nacisnąłem jego wyprostowaną rękę od wnętrza łokcia. Mel pochylił się w moją stronę z wyciągniętą prawą ręką. Był przede mną, plecami do mnie i nie mógł mi nic zrobić. Szybko wsunąłem łokieć lewej ręki pod jego brodę i uniosłem go po łuku w górę, tak jakbym chciał coś podrzucić. Mel padł przede mną. Błyskawicznie próbował kopnąć mnie, ale ja tylko podskoczyłem i wylądowałem stając stopami tuż za jego głową. Pochyliłem się i chwyciłem go za uszy.

— Dobrze wiesz, że mógłbym z tobą zrobić teraz co bym tylko chciał, ale podobno mamy jakąś pracę do wykonania — starałem się zgrywać twardziela.

Mel postanowił chyba przy innej okazji dać mi nauczkę. Teraz nie pozostało mu nic innego jak uśmiechnąć się.

— Foka, nieźle cię wyszkolili — mruknął wstając. — Byłeś w polskiej jednostce morskich komandosów, ale to Ruscy was trenowali.

— Nigdy byśmy im na to nie pozwolili — odparłem.

— Szkoda, że nie spotkaliście się na wojnie — wycedził Amerykanin.

— Dajcie spokój — odezwał się ten z kucykiem. — Chłopaki przelecieli szmat drogi i pewnie są zziębnięci i głodni. Nazywam się Dutch Flying, a ten przemiły grubasek to Ed Frog. W kuchni czeka na nas Olaf, który właśnie na waszą cześć pali jajecznicę lub szykuje niedosmażonego łososia. Chodźmy...

— Stop! — krzyknął Mel. — Ed, Dutch i Foka, wywieziecie na pas startowy przeszkody. Kurt powinien chyba zająć się samolotem? Ja pójdę do radia i spróbuję dowiedzieć się, co słychać u szefa.

Dopiero teraz mogłem przyjrzeć się wnętrzu hangaru. Był ogromny, wysoki na dwanaście metrów, z drzwiami otwieranymi na szerokość czterdziestu metrów. Pod sufitem ujrzałem porzewiałe dźwigary. W głębi stały stoliki z narzędziami i znajdowały się tam drzwi prowadzące do innych pomieszczeń. Najpierw z Edem i Dutchem podczepiłem do terenówki długą i wąską przyczepę, na której znajdowały się bryły betonu i porzewiałe żelastwo. Dopiero kiedy wyjechaliśmy na lądowisko, gdzie zgasły już światła i z Dutchem zdejmowaliśmy ładunek zauważyłem, że beton w rzeczywistości był styropianem, a metalowe kozły wykonano z drewna. Takie mylne wrażenie wywoływało odpowiednie pomalowanie konstrukcji.

„Betonowy gruz” musieliśmy żyłkami mocować do ukrytych w jamkach pasa startowego haków. „Metalowe konstrukcje” po prostu ustawialiśmy.

— Po co ten kamuflaż? — zapytałem Duteha.

— Ta wyspa to dawna niemiecka stacja meteorologiczna — odpowiedział. — W czasie wojny była tu też niewielka baza dla okrętów podwodnych. Ta wysepka nazywa się Kieł Diabła. Ma milę średnicy i wyrasta na trzydzieści do pięćdziesięciu metrów nad wodę. To pionowe, skalne ściany. W jednym tylko miejscu jest rysa szerokości dwudziestu metrów. To przez nią miały do środka wpływać U-Booty. Tu, pod nami, jest wydrążony skalny labirynt. Podobno Sebedian kupił tę wyspę.

Wymyślił te przeszkody antydesantowe, żeby nikt tu nie wylądował, bo do brzegu i tak nikt nie dopłyne, a do portu nie wpłynie nie znając przejścia między skałami. Siedzimy tu od dwóch tygodni i nawet nad nami nie przeleciał samolot, nie przepływał obok nas żaden statek. A przecież powinni nas szukać.

— Czemu?

Te ostatnie słowa, kiedy wsiadaliśmy do terenówki, usłyszał Ed. Wrogo spojrzął na kolegę.

— Nie gadaj tyle! — pouczył kumpla. — Bez urazy — odwrócił się do mnie. — Położyłeś kapitana na łopatki, ale to nie *znaczy*, że możemy ci od razu wszystko mówić.

— Mel jest kapitanem? — upewniałem się.

— Byłem oficerem marines — wyjaśniał Dutch. — On i Ed wylecieli z wojska za jakieś machlojki.

— Zamknij się! — warknął Ed.

— A ty też byłeś w wojsku? — zapytałem Duteha.

— Co ty! Jestem geologiem i miłuję pokój.

— Opowiedz, czemu musiałeś wiać ze Stanów Zjednoczonych — Ed zarechotał.

— Miałem inny system wartości naukowych...

— Nagadał ludziom z jakiegoś pueblo w Teksasie, że te beczki zwożone przez kołosem chemiczny nie zawierają nic szkodliwego, tylko niegroźne odpady produkcji spożywczej. Ciekawe, jakie baloniki zawierają cząsteczki uranu?

— Jesteś typowym ciemniakiem, który boi się *rzeczy niewidzialnych*... i słusznie, bo zabijają nas wirusy i zjedzą bakterie — Dutch wygłosił to z poważną miną. — Nad światem zapanują nie kosmici, nie komuniści, tylko owady.

Na szczęście nie musiałem dłużej słuchać tych dywagacji. Wróciliśmy do hangaru zostawiając na zewnątrz porzewiałą przyczepę. Zasunęliśmy wrota. Batury nie było przy samolocie, który spokojnie stał z otwartymi lukami. Z kabiny bombardiera zabrałem plecak i pobiegłem do drzwi. Czekał przy nich Ed. Kiedy tylko przeszedłem próg i znalazłem się w zimnym korytarzu wykutym w skale, oświetlonym rzadko rozmieszczonymi żarówkami w drucianych oprawkach, Ed przekreślił kontakt. W hangarze zgasło światło, a Kieł Diabła pograżył się w ciemnościach.

ROZDZIAŁ TRZECI

KOMPANIA POSZUKIWACZY SKARBU • ODPRAWA • BAŁTYCKIE WRAKI • NOCNA NAPRAWA SAMOLOTU • MINA PUŁAPKA

Ed prowadził mnie wąskim korytarzem do metalowych schodów zamocowanych w chodniku opadającym pod kątem 45 stopni. Doszliśmy do platformy i kolejnych stopni tym razem w głębokiej na kilkadziesiąt metrów studni.

— Niemcy jeszcze przed wojną zainstalowali tu windę — opowiadał Ed. — Pod koniec wojny Brytyjczycy przeprowadzili rajd na tę wyspę. Grupa komandosów poszukiwała kogoś lub czegoś, ale znaleźli tylko opuszczoną bazę. Żołnierze podłożyli ładunki wybuchowe niszcząc tę windę. Musieliśmy tu zrobić klatkę schodową.

— Ty i Mel? — domyśliłem się.

— Tak — odpowiedział mój przewodnik i jego ciężkie, wojskowe buty zastukały, kiedy szybko schodził.

Zeszliśmy około dwudziestu metrów i doszliśmy do wąskiego korytarza. Na początku na ścianach widać było ślady zniszczenia: osmolenia, pokruszoną otulinę betonową i poszarpane fragmenty blachy z warstwy odpryskowej na stropie. Po przejściu dziesięciu metrów dotarliśmy do jasno oświetlonego holu o powierzchni przynajmniej trzydziestu metrów kwadratowych. Na ścianach po lewej i prawej stronie zauważyłem po dwoje ciężkich, dwudzielnych, metalowych drzwi. Przypominały te montowane w niemieckich schronach w okresie drugiej wojny

światowej. Na wprost były drewniane drzwi, a po ich bokach znajdowały się dwie strzelnice, w których można było zapewne zainstalować karabiny maszynowe. Kiedy obróciłem się, tuż przy wyjściu z korytarza, ujrzałem wejście do kuchni. Widziałem szafki i kuchenkę elektryczną, na której stał garnek, a smakowity zapach gulaszu docierał aż do mnie.

— Skład, wasza sypialnia, pokój narad, dowództwo, węzeł łączności, kuchnia — Ed obracał się i tłumaczył co gdzie jest, pokazując kolejne drzwi zgodnie z ruchem wskazówek zegara. — Tam w rogu są schody prowadzące do hangaru z łodzią, ale na razie nie powinno cię to interesować — wskazał na początek schodów i poręczę widoczne tuż pod jedną ze strzelnic, przy ścianie „dowództwa”. — Zostaw graty i przyjdź na kolację.

Poszedłem do pomieszczenia, które wskazał Ed. Była to spora sypialnia z trzema piętrowymi łózkami. Niedawno ktoś postawił ściankę działową, oddzielając w ten sposób łazienkę. Widziałem, że jedno łóżko było zajęte przez Dutcha. Spał na dolnej pryczy, a górna służyła mu jako podręczna szafa, czyli skład bielizny i kolorowych koszul. Torba Batury stała przy drugim łóżku, a ja zająłem trzecie. Szybko umyłem ręce i twarz i poszedłem do kuchni. Zostałem tam Jerzego, Dutcha i wysokiego blondyna z wielką brodą i ogromnym brzuchem. Ed minął mnie niosąc dwie menażki z jedzeniem.

— Olaf, to jest Foka — Dutch przedstawił mnie brodacowi. — Foka, to jest Olaf, kapitan naszej łodzi.

— Pierwszy raz widzę tak mało tłustą Fokę — Olaf rozłożył ręce do serdecznego powitania i zaraz przytulił mnie do siebie, a ja mogłem tylko wdychać smród ryb i tytoniu, jakim przesiąknięta była jego flanelowa koszula. — Muszę cię trochę utuczyć — trzymał mnie w wyprostowanych ramionach. — Siadaj, chłopcze.

Olaf miał około czterdziestu lat, ale wyglądał o wiele starszej przez głębokie zmarszczki na twarzy. Był Norwegiem. Mówił po angielsku strasznie przekręcając słowa i akcentując je, jakby zupełnie nie zwracał na to uwagi.

Usiadłem do prostego drewnianego stołu, przy którym stały plastikowe krzesła, jakie można kupić w sklepach ogrodniczych. Kuchnia była dobrze wyposażona, czysta, ale ktoś dosyć nieporadnie wykładał ją kafelkami.

— Jedz na zdrowie! — Olaf postawił przede mną wielką miche z parującym mięsem oblanym gęstym sosem, a do tego koszyk z pieczywem i kubek z kawą.

Dutch zapalił papierosa, ale dym szybko ulatniał się dzięki sprawnej wentylacji.

— Olaf, jaka jutro ma być pogoda? — Dutch zapytał kolegę.

— W ciągu dnia dobra. Z wieczora zacznie lać i jak gwizdnie, to będziecie wisieć na burcie i oddawać rybom zawartość żołądków — Olaf roześmiał się.

— Ed zaniósł żarcie do klatek? — Dutch wydmuchał gęsty kłęb dymu.

— Tak. Ta laska i tak nie chce jeść, a staruszek co chwila łapie się ZEI serce.

— Kim oni są? — zapytałem.

— Niech to cię tak nie interesuje — usłyszałem za sobą głos Eda — A ty

— wymierzył palec w Dutcha — zamknij się wreszcie! Ed usiadł po drugiej stronie stołu, na wprost mnie.

— Nie podobasz mi się — oznajmił. — Kurt nie zadaje głupich pytań, a ty cały czas wypytyjesz się. Trafiłeś na taką papugę jak Dutch i tylko byście gadali, jak baby w kawiarni.

— Gość znalazł się w nowym miejscu i nic dziwnego, że chce wiedzieć, w co wdepnął — Olaf bronił mnie.

— Ty też lepiej siedź cicho — Ed gwałtownie odwrócił się do Norwega.

— Wszyscy dostajemy niezłą kasę za wykonanie zadania, ale nie za zadawanie pytań.

— Nikt mnie nie uprzedzał, że będę musiał przekradać się na plażę po jakąś babkę — warknął Olaf obracając się do kuchni.

Ed zerwał się z krzesła z niezwykłą jak na jego tuszę sprawnością. Podbiegł do Olafa i objął ramieniem jego szyję, drugą ręką przekręcając jego głowę.

— Żadnych głupich komentarzy i zbędnych pytań — wysyczał. — To odnosi się także do was! — z wrogością zerkał na mnie i Dutcha.

— Puść Olafa, bo szkoda takiego talentu kucharskiego — prosiłem. — Ty chyba nie potrafisz bez rozkazu i regulaminu posłodzić herbaty.

Ed puścił Olafa i chciał ruszyć w moją stronę, ale zatrzymał się w pół kroku i mimowolnie wyprężył się na baczność. W progu stanął Meli

— Kapitan na pokładzie! — parsknął Dutch gasząc papierosa. Niczym komediant zasalutował, wstał i podszedł do ekspresu, żeby nalać do kubka kawy. Mel zacisnął szczęki widząc taki przejaw nonszalancji.

— Ed, co się dzieje? — warknął.

— Nowy **zadaje** za dużo pytań — zameldował Ed, Mel spojrzął na mnie.

— Już wiem! — pokiwałem głową i zanurzyłem łyżkę w gulaszu. — Żadnych pytań, obiecuję!

— Za godzinę odprawa, potem cisza nocna — powiedział Mel. — Ed, chodź ze mną.

Obaj wyszli, a my odetchnęliśmy z ulgą.

— Myślę, że chłopaki dobiorą ci się do skóry — Dutch rozsiadł, zapalając drugiego papierosa. — Na twoim miejscu, już po wszystkim, uważałbym na to, co dzieje się za twoimi plecami.

Do kuchni wrócił Ed niosąc dwa komplety sortów mundurowych, identycznych jak mieli wszyscy.

— Załóżcie to — rozkazał kładąc mundury przede mną i przed Baturą.

— Witajcie w armii — Dutch uśmiechnął się. Olaf z szafki wyjął butelkę whisky. Bez słowa dołał jej do kubków Batu-ry, a potem mojego.

— Na trzeźwo pewnych rzeczy człowiek nie przejdzie — mruknął częstując także Dutcha, a potem wypijając potężny łyk. Jerzy wypił kawę jednym haustem, a potem wstał.

— Pójdę się przebrać — powiedział.

— Nie mogę zadawać pytań, to będę śpiewał pod prysznicem — mrugnąłem do Dutcha.

Wziąłem kubek, mundur i poszedłem za Baturą. Chciałem wylać kawę do toalety, ale Jerzy na migi pokazał mi, że muszę wypić choć trochę alkoholu, bo Olaf wyczuje po zapachu, że nie piłem i nabierze podejrzeń. Poszedłem się wykapać, a potem założyłem mundur. Położyłem się na pryczy i spokojnie czekałem na odprawę. W tym czasie Jerzy też poszedł pod prysznic, a potem siedział na sąsiednim łóżku. Nie mogliśmy rozmawiać ze sobą w języku polskim, bo przecież Baturą udawał Niemca.

— I jak ci się to wszystko podoba? — szeptął pochylony w moją stronę.

— Nie podoba mi się ten narzucony nam dryl wojskowy — odpowiedziałem. — Samozwańczy kapitan i jego przyboczny działają mi na nerwy. Czemu ograniczają nam chodzenie po całej bazie? Muszę tu gnąć jak szczur w norze — biadolilem.

Na migi dawałem Baturze znaki, że trzeba jakoś dostać się na niższy poziom, bo tam, jak obaj słyszeliśmy, byli trzymani więźniowie. Wyglądało na to, że Mel i Ed zastrzegli sobie prawo do kontaktu z uprowadzonymi. Jerzy w odpowiedzi pokazał, że ma pewien pomysł.

— Będę musiał jeszcze dziś pogrzebać przy samolocie — powiedział. Domyślałem się, że chciał wyłączyć immobilizer zamontowany przez Kurta.

— Zebranie! — Dutch wsunął głowę do sypialni opierając się o framugę. Ciekawie nam się chwilę przyglądał i zniknął. Przeszliśmy z Jerzym do sąsiedniej sali spoglądając na schody prowadzące w dół. Pokój narad był duży, większy niż hol. Pod ścianami stały zniszczone metalowe stoły, niegdyś pewnie uginające się pod ciężarem urządzeń. Teraz były puste i tylko pomalowane farbą. Na ścianach znajdowała się boazeria, którą miejscami pokrywały plamy pleśni. Jednak w oczy rzucały się ekran na stojaku, laptop z podłączonym rzutnikiem obrazów i wygodne fotele. Mel stał przy komputerze i jeszcze coś w nim przeglądał. Olaf i Dutch

siedzieli, a właściwie półleżeli w fotelach. Spoczęliśmy na wolnych siedzeniach. Za naszymi plecami stanął Ed.

— Muszę pilnować komunikatów radiowych — wyjaśnił widząc moje zdziwione spojrzenie.

— Dość jałowego gadania — Mel wyprostował się i stanął przy ekranie. Ed wyłączył światło i jedyną jasną plamę stanowiło światło z rzutnika. Mel nacisnął guzik pilota i na ekranie ujrzeliśmy fotografię prezentującą frachtowiec z napisem: „Goya”.

— Panowie! — Mel stanął wyprostowany.

— Czemu nie żołnierze? — zażartował Dutch. Mel zbył milczeniem te słowa.

— Mamy zadanie do wykonania i na tym skupmy swoją uwagę — kontynuował. — To jest nasz cel. Zaczniemy jednak od jasnego podziału zadań i kompetencji. Ja jestem dowódcą i zastępuję tu pana Sebediana, waszego pracodawcę. Ed jest moim zastępcą i to on z Foką zejdzie pod wodę. Kurt to pilot, którego zadaniem będzie wywiezienie naszego łupu z wyspy. Olaf jest kapitanem naszej łodzi. Czy napis „Boston” wyschnie do jutra?

— Tak, szefie — Norweg kiwnął głową.

— Świetnie! — Mel był zadowolony. — Wypływamy jutro przed południem. Schodzimy pod wodę i wracamy tu, do bazy, na godzinę przed zmrokiem, żeby Kurt zdążył spokojnie wystartować.

— Chciałbym jeszcze tej nocy posiedzieć przy samolocie, żeby przygotować go do lotu — odezwał się Batura.

— Będziesz miał na to cały jutrzejszy dzień — odparł Mel. — Zostaniesz w bazie.

— Dobrze, ale do rana muszę mieć pewność, czy samolot da radę wystartować — tłumaczył Batura. — Przecież kiedy stąd nie odleczę, zmienią się wasze plany. Lepiej, żebyśmy jeszcze przed waszym nurkowaniem wiedzieli, na czym stoimy.

— Masz rację — przyznał Mel. — Kurt, czemu przed wylotem dobrze nie przygotowałeś maszyny?

— Na lotnisku wszystko było w porządku — bronił się Jerzy. — Dopiero w czasie lotu poczułem, że stery jakoś ciężko chodzą. Będę potrzebował kogoś do pomocy.

— Ed z tobą pójdzie — powiedział Mel.

Odruchowo obejrzałem się, by zobaczyć, co robi pomocnik kapitana, ale grubaska w sali nie było. Wychyliłem się za oparcie, by zerknąć w stronę pomieszczenia z radiostacją, ale nie dałem rady zajrzeć tam.

— Może niech Foka pójdzie z tobą, a potem zmieni go Ed — Mel nagle zmienił zdanie.

Widziałem jak przenosił wzrok na mnie i na Baturę, obserwując naszą reakcję. Na szczęście Jerzy zachował kamienny spokój.

— Niech tak będzie — kiwnął głową.

— Jeszcze jakieś problemy? — pytał Mel. — Dutch, jak tam twój sprzęt?

— Działa i jest zamontowany na kutrze — geolog odezwał się. Teraz Mel zaczął zasadniczą część odprawy. Najpierw opowiedział nam o historii i zagładzie statku „Goya”. Największa tragedia morska kojarzy nam się z zatonięciem „Titanica”, a tymczasem pięć największych podwodnych grobowców znajduje się na Bałtyku, a do tego wszystkie te statki zatoniły między styczniem a majem 1945 roku. Na pokładach statków: „Wilhelm Gu-stłoff”, „Goya”, „Generał von Steuben”, „Cap Arcona”, „Thielbek” zatoneło w sumie ponad 23 tysiące ludzi, z czego znaczącą część stanowili uchodźcy z dawnych Prus Wschodnich.

Zainteresowanie bałtyckimi wrakami będzie rosło z każdym rokiem, nie tylko ze względu na przesyt i łatwość dostępu do statków na dnach wód karaibskich czy wokół Filipin. Robert Ballard, odkrywca miejsca spoczynku „Titanica”, nakręcił film dla National Geographic o podwodnych grobowcach przy polskim wybrzeżu. To spowoduje masowy ruch nurków-turystów, a naszym zadaniem było zdążyć na

„Goyę” przed nimi.

W niskiej temperaturze Bałtyku resztki statków zachowują się dobrze, również dzięki temu, że nie ma u nas świdrowców, które żrą metalowe elementy statków. Do tego trzeba dodać jeszcze jeden fakt. Od kilkunastu lat wrak „Wilhelma Gustloffa” jest na życzenie strony niemieckiej uznany za podwodny grobowiec.

Dlaczego te statki stały się tak wielkimi cmentarzyskami? „Wilhelm Gustloff” był niemieckim statkiem wycieczkowym, a jego patronem „męczennik” narodowego socjalizmu, zastrzelony 4 lutego 1936 roku przez Davida Frankfurtera, żydowskiego studenta. Budowę statku rozpoczęto w 1936 roku i jej koszt, 25 milionów marek, był równy cenie wybudowania dwóch nowoczesnych niszczycieli. Wodowano go w maju 1937 roku. Miał długość 208 metrów, szerokość 23,5 metra, wysokość od kila do topu masztu 53 metry. Mógł płynąć z maksymalną prędkością 15,5 węzła. Jego załoga liczyła 426 osób. W 460 kabinach mogło zamieszkać 1465 pasażerów. Przed wojną statkiem pływali na coś w rodzaju wczasów zasłużeni działacze NSDAP i jej przybudówek. W czasie wojny zmienił nazwę na „Lazarettsschiff D” i stał się okrętem Kriegsmarine. Od 1940 roku był koszarowcem, w którym mieszkały szkolone załogi U-Bootów. „Wilhelm Gustloff” 30 stycznia 1945 roku wypłynął w swój ostatni rejs. Do dziś nie ma pewności, ilu pasażerów przewoził, bo przy liczbie 6500 zaokrętowanych uciekinierów skończyła się księga pokładowa i kolejnych pasażerów nie notowano. Młodszych dzieci także nie odnotowywano. Z pewnością na pokład dostali się także uprzywilejowani oraz ci, którzy dali łapówki. Po wojnie główny intendent statku twierdził, że wydano 10,5 tysiąca kartek na zupy, czyli można wnioskować, że tylu było uciekinierów. Z uratowanego ponad tysiąca ludzi tylko setkę stanowiły dzieci i to starsze, a resztę młodzi mężczyźni i kobiety. Tylko silny organizm mógł wytrzymać ponad kilkanaście minut w wodzie o temperaturze dwóch stopni, przy porywistym wietrze, sztormie i temperaturze powietrza minus 18 stopni. Ostatnią uratowaną ofiarą ze statku było kilkumiesięczne dziecko, wokół którego kokon zmoczonych kołderek i kocyków zamarzył, zamieniając się w miniaturową łódeczkę. Marynarz, który je uratował adoptował dziecinę, ale po wojnie znalazł się biologiczny ojciec dziecka. Decyzją sądu prawdziwe ojcostwo ukrywano przed dzieckiem do chwili jego pełnoletności, a wtedy ono odeszło od swego ojczyma. Ten marynarz był chyba jedną z najsmutniejszych ofiar tej tragedii.

10 lutego 1945 roku na północ od Ustki po dwudziestu minutach od trafienia trzema torpedami wystrzelonymi przez ten sam radziecki okręt, który zatopił w noc po wyjściu z Gdyni „Wilhelma Gustloffa”, na dnie spoczął „Generał von Steuben”. Z 3200 pasażerów uratowało się 300 osób.

16 kwietnia 1945 roku „Goya” z 6385 osobami na pokładzie opuścił redę portu w Helu. Około kwadransa przed północą statek został trafiony dwiema torpedami wystrzelonymi przez sowiecki okręt podwodny L-3. Statek przełamał się na pół i po około czterech minutach zatonął. Woda miała temperaturę 3 stopni Celsjusza. Uratowano tylko 182 osoby. Ponad 6200 zginęło. Według innych danych liczba pasażerów przekroczyła 7200 osób. Statek leży na głębokości około 78 metrów, 22 mile na pomoc od Rozewia. Został zbudowany w 1942 roku w stoczni w Oslo. Pierwotnie był przeznaczony dla armatora Hamburg-Amerika-Linie z Hamburga, lecz został wkrótce przejęty przez Kriegsmarine. Do 1944 roku stacjonował w Kłajpedzie w strukturach 25. flotyli okrętów podwodnych. Służył tam zarówno jako okręt cel, jak i jednostka zaopatrzeniowa. Po rozpoczęciu ewakuacji z Kłajpedy do chwili jego zatopienia był używany jako transportowiec wojska. Podczas ostatniego rejsu na jego pokładzie znajdowali się między innymi żołnierze 4. dywizji pancerniej.

Mel wyświetlał nam schematy rozkładu pomieszczeń. „Goya” miała ładownie i duże pokłady na dziobie i rufie. Śródkręcie zajmowała nadbudówka z mostkiem kapitańskim. To właśnie tam znajdował się sejf, który miałem otworzyć.

— Skąd mamy pewność, że sejf wciąż znajduje się na statku? — przerwałem

wykład Mela.

— A gdzie miałyby być? — zdziwił się.

— Okręt podwodny trafił „Goyę” w rufę i śródkręcie — przypomniałem. — Kiedy statek tonął, jego kotły wybuchły. Może więc sejf wcale nie znajduje się w kajucie, tylko na „polu śmierci” za statkiem, tam gdzie na dnie spoczęło wszystko to, co wypadło z okrętu, nim ten utonął, lub sejf zapadł się do innego pomieszczenia?

— Skąd tak dobrze znasz historię „Goyi”? — za sobą usłyszałem głos Eda.

— Przecież wiecie, że nurkowałem z odkrywcą wraka. Inaczej byście mnie nie wynajmowali do tej roboty.

— Znasz „Kompasa”? — Ed upewniał się.

— Jakiego „Kompasa”?! To „Banan” odkrył wrak i to po dwóch latach poszukiwań. Miałem *zaszczyt* spotkać się z tym człowiekiem wtedy tylko ten jeden raz.

— Nie gorączkuj się — Ed uśmiechnął się. — Tylko cię sprawdzałem. Wiem, że to „Banan” pierwszy zbadał „Goyę”. Nie martw się o znalezienie sejfu. Ja go znajduję, a ty go tylko otworzysz.

Przyznam, że ta część zadania napawała mnie największym niepokojem. Z okresu służby w wojsku zapamiętałem trochę na temat zakładania ładunków wybuchowych. Jednak co innego wysadzić ziemiankę na poligonie, a co innego „otworzyć” sejf pod wodą.

— Po nurkowaniu przyplływamy na wyspę, Kurt startuje i odwozi Fokę do Polski, a potem leci do Francji, gdzie oddaje ładunek. Wszystko jasne?

— Co zrobimy, kiedy Kurt nie będzie mógł wystartować? — zapytałem.

— Odwieziemy cię łodzią — odpowiedział Mel.

— Kiedy dostanę kasę? — czułem, że muszę zadać to pytanie.

— Księgowy firmy pana Sebediana prześle na twoje konto pieniądze zaraz po tym, jak wyślę do niego odpowiednią wiadomość.

— Wolałbym gotówkę.

— Ale nie ma tu bankomatu — Ed zwrócił mi uwagę tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Koniec odprawy! — oznajmił Mel. — Jutro czeka nas robota! Pobudka najpóźniej o dziewiątej.

Batura kiwnął na mnie, że musimy iść do samolotu.

— Masz fajki? — zapytał Dutcha.

— Zaczęłeś palić? — tamten sięgnął po paczkę.

— Jak pracuję przy maszynie lubię sobie popalić — Batura roześmiał się. Wziął papierosy i wyszliśmy z sali. Zajrzałem do sypialni i zauważyłem, że ktoś grzebał w moim plecaku. Portfel był wsunięty w boczną kieszeń inaczej niż ja to zrobiłem. Więc to po to Ed wyszedł z narady! Cieszyłem się, że trzy nadajniki otrzymane od Leśnika miałem przy sobie. Dołączyłem do Jerzego, który wspinał się po schodach do hangaru.

Na górze najpierw zapaliliśmy światło, a potem w samolocie szukaliśmy skrzynki z narzędziami. Rozkręciliśmy panele w kabinach pilota oraz radiooperatora, żeby odszukać blokadę na linkach sterowniczych.

— To musi być u pilota, bo przecież ty mogłeś normalnie sterować — szepnął Batura.

— Co zrobimy, kiedy naprawimy samolot? — dopytywałem się.

— Będziemy go naprawiali całą noc.

— Chyba żartujesz! Chcesz jeszcze dziś uwolnić Zuzannę i tego staruszka?

— Właśnie! — Batura spojrział mi w oczy. — Kto to jest?

— Sebedian uprowadził człowieka, który wie, gdzie mają być skrytki ze skarbami.

— To po co ta wyprawa na „Goyę”?

— Nie wiem. Coś ważnego musi być w tym sejfie.

— Myślisz, że ma to jakiś związek ze staruszkiem?

— Musi mieć — przyznałem.

— Może w nocy, kiedy wszyscy będą spali, uwolnimy Zuzannę, zabierzemy tego dziadka i odlecimy stąd. Oni i tak jutro nie ruszą na nurkowanie, ze strachu przed tym, że doniesiemy o wszystkim władzom. Raczej stąd uciekną, a ty od staruszka dowiesz się tego, co cię interesuje.

— Plan niegłupi, ale jest mały problem — mruknąłem patrząc w stronę wyjścia z hangaru.

— Co jest? — Jerzy wyjrzał z kabiny.

Przez hangar, w stronę wrót szedł Ed. Niósł skrzynkę z narzędziami, a przez plecy miał przewieszony pistolet maszynowy przypominający kształtem znanego z filmów wojennych stena.

— Jak idzie wam robota? — zapytał zerkając w naszą stronę.

— Powoli — odparł Batura. — Co zamierzasz robić?

— Założę minę pułapkę na wrota, żeby nikt nam nie ukradł samolotu.

— A jak będziemy chcieli wyjść zapalić? — Batura pomachał ręką, w której trzymał papierosy od Dutcha.

— Są małe drzwi — Ed zamontował na wrotach ładunek wybuchowy. — Nie próbujcie go zdjąć, bo wybuchnie — tłumaczył nam. — Żeby go rozbroić, trzeba znać kod, a znam go tylko ja.

Odwrócił się i wyszedł z hangaru.

— Masz cały jutrzejszy dzień na rozbicie miny — smutno pokiwałem głową. Jerzy wściekły rzucił śrubokręt w kąt hangaru.

— Mają broń — zauważył. — W otwartej walce nie mamy z nimi szans.

— Broń mają pewnie tylko Mel i Ed — zauważyłem. — Do nikogo więcej nie mają zaufania i my powinniśmy to wykorzystać przeciwko nim.

—Jak?

— Wyjdź na zewnątrz i poszukaj dobrego miejsca, żeby zejść do portu, gdzie stoi łódź.

Batura zszedł po skrzydle i przez małe drzwiczki wyszedł na zewnątrz hangaru. Siedziałem w kabinie i patrząc na płataniny kabli i linek zastanawiałem się, co nie pasuje do wyposażenia bombowca. Jerzy wrócił po dziesięciu minutach.

— Na hangarze jest nowa antena zamontowana na starym, zardzewiałym maszcie — relacjonował. — Maszt stoi blisko krawędzi skały. Wyjrzałem w dół i na wodzie ujrzałem wąską smugę światła. Zejdiesz na linie po pionowej ścianie?

—Tak.

— W kabinie radiooperatora jest worek z linami i uprzężą do wspinaczki. Znajdziesz tam także kombinezon do nurkowania. Na ciebie będzie troszkę za duży, ale najwyżej wszystko ciałniej podopinasz.

Wziąłem papierosy i teraz ja udawałem, że idę zapalić. Deszcz przestał już padać, ale po niebie przesuwwały się ciemne kłębiaste chmury. Wiał silny wiatr. Za drzwiami hangaru skręciłem w prawo i ścieżką wśród skał wspinałem się na dach. Włączyłem małą ołówkową latarkę. Jej światło ledwo rozpraszało mrok, ale pozwalało bezpiecznie poruszać się między kamieniami. Dotarłem do masztu. Kiedy tylko dotknąłem konstrukcji, poczułem, jak do palców lepią mi się mokre płaty rdzy. Z worka wyjąłem piankę, przebrałem się, a następnie przywiązałem linę do masztu. Odpychając się nogami od skał zjeżdżałem ku ciemnej wodzie, która z hukiem rozbijała się o kamienie, gdzieś pode mną.

ROZDZIAŁ CZWARTY

PODWODNY RAJD DO PORTU • PRZY CELI ZUZANNY • NA WRAKU • POSZUKIWANIA KASY PANCERNEJ • ŁATWY ŁUP

Szybko i bez problemów zjechałem do podnóża skalnej ściany. Za moimi plecami fale z hukiem rozbijały się o skalne zęby. Po prawej stronie zauważyłem

szeroki na piętnaście metrów pas spokojniejszej wody, na której odbijała się żółta kulka żarówki palącej się w hangarze łodzi, ukrytym we wnętrzu wyspy. Zakradałem się w tamtą stronę zastanawiając się, jak też niemieckie U-Booty miały wpływać do tego portu? Kiedy doszedłem do wody i spojrzałem w prawo, zobaczyłem prosty kanał prowadzący na morze, którym mógł przepłynąć okręt podwodny. Zerknąłem w lewo i zauważyłem, jak Olaf przechodzi z pomostu na niewielki kuter. Norweg zszedł pod pokład. Przystań znajdowała się około stu metrów od wejścia. Ostrożnie zanurzyłem się i płynąłem starając się ukryć w cieniu pod ścianami. Jaskinia robiła imponujące wrażenie. Miała około stu pięćdziesięciu metrów długości i około sześćdziesięciu szerokości. Drewniane deski umocowano na pustych beczkach. Do nich był przycumowany dwudziestometrowy kuter z wysoką nadbudówką znajdującą się blisko dziobu. Na rufie były dźwig i zadaszenie, pod którym zapewne mieli szykować się nurkowie. Rufa miała wygodny, niski pokład umożliwiający łatwe zejście pod wodę.

Z pomostu do wnętrza bazy prowadziły dwuskrzydłowe, pancerne wrota czterometrowej szerokości. Mimo upływu czasu były pomalowane i nie widać było na nich śladu rdzy. Płynąc słyszałem, jak Olaf stuka jakimś metalem o metal. Był zajęty, więc mogłem spokojnie dopłynąć do pomostu. Chwyciłem się jego krawędzi i już chciałem wciągnąć się, kiedy uzmysłowiłem sobie, że zostawię przecież mokre ślady na deskach. Wszedłem więc pod kładkę prowadzącą z beczek do progu drzwi. Usiadłem na skale i czekałem, aż wyschnę. Olaf skończył hałasować i pogwizdując „Take on me” zespołu „A-Ha” przeszedł nad mój a głową. Zgasił światło i w porcie zapanowały ciemności. Gdzieś we wnętrzu bazy wciąż paliły się słabe żarówki.

Wszedłem z kryjówki i wyjrzałem ponad próg. Zobaczyłem jakieś duże pomieszczenie i metalowe schody prowadzące na górę. Trzymając się poręczy i skał wspiąłem się do drzwi. Ostrożnie stawiałem kroki uważając, aby nie zaskrzypiały deski. Przeszedłem przez drzwi i znalazłem się w magazynie pełnym starych beczek, kawałków blach i rozbitych mebli. Po bokach widać było dwa inne pokoje, w których było przeraźliwie ciemno. Podeszedłem do klatki schodowej i popatrzyłem w górę. Tędy mogłem dojść do naszych kwater. Po drodze widać było dwie platformy, z których przechodziło się na inne poziomy bazy. Uznałem, że nie mam na co czekać i powinienem szybko przeprowadzić rekonesans.

Uważając, by nie robić hałasu, wspiąłem się na pierwsze piętro. Słyszałem, jak wyżej krząta się Olaf pogwizdując tę samą melodię. Wszedłem w prosty korytarz. Pod nogami wyczuwałem drobiny betonowego gruzu. To miejsce bardzo przypominało mi sztolnie wydrążone i wybetonowe w skale pod masywem Włodarza w Górach Sowich. Po około piętnastu metrach dotarłem do skrzyżowania. Najpierw ruszyłem prosto. Po kolejnych kilkunastu metrach zatrzymałem się przed zamkniętymi, pancernymi drzwiami. Na razie nie widziałem potrzeby, żeby je otwierać. Zawróciłem i skręciłem w prawo. Ten korytarzyk był krótszy i na jego końcu, po obu stronach znajdowały się drzwi. Te po lewej były otwarte. W dużym pokoju zobaczyłem tylko poniszczone i pokryte rdzą piętrowe łóżka oraz szafki. Za plecami usłyszałem szelest. Obejrzałem się. Najwyraźniej ktoś ukrywał się za zamkniętymi drzwiami.

— Zuzanna? — szepnąłem niepewnie. — Kimkolwiek jesteś, odezwij się — dodałem po chwili w języku niemieckim.

— Kim jesteś? — rozpoznałem kobiecy głos.

— Zuzanna? — upewniałem się.

— Kto mówi? — wyczuwałem jej rozpacz.

— Paweł Daniec — przedstawiłem się.

— Niemożliwe!

— Satellesie, nie trać nadziei — użyłem kryptonimu, jakim kiedyś posługiwała się Zuzanna.

— To naprawdę ty! — ucieszyła się. — Co tu robisz?

— Jesteśmy tu, żeby cię uwolnić.
— Skąd wiedziałeś, że tu jestem?
— Batura mnie tu przywiózł.
— On? Kochany...
— Nie płacz! Powiedz, jak się czujesz?
— W porządku — usłyszałem przez ciche chlapanie. — Mój Pyś tu przyjechał.
— Pyś?
— Jurek.
— Jest z tobą ten staruszek?
— Nie, jego trzymają w drugim skrzydle korytarza. Dziadek ledwo zipie.
— Czemu?
— Od tygodnia nie wypuszczali nas na świeże powietrze, nie licząc wieczornych spacerów, na dół, do tego portu. Siedzimy tu całe dni. Jest zimno i wilgotno.
— Jak on ma na imię?
— Nie wiem, nie chciał ze mną rozmawiać. Kiedy nas uwolnicie?
— Nie martw się, w odpowiednim momencie. Na razie nie rób żadnych głupstw. Trzymaj się!

Przeszedłem do przeciwległego korytarza. Tam znalazłem wejście tylko do jednego pomieszczenia. Położyłem się przy otworach wentylacyjnych wywierconych w drzwiach tuż przy podłodze. Przez nie zajrzałem do środka. Zobaczyłem starszego mężczyznę siedzącego na pryczy przy stoliku, na którym stały menażka i płonąca lampa naftowa. Przy łóżku zauważyłem nowy grzejnik elektryczny, którego palące się czerwone lampki świadczyły, że staruszek dogrzewał się. Skulony, zawinięty w koc i kołdrę wpatrywał się w płomień lampki.

— Halo, słyszy mnie pan? — zapytałem cicho po niemiecku. Obejrzał się na drzwi. Miał pomarszczoną twarz, kępki rzadkich siwych włosów rozrzuconych na wszystkie strony i głęboką, zabarwioną na czerwono bliznę biegnącą w poprzek czoła. Nie odezwał się ani słowem.

— Wiem, że pan mnie słyszy — szybko przemawiałem. — Jutro przyjdziemy, żeby pana uwolnić. Niech pan zachowuje się jak dotychczas, jakby mnie tu nigdy nie było.

Nie czekając na odpowiedź wstałem i wróciłem do skrzyżowania korytarza. Wyrząłem w kierunku klatki schodowej. Nie słyszałem żadnych dźwięków. Pobiegłem do schodów, zerknąłem w górę, w dół i pomknąłem do przystani. Będąc już na pomoście usłyszałem na górze czyjeś kroki. Ktoś ruszył za mną w pościg. Na stopniach stukały ciężkie wojskowe buty.

Kilkoma susami dopadłem kutra, przeszedłem jedną burtę, w poprzek pokładu, i zanurzyłem się pod wodę za drugą burtą. Nie chciałem skakać do wody, żeby nie zostawiać na powierzchni kręgów. Nabrałem powietrza i zanurkowałem. Płynąłem pod przeciwległą ścianę portu, gdzie mogło być najciemniej. Kiedy brakowało już powietrza ostrożnie wynurzyłem się.

Na dziobie kutra stał uzbrojony Ed, z przenośnym reflektorem w ręku. Świecił w kierunku wyjścia z portu. Leżąc na plecach ostrożnie płynąłem pod ścianę. Tam wymacałem na ścianie niewielki kamień, a stopami — niewielką półkę, około pół metra pod powierzchnią wody. Stałem na niej. Wyprostowałem się i z całej siły rzuciłem kamień daleko za rufę kutra. Potem ukucnąłem, nie robiąc hałasu zanurzyłem się i ruszyłem w kierunku wyjścia z jaskini. Widziałem jasną smugę światła, która prześliznęła się tam, dokąd rzuciłem kamień, wracającą do wyjścia, błędzącą po całej jaskini.

Musiałem jeszcze dwa razy wynurzyć się, żeby nabrać powietrza. W wypłynięciu pomagał mi prąd, którego wcześniej nie wyczuwałem, a który wypychał mnie z portu. Wychodząc z wody, ukryty za kamieniami, widziałem, jak Ed jeszcze wodzi szperaczem po wodzie. Potem zrezygnował z poszukiwań i pobiegł po pomoście. Wiedziałem, co to oznacza. Jego tusza nie pozwalała mu, żeby szybko pokonywał ciasne schody, ale ja też musiałem w ciemnościach szybko wspiąć się po linie.

Chłodny wiatr najpierw powodował, że było mi zimno. Potem sprawiał ulgę, bo szybko spociłem się od wysiłku. Kiedy wyczerpany znalazłem się na górze i przebierałem się, wiatr chłostał mnie lodowatymi powiewami. Schowałem wszystkie rzeczy do worka, zarzuciłem go na ramię i pobiegłem do hangaru. Potykałem się w ciemnościach, boleśnie objijając sobie kolana i kostki. Dobiłem do drzwi w samą porę, by usłyszeć, jak Batura kłóci się z Edem.

— Nie chcesz chyba, żeby palił papierosy tu, gdzie trzymamy samolot i paliwo?!
— wrzeszczał Batura.

— Od kiedy on pali? Nurek, który pali papierosy, to nie nurek! — grzmiał Ed.

— Co ty wiesz o nurkowaniu?

— A co ty wiesz o lataniu, skoro przez pół nocy nie potrafisz naprawić kilku marnych linek? Zaraz znajdę tego kombinatora.

Worek zostawiłem kilka metrów ode mnie, między skałami. Teraz oparty o blachę zapaliłem papierosa. Rozkaszałem się wydmuchując dym i wycierałem załzawione oczy.

— Palenie szkodzi! — Ed wyszedł do mnie.

— Nienawidzę tego — przyznałem.

— To po co palisz?

— Jakbym ci powiedział, że chciałem tylko odetchnąć świeżym powietrzem, to byś nie uwierzył.

— Masz mokre włosy — zauważył Ed.

— Pot i morską bryza — roześmiałem się. — Ty też jesteś spocony. Ed dotknął mojej bluzy. Była sucha.

— Myślałem, że lubisz nocne nurkowanie w jaskiniach — powiedział.

— Nie cierpię zamkniętych przestrzeni.

— Jak wytrzymałeś w wojsku, w koszarach, na okręcie podwodnym?

— Gdybym to lubił, to nadal jadłbym grochówkę i pił lurowatą kawę zbożową.

— Co to takiego ta grochówka?

— Taka zupa, po której cała kompania marines by się rozchorowała. Macie za słabe żołądki — żartowałem. — Chyba żaden z naszych nie tknąłby tego waszego paskudztwa, które dostajecie do jedzenia w czasie wojny.

— Faktycznie jest obrzydliwe — przyznał Ed. — Kiedy skończycie naprawę?

— Na mój gust prawie kończymy — uśmiechałem się życzliwie.

— Pospieszcie się — Ed odwrócił się i wrócił do wnętrza bazy.

Poczekalem, aż papieros wypali się do końca, rzuciłem go w ciemność i zajrzałem do hangaru. Spojrzałem na Baturę. Dał znak, że mogę wchodzić. Poszedłem po worek i szybko zaniósłem go do samolotu. Ukryłem go w skrytce, w której zwykle była przechowywana gumowa łódka ratunkowa.

— I co? — Batura zapytał, kiedy zajrzałem do kabiny.

— Naprawiłeś? — na razie nie odpowiadałem. Bez słowa pokazał zwój drutów wystających z bakelitowej puszkę z pokrętelem.

— Wiesz, gdzie jest Zuzanna? — nerwowo składał narzędzia do skrzynki.

— Rozmawiałem z nią.

— Tak? Co mówiła?

— Pozdrawia swojego Pysia.

Staliśmy na skrzydle. Batura w pierwszym momencie nie pojął, co powiedziałem, ale po chwili rzucił mi się na szyję.

— Uspokój się! — poklepałem go po plecach.

Opowiedziałem Jerzemu, gdzie są cele, w których są trzymani więźniowie. Potem posprzątałem narzędzia i zeszedliśmy do sypialni. Widziałem, że Ed siedział przy radiostacji i przyglądał się nam, jak wchodzimy do swojego pokoju. Tam w ubraniu spał Dutch, rozłożony na pryczy tak jakby był szmacianą lalką, którą ktoś niedbale rzucił na śpiwór. Zasnąłem błyskawicznie, kiedy tylko głową dotknąłem złożonego ubrania, służącego mi za poduszkę, w którym były ukryte moje nadajniki.

Ed urządził pobudkę brutalnie szarpiąc mnie za ramię.

— Robotą czeka! — wrzasnął mi do ucha.

Natychmiast otworzyłem oczy i pierwsze co zrobiłem, to zerknąłem na zegarek. Była dziesiąta. Jerzy Batura siedział na brzegu swojej pryczy i przecierał oczy. W progu sypialni stał Dutch trzymający parujący kubek z kawą.

— Ruszajcie się! — przemówił. — Mamy słoneczny dzień, idealny na załatwianie ciemnych interesów naszego wspaniałego pryncypała, który nie może wydostać się z aresztu w Wielkiej Brytanii.

— Znowu za dużo kłapiesz jęzorem! — krzyknął Ed.

— Co to za wrzaski?! — do pokoju wszedł Mel.

— Idę pod prysznic — oznajmiłem wstając i biorąc przybory toaletowe. — Nie jestem w wojsku, by facet, któremu wydaje się, że ma małą armię, mógł mi wrzeszczeć nad uchem — powiedziałem do Mela. — Chcesz, żebym z nim zszedł pod wodę i dobrze wykonał robotę, to go uspokój.

Ed nic nie powiedział, tylko z zaciśniętymi ustami wyszedł.

— Moglibyście jednak mieć w sobie choć trochę dyscypliny — ton głosu Mela był bardziej ugodowy.

— Peace, bracie! — Dutch obrócił się na pięcie i poszedł do kuchni. Szybko wykapałem się i powędrowałem do jadalni, gdzie przy kuchni znowu rządził Olaf. Na talerz położył mi spory kawałek łososia przygotowanego na elektrycznym grillu i górę sałatki z owoców z puszki. Był to lekki i bardzo pożywny posiłek. Do picia otrzymałem tylko sok pomarańczowy. Zjadłem, spakowałem swoje rzeczy do plecaka i z Jerzym poszliśmy do składu, skąd zabraliśmy mój sprzęt do nurkowania. Eskortowani przez Eda zeszliliśmy do kutra, gdzie czekali pozostali członkowie ekipy. Piętro niżej niż to, na którym spaliśmy, widziałem korytarz z gęsto rozmieszczonymi, zamkniętymi drzwiami. Tu wszystko było odnowione. Wejście na następny poziom, z celami, gdzie więziono Zuzannę i staruszkę, było zastawione drewnianymi skrzyniami.

Wszyscy byliśmy ciepło ubrani, w czapki i kurtki, tylko Mel pozostał w koszulce.

— Ty nie boisz się zimnego wiatru? — zapytał go Batura.

— Nie, bo ja zostaję w bazie — odpowiedział Mel. — Akcją będzie dowodził Ed.

— Po co mam płynąć na morze, skoro nie mam żadnego zadania do wykonania? — dopytywał się Batura.

Starął się zachować spokój i żeby jego pytania wyrażały tylko zaskoczenie zmianą planów.

— Zawsze przyda się dodatkowa para rąk do pracy, a ja muszę pilnować radiostacji — odparł Mel.

Wsiadliśmy na kuter, który lekko drżał, a spod pokładu dobiegało ciche warczenie silnika. Olaf i Ed weszli do sterówki, Dutch zniknął w kabinie, gdzie znajdowały się sonary. Z Batura zdjęliśmy cumy z pachołków na pomoście i „Boston” powoli popłynął w kierunku wyjścia. Obejrzałem się na pomost, gdzie stał uśmiechnięty Mel.

Usiadłem pod daszkiem i sprawdzałem, czy sprzęt do nurkowania jest sprawny. Batura rozsiadł się na ławce przy lewej burcie i obserwował drzwi nadbudówki.

— I co teraz zrobimy? — zapytał.

— Zejdę pod wodę, postaram się otworzyć sejf, cało wypłynąć, a w drodze powrotnej coś wymyślimy — odpowiedziałem.

— Czy to nie nazbyt proste?

— A po co mamy martwić się na zapas? Do ciebie bardziej pasuje styl myślenia Jamesa Bonda: „Umrę innego dnia”. Tego się trzymaj.

— Może oni coś podejrzewają?

— Jeśli tak jest, to postanowili wykorzystać nas. Może jednak niepotrzebnie panikujesz i tylko rzeczywiście musieli kogoś zostawić przy radiostacji.

— Jeśli Sebedian wyjdzie na wolność, możemy mieć kłopoty.

— Jakże? Dotrze tu najprędzej dziś wieczorem, a wtedy my mamy być już w

drodze powrotnej do Polski. Czy nie tak. Pysiu?

— Zadziwia mnie twój spokój.

— To tylko chłodna analiza naszej sytuacji. Dla Mela, Eda czy Olafa jesteśmy tylko Kurtem i Foką. Tylko Sebedian wie, kim naprawdę jesteśmy. Chodź tu i przytrzymaj tę butlę — poprosiłem Baturę.

Przysunął się bliżej, a kiedy pochylił się, żeby wykonać moje polecenie, podałem mu nadajniki. Błyskawicznie wsunął je do kieszeni kurtki i spodni.

— Co to jest? — zapytał siadając prosto.

— Nadajniki, które mogą nam uratować życie. Uruchom je, gdybyś zauważył, że dzieje się coś podejrzanego. Jedno pudełko miej cały czas przy sobie. Jest duża szansa, że przybędzie ktoś, kto ci pomoże.

— Dla kogo teraz pracujesz?

— Dla Sebediana — uśmiechnąłem się. — Chodźmy zagrzać się w kabinie.

Olaf siedział na fotelu za sterem. Kopcił fajkę, z której cybucha wydobywała się słaba smużka dymu.

— I co, wilki morskie? — zagadnął. — Ty, pilocie, mało jadłeś, to dobrze się czujesz — roześmiał się.

— Nigdy nie miałem choroby morskiej — odpowiedział Batura.

Ed stał przy stole, na którym leżała nawigacyjna mapa Bałtyku i szkice „Goi”.

— Foka, podejdź tu — przywołał mnie. — Do sejfu dobierzemy się od tej strony — pokazywał palcem. — Sejf był umocowany do podłoża i nie wiemy, w jakim jest stanie i jak do niego można się dostać. Do ciebie będzie należała ocena, czy rozwalisz pół statku i sejf, czy tylko jedną ściankę kasy pancerniej. Wyjmujemy tylko jedną rzecz. Żadnego szabru, wszystko zostawiasz jak było. Jasne?

— Co mamy wyjąć? — dopytywałem się.

— Butelkę po reńskim winie. W środku jest kartka papieru.

— Tyle zabiegów dla jednej kartki? — udawałem niedowierzenie.

— Znowu zadajesz za dużo pytań — Ed żartobliwie pogroził mi palcem.

— Czy masz tu ten swój pistolet maszynowy?

— Czemu pytasz?

— Przyznam, że nie chciałbym, żeby ktokolwiek strzelał do mnie tuż po tym jak wynurzę się, a butelka bezpiecznie znajdzie się na pokładzie.

— Nic takiego ci nie grozi.

Ed sprawiał wrażenie, że chce być miłszy. Może chciał zatrzeć złe wrażenie, a może zdawał sobie sprawę, że nurkując razem będziemy pod wodą zdani tylko na siebie? Na godzinę przed tym jak mieliśmy znaleźć się nad wrakiem statku, przebraliśmy się z Edem w skafandry do nurkowania, przygotowaliśmy sobie butle z mieszkankami gazów pozwalającymi dłużej przebywać na dużych głębokościach. Olaf przywiózł nas idealnie nad miejsce wyznaczone przez odkrywców wraka, Dutch sprawdził na sonarach, że statek leży na dnie i rozpoczęliśmy przygotowania do zejścia pod wodę. Założyliśmy butle, jackety pomocne przy wynurzaniu, pasy wypornościowe, narzędzia do pracy. Dostałem też pojemniki z ładunkami wybuchowymi i zapalnikami. Przy pasach przypięliśmy sobie noże, sekatory, świece chemiczne, które paliły się pod wodą. Batura rzucił boję, a potem z Edem skoczyliśmy do morza.

Muszę przyznać, że Ed był świetnym nurkiem. Kontrolował głębokość, czas schodzenia, skład stosowanych mieszanek. Mogłem zdać się na niego i czekać, aż zobaczę „Goyę”. Miałem okazję zobaczyć pod wodą „Wilhelma Gustloff’a” i „Generał von Steubena”. Obu tamtych przygód, choć zakończonych szczęśliwie, nie wspominałem najlepiej. Miałem nadzieję, że i tym razem wyjdę z tego cało. Nie byłem przesadnie przesądny, ale wciąż pamiętałem powiedzenie „do trzech razy sztuka”.

„Goya” leży na głębokości 78 metrów. Statek miał 131 metrów długości i 17 metrów szerokości. Atak torpedowy i wybuchy kotłów spowodowały, że kadłub

rozpadł się na dwie części. Dopiero z odległości dwudziestu metrów dostrzegliśmy zarys leżącego na prawej burcie, lśniącego na zielono wraka, całego okrytego gęstwiną sieci. Skierowaliśmy się ku przodowi nadbudówki. Najpierw musieliśmy wyciąć przejście wśród sieci. Potem Ed poprowadził mnie do szerokiego otworu wejściowego.

W korytarzu wałały się resztki mebli, coś co mogło być gazetami lub ubraniami. Wszystko to łagodnie kołysało się dzięki falom powstałym po naszym przepłynięciu. Ed zaprowadził mnie do pierwszej kajuty po prawej stronie. Tam w kącie zobaczyłem sejf. Był to niewielki sześcian o bokach długości i wysokości niecałego metra.

Teraz pod czujnym okiem Eda miałem przygotować ładunki wybuchowe. Na szczęście miałem zajęcia z pirotechniki, w tym podwodnej, w wojsku, a do tego zdążyłem przeczytać wskazówki przygotowane mi przez instruktora Foki. Najpierw obejrzałem kasę pancerną. Poruszyłem kołem zamka, pociągnąłem za drzwiczki i ku mojemu i Eda zdziwieniu, sejf stanął przed nami otworem.

Dłuższą chwilę obaj nie ruszyliśmy się z miejsca. Wokół nas tylko wirowały drobiny brudu i planktonu. Poświeciłem latarką do wnętrza i na półce zobaczyłem stos papierów, które teraz przypominały tylko galaretę i leżącą obok butelkę, której szyjka była zalepiona grubą warstwą wosku i omotana jakąś szmatą. W środku rzeczywiście był jakiś papier. Podałem ją Edowi. Schował ją do puszek uwiązanej do pasa i nagle wyjął nóż. W ułamku sekundy poczułem strach.

Ed zbliżył się z nożem do sejfu. Ostrzem pociął resztki dokumentów na półce i kilkoma ruchami ostrza sprawił, że drobiny papieru zamieniły się w bezkształtną chmurę. Amerykanin dał znak, że powinniśmy zawrócić. Wynurzenie trwało długo, bo przecież zeszliliśmy na głębokość ponad siedemdziesięciu metrów. Kiedy byliśmy piętnaście metrów pod powierzchnią zauważyłem, że podczas naszego pobytu we wnętrzu wraka pogoda musiała się radykalnie zmienić. Czułem prądy wodne, widziałem fale, które z hukiem przetaczały się nad naszymi głowami i kadłub kutra kołyszący się na boki.

Kiedy mogłem wreszcie zdjąć maskę i odetchnąć świeżym powietrzem, znalazłem się pod wielką falą, która wrzuciła mnie na podest przy rufie kutra. Batura złapał mnie za barki i wciągnął przez burtę na pokład. Potem pomogłem Jerzemu zrobić to samo z Edem.

Wokół nas morze huczało. Poniżej szarych chmur w naszą stronę od zachodu zbliżała się burza, a jej chmury wyglądały jak wielki stalowy walec, spod którego wydobywają się kłęby pary. Zwinęliśmy boję, liny. Ed zdjął butle i pobiegł do sterówki dać znak Olafowi, że możemy płynąć. Norwegowi nie trzeba było dwa razy powtarzać rozkazu i przesunął manetkę do przodu, na pełną prędkość. Jerzy pomagał mi zdjąć wyposażenie nurkowe i mogliśmy w tym czasie porozmawiać bez świadków. Zrelacjonowałem mu przebieg naszego nurkowania.

— Ale fart — Batura z niedowierzaniem kręcił głową. — Czemu ktoś zostawił otwarty sejf?

— Otwarty sejf na tonącym statku? — wzruszyłem ramionami. — Przecież „Goya” spoczęła na dnie Bałtyku — to trudno dostępne miejsce.

— Miałeś szczęście, że nie musiałeś niczego wysadzać.

— Za to teraz przydadzą nam się te ładunki.

— Co chcesz wysadzić w powietrze?

— Potrzebny będzie mały sabotaż, żeby uciec z wyspy — uśmiechnąłem się.

Kuter uciekał przed burzą rozcinając fale wysokim dziobem. Siedziałem pod dachem i konstruowałem niewielkie bomby odcinając małe kawałki z kostek C4 i montując do nich zapalniki.

Kiedy skończyłem, zostawiłem torbę przy wyjściu z kabiny i wszedłem do sterówki. Ed siedział przy radiostacji i rozmawiał z Melem. Na mój widok szybko skończył pogawędkę.

— Miałeś łatwą robotę — roześmiał się. — Kurt — zwrócił się do Batury —

możesz przynieść z mesy termos z kawą? Jerzy posłusznie zszedł pod pokład.

— Czemu burza nadeszła tak szybko? — zapytałem Olafa patrząc na zegarek. — Jest dopiero siedemnasta, a sztorm miał nadejść wieczorem.

— Zapytaj tego tam — Olaf wymownie wzniósł wzrok ku niebu. — Warn poszło łatwo z butelką, teraz dostaniemy w kość na morzu. Niech się Mel modli, żebyśmy wrócili w jednym kawałku.

— Jest aż tak źle? — nie dowierzałem wyglądając przez okno. Chmury były blisko, około trzech kilometrów od nas. Widać było błyski, docierał do mnie huk grzmotów, a w szyby uderzały wielkie krople jeszcze niezbyt gęstego deszczu.

— Będzie tak, jak tylko raz widziałem na Bałtyku i po powrocie do domciu miałem nadzieję, że nigdy już tak nie będzie — mruczał Olaf. — Ktoś z was najwyraźniej przynosi mi pecha — uśmiechał się, ale wrogo zerkał na Eda.

Batura przyniósł termos, kubki i parę zawiniętych w folię kanapek.

— Lepiej tego nie jedz! — Olaf zwrócił się do mnie po norwesku.

— Co mówisz? — Ed dopytywał się.

— Życzyłem wam smacznego — odparł Olaf.

— Zjem pod pokładem — powiedziałem schodząc do mesy. Jerzy powędrował za mną. W jadalni natknęliśmy się na Dutcha. Ćmił papierosa, pił herbatę, czytał książkę Kurta Yonneguta i słuchał muzyki z walkmana.

— Słyszałem, że wam nieźle poszło! — wrzasnął.

— Przycisz to, bo stracisz słuch — pouczyłem go, zdejmując mu słuchawki.

— Nie słyszałem wybuchu — Duteh zgasił papierosa i wyjął z kieszeni bluzy gumę miętową.

— Sejf był już otwarty, a butelka czekała, aż ją weźmiemy — uśmiechnąłem się. Odłożyłem swoją kanapkę do szafki i dałem znak Baturze, żeby zrobił to samo.

— To były najłatwiej zarobione pieniądze w moim życiu — Dutch cieszył się zacierając ręce. — Olaf wprowadził nas na punkt i nie musiałem niczego szukać sonarem. Wy bez problemu zdobyliście fant, a burza rozszalała się w takim momencie, by nikt już nas tu nie niepokoił.

Wtedy pomyślałem, co by było, gdyby teraz potrzebował pomocy ludzi Leśnika. Byliśmy z Jerzym zdani tylko na własne siły.

ROZDZIAŁ PIĄTY

KOMBINACJE EDA I ŚPIEWY OLafa • SABOTAŻ • UWOLNIENIE WIEŹNIÓW • TELEGRAM OD M. • UCIECZKA Z WYSPY • OPOWIEŚĆ STARUSZKA • WODOWANIE

Na schodach zejściówki załomotały ciężkie buty Eda. Wszedł do mesy.

— Foka, Olaf prosił, żebyś lepiej umocował butle na pokładzie — wydał rozkaz.

Posłusznie wspiąłem się do sterówki, by z niej wyjść pod dach, gdzie zostawiłem sprzęt. Był spakowany do skrzyń, a butle zostały umocowane do specjalnego rusztowania mocnymi pasami, ale przeczuwałem, że Olaf chciał mi coś jeszcze powiedzieć.

— Czemu miałem nie jeść kanapek? — zapytałem go po norwesku, w tym samym czasie wyglądając przez okno na zewnątrz.

— Uważaj na naszych marines — szepnął sternik. — Nie trzeba było tyle zreć przed takim bujaniem — głośno dodał, już po angielsku. Ujrzałem, że do sterówki wchodzi Ed.

— Już umocowałeś butle? — zapytał Amerykanin.

— Patrzyłem na pogodę — wyjaśniłem.

Założyłem sztonniak wiszący na haku przy wyjściu i ledwo przekroczyłem próg,

a już czułem, że jestem mokry. Wziąłem torbę z ładunkami i ukryłem ją w jednej ze skrzyń. Sprawdziłem mocowanie butli i wróciłem do sterówki. Kutrem bujało na boki i wzdłuż. Ed zaczynał blednąć, jakby zaraz miał zemdleć.

Zauważyłem, że Olaf świetnie prowadził kuter nie pozwalając, aby na moment znalazł się burtą do wiatru i fal. Doskonale operował manetką gazu, z wielką wprawą kręcił kołem sterowym, ale widziałem też, że specjalnie prowadzi nas tak, byśmy bardziej odczuwali kołysanie. Nie wiedziałem czemu, ale chciał najwyraźniej osłabić Eda, który najedzony i opity źle znosił te warunki.

— Może położysz się na koi? — zaproponowałem Edowi. Chyba czuł się fatalnie, bo natychmiast zgodził się. Z opuszczoną głową, półprzymkniętymi oczami zszedł pod pokład.

— Teraz to go załatwiłeś — Olaf szepnął po norwesku. — Błądźnik w jego mózgu nie mając innych bodźców, nie widząc horyzontu, choćby takiego pofalowanego, uzna, że Ed wpadł do pralki i czas przywitać się z muszlą klozetową — zarechotał. — Skąd znasz norweski?

— Polskie wojsko, kiedy nie byliśmy jeszcze sojusznikami, miało podbijać Bornholm, cieśniny duńskie i kawałek Norwegii. Trochę się nauczyłem waszego języka... — wybuchnąłem śmiechem. — Żartuję! Parę razy pracowałem w Norwegii.

— Hej! Spróbowałbyś przyjść do nas ze swoimi kumplami — Olaf pogroził mi palcem.

— W czasie ostatniej wojny Polacy u boku Brytyjczyków walczyli z Niemcami pod Naryikiem. Czemu mam uważać na Eda i Mela?

— Coś kombinują. Słyszałem, jak rozmawiali ze sobą, ale używali jakiegoś szyfru. Mówili o jakiejś akcji i podawali trzycyfrowy numer. Jak w amerykańskich filmach policyjnych, gdzie każdy numer oznacza jakieś przestępstwo albo rodzaj interwencji, jaką ma przeprowadzić policjant.

— Amerykańskie wojsko ma dokładnie taki sam system porozumiewania się. Ma on wykluczać niewłaściwą interpretację rozkazów.

— Pewne jest jedno, że coś kombinują, a mnie się to nie podoba. Pamiętaj, że Ed ma w swojej kabinie pistolet maszynowy.

— Będę uważał na siebie. Daleko jeszcze do wyspy?

— Przy takiej pogodzie dwie godziny minimum. Teraz zamilcz i daj mi rozkoszować się żywiołem.

Olaf włożył do odtwarzacza płytę z piosenkami „U2” i rozkręcił muzykę, że aż w bębenkach huczało. Razem z wokalistą. Bono, Olaf swoim ochrypłym głosem nucił „Pride”, „Ali along the watchtower”, „Sunday, Bloody Sunday”, a solówki gitarzysty wygrywał na kole sterowym jednocześnie cicho klnąc i kiwając głową do rytmu. Tu w sterówce walka ze sztormem wyglądała jak zabawa w wesołym miasteczku. Od czasu do czasu spod pokładu dobiegały nas nerwowe krzyki Eda i Dutcha. Zastanawiałem się, co robi Ba-tura. Obejrzałem się i zobaczyłem, że z przerażeniem w oczach patrzy, jak kuter wspina się na pięciometrowej wysokości fale, a potem gwałtownie leci w głęboką dolinę między grzbietami pokrytymi pianą.

— Wiedziałem, że obaj jesteście wariaci — wydukał. — To was bawi?

— In the name of love! — ryczał Olaf.

Mogłem tylko podziwiać spokój i opanowanie Norwega. Kierując się wskazaniem kompasu trzymał się jednego kursu. Przyznam też, że jego metoda, by z muzyką w tle znosić sztormowe fale, była bardzo dobra. Przyzwyczaiłem się do kołysania. Batura, który od czasu do czasu przychodził do nas do sterówki też miał trzeźwy wzrok i opowiadał, jak Dutch i Ed walczą o dojście do toalety.

Kieł Diabła nieoczekiwanie wyłonił się z mroku jako wielka ciemna plama.

— Radio! — poprosił mnie Olaf. Podałem mu mikrofon.

— Tu „Boston”, Red Baron zgłoś się! — Olaf wywoływał Mela. — Chłopaki, dość tego dobrego — zwrócił się do mnie i Batury. — Zawołajcie Eda i życzę wam

powodzenia, bo czuję, że będziecie go potrzebowali. „Boston”, Red Baron zgłosił się!

— Red Baron, zgłaszam się! — usłyszeliśmy głos Mela.

— Zapal światło!

— Co jest z Edem?

— Choruje, strasznie bujało — Olaf roześmiał się.

— Już zapalam latarnię — po chwili wahania odezwał się Mel. — Niech Ed wyjdzie na pokład. Olaf wyłączył radio.

— Obudź naszego sierżanta — Olaf odwrócił się do Batury. — A ty... — przyglądał mi się uważnie. — Ty chyba wiesz, co masz zrobić.

Wyszedłem do skrzyń ze sprzętem i w torby wyjąłem cztery ładunki, które schowałem do bocznych kieszeni spodni i bluzy. Stojąc na deszczu patrzyłem, jak Olaf wprowadza kuter między skalne zęby, wprost między światła niewielkich lampek umocowanych między skałami. Na wprost nas w jaskini zapalił się najpierw jeden reflektor, a potem kolejne. Przeszedłem do cumy rufowej. Kiedy wpływaliśmy do jaskini, widziałem, jak Ed wychodzi na pokład dziobowy. Batura dołączył do mnie.

— Co robimy? — zapytał nerwowo.

— Dywersję — odparłem nastawiając zapalnik jednego z ładunków na trzy minuty i wrzucając go do wody.

Na pomoście stał Mel. Ręce trzymał za plecami. Nie podobała mi się ta postawa. Do nas, na śródkręcie, wyszedł Ed. W rękach trzymał pistolet maszynowy.

— Po co to? — wymownie patrzyłem na broń.

— Będziesz musiał trochę dłużej pobyc na tej wyspie — powiedział Ed. — Przykro mi...

Na pokład wyszedł Dutch trzymając w ręku mały pilnik.

— Będziesz rozstrzeliwał załogę? — zagadnął Eda.

— Co ci do tego? — Amerykanin obejrzał się na kolegę.

— Wiesz, że nie lubię broni — Dutch stanął i zapalił papierosa. Z zamyślonym wyrazem twarzy zapatrzył się w smugę dymu i pilnik, który wyrzucił do wody. — To była bardzo twarda iglica.

Ed patrzył na swoją broń, a następnie ze złośliwym uśmiechem na twarzy wycelował jaw Dutcha. Geolog spokojnie dalej palił papierosa. Ed nacisnął spust i nic się nie stało. Rozległ się tylko suchy trzask. Wtedy wydarzyło się kilka rzeczy na raz. Mel widząc scenę na pokładzie, uniósł swój pistolet maszynowy. Olaf tak skierował kuter, że uderzył burtą o pomost z siłą tak dużą, że ten zakołysał się i Mel stracił równowagę. Niespodziewany wybuch pod wodą odwrócił uwagę Eda, który ze zdumieniem patrzył na fontannę wody w miejscu, gdzie wrzuciłem bombę.

— Teraz! — wrzasnąłem do Batury wskazując mu na Mela. Jerzy przeskoczył na przystań, pchnął Mela na barierkę i wyrzucił go do wody. Ja to samo zrobiłem z Edem. Przebiegając koło wejścia do kompleksu bazy wrzuciłem drugi ładunek na skały pod kładkę między metalowymi drzwiami a pływającymi beczkami. Zatrzasnęliśmy z Jerzym drzwi. Przesunęliśmy do nich skrzynie, które znajdowały się najbliżej.

— Przygotuj samolot! — krzyknąłem do Batury.

— A Zuzanna?

— Uwolnię ją! — kulilem się słysząc serie pocisków uderzające o metalowe wrota. — Szybko! — popędzałem Baturę.

Jerzy wbiegał po schodach, a ja na wysokości pierwszego piętra, przy legarze podtrzymującym jeden ciąg schodów, umieściłem trzeci ładunek. Najpierw wybuchł ładunek w porcie. Był niewielki i miał tylko wystraszyć naszych przeciwników. Drugi w klatce schodowej wybuchł, kiedy byłem przy drzwiach celi Zuzanny. Bez trudu wytrychem otworzyłem zamek w drzwiach.

— Pysiu! — Zuzanna w półmroku musiała pomylić mnie z Baturą.

— Pysio czeka na górze w hangarze. Chodź, pomożesz mi wyciągnąć tego

staruszka.

Zuzanna mimo długotrwałego więzienia była w wysmienitej kondycji. Pobiegła do drzwi w przeciwnym korytarzu.

— Halo, proszę pana! — zawołała po niemiecku. — Zaraz pana uratujemy. Niech pan weźmie ciepłe ubranie!

Po kilku sekundach szarpnąłem za drzwi. Z dołu dobiegał łomot. Weszliśmy z Zuzanną do środka pomieszczenia. Starzec siedział skulony na pryczy.

— To koniec, przyszedłem, żeby pana uwolnić — powiedziałem. — Chodźmy, bo mamy bardzo mało czasu na ucieczkę.

— Niech pan nam zaufa — Zuzanna wyciągnęła do niego rękę. Staruszek powoli wstał i ruszył w naszą stronę. Podeszliśmy do niego i wzięliśmy go pod ramiona. Razem wynieśliśmy go do klatki schodowej, gdzie przodem puściłem Zuzannę, a sam pomagałem staruszkowi wejść na górę. Zatrzymałem się przy pokoju z radiostacją. Zobaczyłem na stole odszyfrowaną depeszę:

Ktoś porwał samolot Kurta. Polski łącznik wykiwał nas. Zatrzymajcie pilota i Fokę, aż z Bossem przyplłyniemy wieczorem.

M.

Szybko powyrywałem z wtyczek wszystkie kable. Zostawiłem tu czwartą, najmniejszą bombę ukrytą między urządzeniami a ścianą. Wróciłem po więźnia i razem wspinaliśmy się do hangaru. Z dołu dobiegały mnie wściekle okrzyki Mela i Eda. Pewnie sforsowali drzwi w porcie i teraz próbowali wejść przez zniszczone wybuchem schody. Przyznam, że prowadzony przeze mnie mężczyzna ledwo nadążał przebierać nogami, ciężko dyszał i podróż na górę zabrałaby nam o wiele więcej czasu, gdyby nie interwencja zniecierpliwionego Batury, który zbiegł, żeby mi pomóc.

Doprowadziliśmy Niemca do drzwiczek kabiny radiooperatora, umieszczonych w kadłubie, pod ogonem. Na podłodze rozłożyliśmy kapoki i koc. Jerzy po skrzydle wskoczył do kabiny pilota. Widziałem, że Zuzanna siedziała z przodu, tam, gdzie odbyłem podróż na wyspę.

— Otwórz drzwi i zapal światła na pasie startowym — krzyknął Jerzy wskazując na panel z guzikami przy drzwiach hangaru.

Kiedy biegłem w tamtą stronę, Jerzy uruchomił silniki samolotu. W porę przypomniałem sobie o minie na drzwiach zostawionej przez Eda. Podbiegłem do niej i zastanawiałem się, jaki kod trzeba wprowadzić, żeby ją otworzyć? Ze szkolenia w wojsku pamiętałem ten typ amerykańskich min. Minimalny czas, jaki można było nastawić na zapalniku wynosił dziesięć sekund. Widziałem przerażenie w oczach Batury i Zuzanny, kiedy zrywałem minę, jak zaczęło na niej migać czerwone światło, a ja biegłem w kierunku wejścia do podziemi. Miąłem skrzydło bombowca i rzuciłem minę przed siebie. Wleciała idealnie w środek drzwi i potoczyła się po podłodze. Kiedy wybuchła, usłyszałem tylko grad drobnych kuleczek, które rykoszetowały po długim korytarzu prowadzącym do klatki schodowej.

Wcisnąłem wszystkie guziki na panelu umieszczonym na ścianie i zaraz na pasie startowym rozbłysły światła. Powoli rozsuwały się automatyczne drzwi hangaru. Kiedy tylko można było, Batura wyprowadził samolot na zewnątrz. Wtedy przypomniałem sobie o przeszkodach. Batura też je dostrzegł i wściekle walił dłońmi o konsolę przed sobą. Podbiegłem do UAZ-a i zobaczyłem, że Ed zostawił kluczyk w stacyjce. W wojskowej bazie nie kradnie się samochodów, więc kluczyki zostawia się w maszynie, żeby można było ją uruchomić w każdej chwili.

Wskoczyłem za kierownicę i wciskając pedał gazu do podłogi, wyjechałem na pas. Wiedziałem, że przeszkody są zbudowane z lekkich materiałów, więc teraz musiałem tylko rozpędzić się i rozbić je. Nie było ich zbyt wiele, tylko cztery styropianowe „bloki betonowe” i trzy wykonane z drewna „metalowe kozły”.

Najpierw raz przejechałem po pasie, żeby je zepchnąć na bok. W tym czasie Jerzy ustawił bombowiec na pasie startowym. Kiedy pędziłem terenówką do samolotu, zobaczyłem w drzwiach hangaru sylwetki Eda i Mela. Obaj niestety byli uzbrojeni.

Skierowałem samochód w stronę skał i wyskoczyłem z niego na mokry beton. Potknąłem się, upadłem rozbijając łokcie, przeturlałem się i wstałem tuż po tym, jak nade mną przesunęło się skrzydło samolotu. Jerzy obejrzał się, czy wstając zaczął rozpędzać samolotu. W kilkanaście sekund dobiegłem do wjazdu i wskoczyłem do środka. Zamknąłem drzwiczki i zmęczony padłem tuż obok starca.

Wtedy po kadłubie przeszedł grad serii pocisków z pistoletów maszynowych. Przez małe okno z boku kadłuba samolotu wyjrzałem na zewnątrz. Widziałem, jak obaj Amerykanie strzelali do nas, a kule uderzały o lewe skrzydło. Wydawało się, że Batura poderwał bombowiec z pasa w ostatniej chwili. Słyszałem stuknięcie, jakby kołem zahaczył o skały. Zaczęliśmy wznosić się ku czarnemu, rozjaśnianemu błyskawicami niebu.

Na ścianie kabiny kiedyś była umocowana radiostacja. Teraz została tylko półka, ale obok niej znajdowało się niewielkie pudełko z kilkoma guzikami i lampkami, na którym teraz migąło czerwone światełko. Do urządzenia były podłączone słuchawki z mikrofonem. Założyłem je.

— Paweł, Paweł, załóż słuchawki, spójrz na to pudełko — słyszałem zniecierpliwiony głos Batury.

— Jestem — odezwałem się. — Gratuluję udanego startu.

— Dziękuję, ale mamy problem.

— Jaki? — do rozmowy włączyła się Zuzanna.

— Mam kłopot z paliwem.

— Dostaliśmy w zbiornik? — domyśliła się Zuzanna.

— Z tego co pamiętam, ten typ samolotów miał kilka zbiorników paliwa zabezpieczonych wykładziną samouszczelniającą i pompy umożliwiające przepompowanie paliwa — przypomniałem sobie model bombowca, który sklejałem.

W modelarstwie najbardziej ceniłem sobie oprócz samej przyjemności, jaką dawał ładnie pomalowany model, proces poszukiwania informacji o danym sprzęcie. Przy okazji budowy samolotu lub czołgu miałem okazję poznać historię, życiorysy pilotów lub żołnierzy. Poszukiwałem informacji, jakie znaki taktyczne znajdowały się na kadłubach, jak oznaczano udane loty lub zwycięstwa powietrzne. Przypominało to fascynujące tropienie tajemnicy.

— Pewnie masz rację, ale paliwa ubywa w zastraszającym tempie — odpowiedział Batura. — Lewy silnik pije benzynę jak smok.

— Może roztrząskana jest pompa paliwowa przy silniku — zasugerowałem.

— Masz rację — potwierdziła Zuzanna, która z przedniej kabiny miała dobry widok na spód skrzydła i dolną część silnika. — Widzę, jak tamtędy leje się paliwo.

— Jerzy, w kabinie poszukaj przy przepustnicy zaworu z napisem: „power mixture valve” — mówiłem. Pamiętałem, że coś takiego zapewniało dostarczanie silnikowi niezbędnej ilości paliwa do lotu z prędkością ekonomiczną. — Teraz odłącz drugi zbiornik paliwa podłączony do lewego silnika i pompuj paliwo na prawy.

— Zaraz! — Batura zajął się przyciskami. — Paweł, wkrótce lewy silnik padnie, bo zabraknie mu paliwa.

— Trudno, ale możemy lecieć tylko na prawym. Będzie przez to palił więcej, ale jakoś dociągnie nas do brzegu.

— Chłopaki, jest coś jeszcze — Zuzanna miała smutny głos.

— Co?! — Batura przeraził się.

— Nie mamy lewego koła — oznajmiła Zuzanna. — Zahaczyliśmy nim o skałę i została tylko strząskana goleń. Prawe koło jest schowane.

— Czy macie chociaż jedną dobrą wiadomość? — wydyszał Batura.

— Włącz te moje nadajniki. Postaraj się przez radio, na kanale alarmowym, powiadomić, w jakiej jesteśmy sytuacji — proponowałem.

— Nie wiem, czy zauważyłeś, ale wokół nas szaleje burza. Masz jeszcze jakąś dobrą radę?

— Po prostu leć.

Zdjąłem słuchawki i ciężko opadłem na podłogę. Nasza sytuacja była gorzej niż zła. Lądowanie było ryzykownym przedsięwzięciem i wszystko teraz zależało od talentu Batury.

— Pan jest Polakiem? — staruszek zapytał mnie po niemiecku. Spojrzałem na niego. Leżał przykryty kocem. Było mu zimno i jego broda lekko drżała.

— Tak — odpowiedziałem uśmiechając się. — Z kolegą przybyliśmy na wyspę, żeby uratować pana i dziewczynę mojego... — zawahałem się jakiego użyć słowa — przyjaciela — stwierdziłem.

— Pan jest z polskiego wywiadu?

— Nie, ale od nich otrzymałem informację, że pana porwano. Podobno chciał pan nam przekazać jakieś informacje?

— To kim pan jest?

— Nazywam się Paweł Daniec. Jestem muzealnikiem i poszukuję zaginionych dzieł sztuki, zabytków, niekiedy ukrytych skarbów.

— Co pan robi z tym co pan znajdzie? — staruszek przeknął ślinę.

— Oddaję do muzeum. Nasze państwo oddaje zrabowane przez hitlerowców zabytki dziedzictwa kulturowego innych państw w ręce prawowitych właścicieli.

— Dobrze panu za to płacą?

— Nie, ale starcza na utrzymanie małego mieszkania i kupno książek. Na razie nie mam większych potrzeb.

Staruszek rozkaszał się. Pomogłem mu usiąść. Odszukałem butelkę z wodą mineralną i dałem Niemcowi pić.

— Dziękuję — wysapał opadając na podłogę. — Pan jesteś idealistą — słabo uśmiechnął się.

— Tak — przyznałem sadowiąc się wygodniej, by widzieć, czy nie miga lampka sygnalizująca, że Batura próbuje znowu ze mną porozmawiać.

— Nie interesuje pana, czego oni chcieli się ode mnie dowiedzieć?

— Interesuje, ale nie będę zmuszał pana do mówienia. Nic, żaden przedmiot na świecie, żaden skarb nie jest wart ludzkiego cierpienia. Z tego co mi mówiono, chciał pan zdradzić swoją tajemnicę licząc na jakąś gratyfikację.

— Chciałem dać wnukowi pieniądze na studia. On chce zostać lekarzem.

— Rozumiem — pokiwałem głową.

— Tam są prawdziwe skarby — staruszek odezwał się po chwili milczenia.

— Łupy, dzieła sztuki zrabowane w podbitych przez hitlerowskie Niemcy krajach — zauważyłem. — Czy naprawdę były warte tylu ludzkich nieszczęść?

— Niech pan o tym nie mówi! Przez cały czas po wojnie, kiedy dorastałem, wszyscy mówili, że nazizm był zły, że wszyscy Niemcy ponosimy winę za zbrodnie. Pamiętałem tylko, że to był okres mojego dzieciństwa, że nikogo nie zamordowałem, że uciekałem przed bolszewikami, którzy dopuszczali się strasznych rzeczach wszędzie tam, dokąd przyszli.

— Poznał pan znaczenie ponurego słowa odwet — odparłem. — Nie popieram zbrodni, ale rozumiem, dlaczego do nich doszło.

— Pan jest jeszcze młody i... — nie dokończył widząc migające światło. Założyłem słuchawki.

— Jestem! — zgłosiłem się.

— Z Zużą uznaliśmy, że jedynym wyjściem jest wodowanie — powiedział Batura.

— Na wzburzonym morzu? — zdziwiłem się.

— Na przekopie Wisły, na wschód od Wyspy Sobieszewskiej. To prosty odcinek rzeki i blisko do brzegu.

— Próbowaleś połączyć się ze służbami ratunkowymi?

— Próbowalem. Nie słyszeli mnie zbyt dobrze. Za pół godziny będziemy nad

Polską.

Odłożyłem słuchawki.

— Coś nie tak? — zapytał Niemiec.

— Jest fatalna pogoda, mamy rozbity pompę paliwową, uszkodzone podwozie i będziemy wodować na rzece — wyjaśniłem.

— Pewnie nie przeżyjemy tego?

— Zawsze trzeba mieć nadzieję. Nigdy nie wolno się poddawać.

— Pan zawsze walczy do końca?

— Staram się — roześmiałem się. — Ma pan rację, jestem idealistą i marzycielem.

— Mało już czasu spędzimy razem.

— Czemu?

— Nie przeżyję tej kraksy.

— Niech pan spróbuje sobie wyobrazić, że to będzie lądowanie — gorzko uśmiechnąłem się.

— Czemu nie wyskoczycie ze spadochronami?

— A co będzie z panem?

Staruszek zamilkł i językiem przesunął po wysuszonych wargach. Dałem mu pić.

— Robicie to tylko ze względu na mnie? — pytał jakby się upewniając.

— Tak.

— Zostawcie mnie, jestem już stary... Wiem! Wy chcecie ode mnie wyciągnąć informacje!

— Niech pan nie gada bzdur! Nikt w Polsce nie będzie pana do niczego zmuszał. Moim zadaniem było dowiedzieć się, czego ludzie, którzy pana porwali, szukali na „Goi”. Mój przyjaciel ratował narzeczoną, którą więziono na Diablím Kle tylko po to, żeby on współpracował z porywaczami. Wiedziałem od polskiego wywiadu, z którym pan się kontaktował, że pan zniknął, później dowiedziałem się, że pan jest na wyspie. Nie ciekawią mnie pańskie interesy, ile pan chce zarobić pieniędzy. Jeżeli uda się odzyskać zaginione skarby, to będę szczęśliwy, że znów, w spokojnych czasach, będą mogły cieszyć wzrok zwiedzających. To wszystko!

Staruszek przyglądał mi się z uwagą.

— Muszę ci coś opowiedzieć... — odezwał się po chwili. Z ogromnym zainteresowaniem słuchałem opowieści starając się zapamiętać nawet najdrobniejsze szczegóły. Kiedy skończył, zamilkł i patrzył na mnie z uśmiechem.

— Czemu pan się uśmiecha? — zapytałem go.

— Jestem ciekawy, kiedy ogarnie cię gorączka złota i będziesz myślał tylko o skarbie — odparł.

— Coś takiego mi nie grozi — mruknąłem sięgając po słuchawki, bo widziałem, że znowu świeci się czerwona dioda.

— Jestem! — zameldowałem się.

— Trzymajcie się, za parę minut zaczynamy lądowanie — poinformował mnie Batura.

— Wezwalesz pomoc?

— Tak, nawet będzie spory komitet powitalny. Wyjrzyj z prawej strony! Pochyliłem się przy okrągłym okienku. Ujrzałem ląd znajdujący się w widłach rzeki, pojedyncze świetlne punkty domów, niewielki port i trzy jednostki na rzece z migającymi na niebiesko i czerwono sygnalizatorami.

— Co to jest? — zapytałem.

— Mamy lądować na pomoc od linii promowej. Tam już na lądzie nie ma zabudowań — to na wypadek, gdyby coś nam nie wyszło i mielibyśmy zboczyć z kursu i efektownie rozbić się o ziemię. Wiesz, jak macie wyjść?

— Tak.

— Do zobaczenia!

— Będę za ciebie trzymał kciuki, pilocie!

Pochyliłem się nad staruszką i pomogłem mu usiąść w poprzek kabiny. Do pomieszczenia radiooperatora przechodziło się pod stanowiskiem tylnego strzelca. Zamiast kopułki był zamontowany właz z przezroczystego laminatu. Było to wyjście ewakuacyjne na wypadek wodowania. Nawigator z przodu miał podobne w górnej części swojej oszklonej kabiny i pilot u góry też. Położyłem tu kapoki. Przez maleńkie boczne okienka wyjrzałem na zewnątrz. Właśnie schodziliśmy nad Wisłą lecąc z południa na pomoc. Przelecieliśmy kilkanaście metrów nad łodziami ratowniczymi.

Słyszałem, jak Batura zmniejszył gaz, widziałem, jak ruszał lotkami na skrzydłach, prawie czułem, jak zbliżamy się do rzeki. Uderzyliśmy w nią z wielką siłą, przez moment wydawało się, że nosem wryjemy się pod wodę, jednak odbiliśmy się i znowu opadliśmy tym razem już rozbijając dziobem fale. Rzuciło mną i nabiłem sobie guza o framugę drzwi między kabiną radiooperatora a tylnego strzelca.

Przechylił się, lewe skrzydło zanurzyło się. Szarpnąłem za klamkę i wybiłem właz na zewnątrz. Wróciłem do kabiny po staruszkę. Był przerażony i błąd. Chwyciłem go pod pachy i pomogłem mu przejść do wyjścia ewakuacyjnego. Woda już wdzierła się do wnętrza samolotu przez luk bombowy.

Wyszedłem pierwszy i okrzykiem usiadłem na ogonowej części kadłuba.

— Niech pan poda kapoki! — krzyknąłem.

Z przodu Batura pomagał Zuzannie wygramolić się z kabiny.

— Człowieku, zostaw mnie tu! — odpowiedział staruszek. Bombowiec zaczął gwałtownie iść pod wodę pochylony do przodu. Wsunąłem tułów do środka i złapałem Niemca za rękę.

— Nie! — krzyknąłem.

Wylądowaliśmy u ujścia Wisły do Bałtyku i morskie fale zaczęły przelewać się nade mną. Z ogromnym wysiłkiem wyciągałem starca przez właz. Niemiec dusił się i przychał wodą, która przelewała się przez nas. Nieoczekiwanie zaklinował się od pasa w dół. Z samolotem szliśmy na dno. Ostatkiem sił pociągnąłem go brutalnie w górę, jednocześnie odbijając się nogami od kadłuba. Udało mi się jeszcze chwycić kapok, który sam wypłynął z samolotu i wynurzyliśmy się. Wcisnąłem kapok pod głowę staruszkę i próbowałem robić mu sztuczne oddychanie. Prąd Wisły wypchnął nas na morze. Lodowata woda, wysiłek, stres odbierały mi siły, ale nie poddawałem się.

Nagle znalazła się koło mnie duża łódź ratownictwa morskiego. Ratownicy wciągnęli nas na pokład, a nade mną ze spojrzeniem pełnym troski pochylił się Leśnik. Zapamiętałem też ostatnie słowa staruszkę, nim nas rozdzielono.

— Odnajdź Karla — powiedział.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

CHRZEST „OKONKA” • GNIAZDKO W KRZAKACH • STARCIE Z AMANTEM • UCIECZKA O ŚWICIE • KAPITAN I ZAŁOGANTKA • ZAKUPY MAGDY • WIADOMOŚĆ Z MALBORKA

Z radością myślałem o tym, że jadę do Torunia. To piękne, stare miasto o cudownym, nieuchwytnym klimacie płynącym z gotyckich murów kościołów, z ciasnych uliczek między kamieniczkami Starego Miasta, z tłumy studentów i turystów. Tu można było niemal otrzeć się o historię, wisiąca w powietrzu jak zapach ciast pieczonych przed świętami. Cieszyłem się z tego wyjazdu tym bardziej, że wreszcie miałem urlop. Pożyczyłem od zaprzyjaźnionego archeologa składany kajak i zaplanowałem sobie wyprawę. Mogłem z Torunia popłynąć w górę Wisły do ujścia Drwęcy i tą rzeką dopłynąć na Mazury. Kuszący wydawał się też spływ Brdą i Wdą przez Bory Tucholskie czy nawet Nogatem nad Zalew Wiślany. Nie wiedziałem, co wybrać.

Wysiadłem z moimi tobołami na toruńskim dworcu, po zachodniej stronie Wisły.

Odszukałem ścieżkę wydeptaną przez wędkarzy wśród osik i doszedłem na piaszczysty brzeg. Sto metrów ode mnie siedział mężczyzna, który oderwał wzrok od spławika i przyglądał się moim poczynaniom.

Składany kajak miał bardzo prostą konstrukcję. Był długi na cztery metry, w najszerszym miejscu, pośrodku długości kadłuba szeroki na sto dwadzieścia centymetrów. Na szkielet z cienkich rurek wykonanych z włókien sztucznych naciąga się brezentową, gumową powłokę ze wzmacnianym jakimiś kosmicznymi tworzywami dnem. To nie był ten sam sprzęt wyprodukowany przed wielu laty w Niemieckiej Republice Demokratycznej, którym z Piotrem spływaliliśmy rzeką Krutynią w poszukiwaniu śladów gockiego księcia. Sprzedawcy zachwalali, że pontony używane przez brytyjskie oddziały specjalne mają powłoki z tego samego materiału. Kajak był zwrotny, doskonale trzymał się na wodzie, do tego miał dmuchane siedzenia i komory wypornościowe na dziobie i rufie. Przyjaciół zamontował na nim także ster i przystosował go do postawienia niewielkiego żagla rejowego.

Mój bagaż stanowiły jeszcze worek z ubraniami, chlebak z prowiantem, karimata i namiot. Skręciłem wiosło, drugie trzymałem w dwóch częściach jako zapasowe. Włożyłem swoje *rzeczy do* wnętrza kajaka i popatrzyłem na panoramę Torunia, jakbym jako szesnastowieczny odkrywca żegnał ukochany port. Zastanawiałem się nad nazwą mojego statku. Właśnie wędkarz postanowił przyjść i obejrzeć kajak. Miał czerwoną twarz spieczoną słońcem. Potarł palcem wielki nos.

— Dzień dobry! — przywitałem go.

— Ano, dobry — odpowiedział. — Co to za cudo?! — patrzył na kajak.

— Taka łódeczka. Trochę kajak, trochę żaglówka.

— A jak się to nazywa?

— Właśnie mam z tym kłopot. Jakie ryby tu najlepiej biorą?

— Okonki.

— To będzie „Okonek”, a pan zostanie ojcem chrzestnym. Wędkarz wyjął z kieszeni spodni piersiówkę.

— Taką okazję to trzeba opić — wyraźnie się ucieszył.

— Na wodzie nie powinno się pić — podziękowałem za poczęstunek. — Pan też niech uważa — pouczyłem go, kiedy pociągnął drugi łyk, za mnie.

— Dokąd pan płynie?

— Przed siebie. Tak bez celu.

— Aha, a ja myślałem, że do Afryki.

— Czemu akurat tam? — zdziwiłem się.

— Bo prawisz pan jak jakiś kaznodzieja: „nie piję”, „niech pan uważa”...

— Nie jestem kaznodzieją — powiedziałem spychając kajak na głębszą wodę.

— A kim?

— Poszukiwaczem myśli i wrażeń! — przywołałem z pamięci zwrot zasłyszany w radio.

Wędkarz nakreślił palcem kółko na swoim czole jasno dając do zrozumienia, co o mnie myśli. Było mi to zupełnie obojętne. Szczęśliwie wiał południowy wiatr, więc kiedy wypłynąłem na środek Wisły, postawiłem maszt i wciągnąłem mój żagielek. Martwił mnie tylko jego różowy kolor. „Majtko-wy”, jak określił go Piotr, któremu żona do pralki, w której prał żagiel, wrzuciła bluzeczkę, a ta nieoczekiwanie zafarbowała żagielek.

Rejs po Wiśle sprawiał mi ogromną przyjemność. Rzeka ta wciąż nie jest tym, czym mogłaby być, gdyby trwał na niej ruch turystyczny. Wypłynąłem z Torunia będąc sam na środku wielkiej wody. Rozkoszowałem się ciszą i spokojem. Moimi jedynymi towarzyszami były nieliczne mewy, łabędzie, pluskające w wodzie ryby. Miasto skończyło się nagle zastąpione przez pola i łąki. Płynąłem pchany wiatrem i prądem Wisły, nurzając palce w wodzie.

Jeszcze tego samego dnia minąłem Bydgoszcz i po zmroku znalazłem małą wysepkę na wschodnim brzegu. Rozstawiłem namiot, z kajaka wyjąłem część

szkieletu, dzięki czemu nikt nie mógł odplynać nim z wyspy. Koło siebie położyłem wiosła. W piasku wykopałem płytki dołek, w którym rozpałem ognisko. Nad ogniem uwędziłem dwie kiełbaski i zjadłem je z bułką, popijając to wszystko wodą mineralną. Żując kolację i rozkoszując się tym, że po całodziennym wysiłku wreszcie mogłem wypocząć, przypominałem sobie wydarzenia ostatnich dni: dramatyczne wodowanie, przymusową kąpiel w morzu, krótki pobyt w szpitalu i składanie meldunku przed Piranią i Leśnikiem. Staruszek przeżył, ale był w ciężkim stanie i nikt nie mógł z nim rozmawiać. Szef po tej akcji wezwał mnie do siebie, odebrał mi służbowy telefon komórkowy i kazał wyjechać na dwutygodniowy urlop. Nie chciał nawet wiedzieć, dokąd jadę.

Następnego dnia ruszyłem po świcie. Zatrzymałem się w małej wiosce, gdzie nad brzegiem siedzieli wędkarze. Pod ich opieką zostawiłem kajak i pobiegłem do sklepu uzupełnić zapasy żywności. Obładowany zakupami mogłem płynąć dalej. Wciąż sprzyjała mi pogoda. Świeciło słońce i wiał południowy wiatr. Na wiosłach i pod żaglem płynąłem bardzo szybko i niebawem dotarłem do miejsca, skąd widać było już zabudowania Grudziądza. Znowu znalazłem sobie odludne miejsce na nocleg. Następne dwa dni zajęło mi dopłynięcie do ujścia Nogatu. Jedną noc spędziłem w sadzie domku letniskowego znanego profesora socjologii. Słuchałem, jak przez telefon udzielał wywiadu jakiejś rozgłośni radiowej. Potem odwiedziła go telewizja, a o dwudziestej drugiej sąsiad na letniku, profesor politologii, z którym do późnej nocy prowadzili dysputy na temat sytuacji politycznej w kraju. Na kolejny nocleg wybrałem sobie, wydawało się, spokojne miejsce, na polance na końcu cypla porośniętego brzezina, do którego można było dostać się wąską ścieżką przez podmokły przesmyk.

Właśnie zgasilem ogień i zabierałem się do jedzenia odgrzanej w menażce fasolki po bretońsku, kiedy zza krzaków malin dobiegł mnie niewieści chichot. Cóż, widocznie jakaś zakochana para postanowiła spędzić razem czas akurat kilka metrów ode mnie. Zastanawiałem się, jak dać im znać, że tu jestem. Zapewne wycofali się i zostaliby tu sam.

— Arek, czujesz ten swąd ogniska? — pytała kobieta.

— To żar mojej miłości — odpowiedział jej męski głos. — Magda, mam tu kocyk, jesteśmy sami, więc może wreszcie...

— Przestań!

— Ile jeszcze każesz mi czekać?

— Ja bym chciała tak romantycznie, a ty mnie pakujesz do swojego fiaci-ka i wywozisz nad rzekę, gdzie zaraz pewnie zaatakują nas komary,

Ten moment uznałem za odpowiedni, żeby głośno uderzyć się otwartą dłonią w ramię, jakbym właśnie zatłukł komara.

— Słyszałeś? — kobieta zaniepokoiła się.

—Co?!

— Ktoś tu jest. Pójdę i sprawdzę, co to za podglądacz — zaczęła przedzierać się przez maliny. — O, patrz! Jest tu jakiś facet i wcina fasolkę po bretońsku!

Magda, bo to musiała być ona, była piękna. Przypominała urodę Raquel Welch, tylko miała krótsze włosy. Ta sama figura, te same odrobinę rozmarzone i drapieżne spojrzenie, po prostu sobowtór! Mogła mieć najwyżej dwadzieścia osiem lat. W białej sukience na ramiączkach i kremowych pantofelkach rzeczywiście musiała czuć się fatalnie w takim otoczeniu. Do tego docierał do mnie łagodny zapach jej perfum, słodkich, ale nie cukierkowa-tych.

— Dobry wieczór! — powiedziałem. — Nie jestem podglądaczem.

— To co pan tu robi? — zapytała biorąc się pod boki.

— Przypląnąłem tu kajakiem, rozstawiłem namiot, przygotowałem kolację i kiedy zabierałem się do konsumpcji, państwo się pojawili — tłumaczyłem się.

— Magda, z kim ty gadasz? — przyjaciel Magdy zdenerwował się. Po chwili wyrósł koło niej troglodyta, w dżinsach, rozpiętej koszuli, spod której wystawały wielkie i kędzierzawe kępy włosów. Chyba dla odmiany postanowił głowę ogolić

na tyso. Miał niesamowicie zarozumiałą i groźną minę. Jego szczęka wyglądała jak wyrysowana przez projektanta androidów. Arek był wielki jak szafa i teraz zbliżał się do mnie.

— No, panie harcerz, czas zmienić obozowisko — oznajmił przyglądając się mnie, namiotowi i kajakowi. — Koniec survivalu! Wsiadasz pan na łódeczkę i spływasz.

— Dokąd? — zapytałem wstając.

— Choćby do Szwecji — Arek wzruszył ramionami. — Mam pomoc spakować wigwamik?

Pod pozorami grzeczności skrywała się pewnośc siebie. To mnie zdenerwowało.

— Chciałbym zaznaczyć, że to ja tu byłem pierwszy — odezwałem się.

— I dlatego, szanowny kolego, zjesz spokojnie fasolkę, a potem... — osiłek wskazał na Wisłę.

— To chyba jest napaść? — zwracałem uwagę.

— A nawet, być może, wymuszenie rozbójnicze — Arek przyglądał mi się rozbawiony. — Stary, mam cię stąd wyprowadzić kulturalnie, z honorami, kajaczką i jeszcze Magdusia pomacha ci chusteczką na pożegnanie, czy popłyniesz jak lux torpeda napędzana siłą mojego kopniaka w twój pośladek? — wielkolud zbliżał się zaciskając pięści.

— Arek, znów pójdziesz siedzieć przez jakiegoś intelektualistę — wtrąciła się Magda. — Pamiętasz tamtego bibliotekarza w okularach?

— Tak mu patrzyłem, że już nie zerkał w dekolt mojej dziewczyny — Arek był z siebie bardzo dumny. — No, więc jak? Kim pan właściwie jesteś?

— To chodziło o tamtą laskę? — Magda jakby nie dowierzała.

— Jestem muzealnikiem — odpowiedziałem na pytanie Arka.

— Patrz, Magda! — stał metr ode mnie i bezradnie rozłożył ręce, a ja uchyliłem się przed jego wielką jak bochen chleba dłonią. — Wykształcony człowiek, a nie rozumie siły moich argumentów — spojrzał na mnie z niemym pytaniem.

— Zostaję — odpowiedziałem.

Pierwszy jego cios, prawy sierpowy pewnie zwałiłby mnie z nóg, ale spodziewałem się ataku. Lewą dłonią chwyciłem jego pięść. Prawą nogą zrobiłem krok do przodu, a prawym łokciem wsuniętym pod jego brodę sprawiłem, że z wyciągniętą ręką i zadartą głową zaczął tracić równowagę. Teraz wystarczyło podciąć jego prawą goleń. Arek upadł na ziemię czyniąc przy okazji ogromny huk. Odsunąłem się od niego i czekałem, co teraz zrobi. Chwilę leżał, potem podniósł głowę i potrząsnął nią.

— Kolego, przyznam, że to zaszczyt stoczyć z tobą pojedynek — powiedział wstając i otrzepując ręce z ziemi. — Pozwolisz, że fragment twego uzębienia powieszę w garażu na ścianie skalpów? — zagadnął rozcierając ręce.

— Arek, daj mu spokój — prosiła Magda.

— Cicho, mała, kiedy mężczyźni rozmawiają — spojrzał na nią. — Co, kolego, trenujesz?

— Trenowałem wszystko po trochu. Najbardziej odpowiadało mi aikido.

— To chińska sztuka walki?

— Japońska.

— Mówię, że stamtąd — powoli zbliżał się lekko kołysząc ramionami. — Czas, żebyś odszedł do krainy na spotkanie z wielkimi samurajami!

Tym razem Arek przygotował dla mnie lewy prosty. Wystarczyło zejść w lewo z linii ataku, złapać pięść i robiąc krok w tył pociągnąć przeciwnika, by gwałtownie zatrzymać go wyciągając jego pięść przed siebie. Wciąż trzymałem ją lewą ręką, a prawą, wnętrzem dłoni do góry, wsunąłem pod jego pachę. Lekko uniosłem ramię, a osiłek stanął na palcach. Jeden ruch barkiem z jednoczesnym obrotem ręki pod jego pachę i napastnik leciał na ziemię. Nie umiał łagodnie padać, a do tego w ciemnościach potknął się. Uderzył w brzozę i jęknął.

— Co ci się stało? — zaniepokoiła się Magda.
— Korzonki! — odpowiedział Arek.
— Pan jest nienormalny! Uszkodził mu pan korzonki, pan wie, czym to grozi?
— Ależ ja się tylko broniłem — wyjaśniałem. — Niech pani go zostawi, przecież go pani nie uniesie — powiedziałem widząc, że Magda usiłuje pomóc wstać swojemu towarzyszowi.

Wyciągnąłem dłoń do Arka i pomogłem mu powstać. On jedną rękę trzymał na plecach, jakby strasznie bolał go kręgosłup.

— Madziu, tu są korzenie — wskazał na ziemię. — No, bracie... — jego ciężka łapa spoczęła na moim ramieniu.

Cofnąłem się, gotów dalej bronić się, kiedy Arek uśmiechnął się.

— Koleś, nieźle cię wyćwiczyli w tym muzeum — mruknął. — Nie myśl jednak, że to my się wyniesiemy, bo zostaniemy tu na noc.

— Tu?! — wskazałem swoją polankę.

— Tam — Arek wycelował za krzaki malin. — Chodźmy, mała, do naszego gniazdka... — oparł się na ramieniu Magdy.

— Wolałabym nocleg w hotelu niż wicie gniazda jak wróbelek w krzakach — marudziła dziewczyna.

Oni zniknęli za krzakami, a ja zdruzgotany usiadłem na ziemi przed namiotem. Wbiłem łyżkę w danie, które wystygło, a sos zgęstniał przypominając jakąś pastę. Nazbierałem chrustu, rozpałiłem ognisko, rozstawiłem trójnog, na którym gotowałem i postawiłem na nim menażkę. Nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, że biorę udział w jakimś groteskowym przedstawieniu. Może był to program z ukrytą w krzakach kamerą? Podobno telewizje robią takie prowokacje. Jaki bandyta w tych czasach wyraża się tak jak Arek? Która tak piękna kobieta zadawałaby się z kimś takim? Czego szukali tu nad Wisłą, na tym odludziu? Najchętniej odpłynąłbym, ale duma nie pozwalała teraz, po takim zwycięstwie, wycofać się. Miałem przez tę dziwną parę płynąć po nocy i szukać innego miejsca na biwak? Nie! Trudno, nie zawsze może być pięknie.

Ta noc była koszmarna, bo spałem na siedząco. Bałem się, że moim sąsiadom może przyjść do głowy zrobienie mi dowcipu w rodzaju puszczania kajaka z nurtem Wisły, kradzież wiosł, cokolwiek innego, co zepsułoby mi urlop. Tak więc nie spałem, tylko przysypiałem, a przebudzając się dokładałem drewna do ognia, który nad ranem już ledwo się tlił. W końcu słysząc, że za malinami panuje kompletna cisza, wyciągnąłem się na ziemi, twarzą do wody.

Obudziłem się wystraszony, bo ktoś potrząsał moim ramieniem. To była Magda. Nawet po nocy spędzonej na łonie natury wyglądała wspaniale. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakiś miły sen.

— Panie muzealnik! — nerwowo szturchała mnie. — Niech pan się obu-4zi!

— Co się stało? — pytałem przecierając oczy.

— Arek pojechał po kolegów, to możemy uciekać.

— Nie rozumiem — wlokłem się do brzegu, żeby przemyć twarz.

— Arek postanowił, że nie daruje panu i pojechał po swoich kumpli, żeby wspólnie wyprawić pana stąd. Arek już taki jest, że zawsze stawia na swoim. Szybko wróciła mi trzeźwość umysłu.

— Dawno pojechał? — dopytywałem się.

— Piętnaście minut temu. Wróci pewnie za godzinę albo i później. Musimy uciekać.

— Czemu mówi pani o nas?

— Płynę z panem — wskazała na swoją torbę podróżną.

— Co?! Czemu?! — zaniepokoiłem się.

— Mam dość Arka, ale on nie pozwoli mi tak samej odejść.

— Czemu nagle postanowiła go pani porzucić? — zajęty pakowaniem się, dopiero po chwili zapytałem.

— Nigdy go nie kochałam — odpowiedziała Magda.

— I dopiero teraz pani to odkryła?

— Panie muzealnik, niech pan nie moralizuje. Płynę z panem albo dzwonię do Arka i mówię, że pan ucieka... — wyjęła telefon komórkowy i znacząco zawiesiła głos.

— Powiem mu, że chciała pani uciec.

— A komu on uwierzy? — Magda zrobiła słodką i niewinną minkę. Byłem załamany, bo rzeczywiście, oprócz urody Magda dysponowała znakomitym talentem aktorskim.

— Niech pani pozmywa naczynia — rozkazałem jej. — Trzeba je wyszorować piaskiem.

— Czyli jak?

— Wszystko jedno! — zrezygnowany zwijałem namiot. Spieszyłem się, bo nie miałem ochoty toczyć tu bezsensownej walki z kolegami osiłka. W ciągu kwadransa jedynym śladem po obozowisku była przygnieciona trawa w miejscu, gdzie stał namiot i zasypane piaskiem palenisko. Posadziłem Magdę z przodu. Przy okazji mogłem podziwiać jej zgrabne nogi, tym razem w spodniach rybaczkach. Zepchnąłem „Okonka” na wodę i usiadłem z tyłu. O tej porze nie było wiatru, a rzeka toczyła swe wody wśród tumanów mgieł i koncertu ptactwa ukrytego w trzcinach.

— Będzie musiała pani wiosłować — skrzyłem Magdzie drugie wiosło.

— Czemu? Jestem kobietą, więc...

— Na „Okonku” jest pani tylko załogantem, a załoga ma prawo słuchać kapitana. Ja jestem kapitanem.

— A „Okonek” to kto?

— Ten kajak.

Magda parsknęła śmiechem. Skierowałem kajak w kierunku wschodniego brzegu Wisły.

— Dokąd płyniemy? — Magda wciąż nawet nie zamoczyła wiosła.

— Pani wysiada.

— Czemu? — obróciła się tak gwałtownie, że o mało nie wywróciła kajaka.

— Bo pani się mnie nie słucha. Jakiegoś osiłka, który napadł mnie, pani słuchała, a kiedy ja panią o coś proszę, to...

— Pan mówi o prośbie?! Może zacytuję: „załoga ma prawo słuchać kapitana”! Po prostu czad!

— Źle to wyraziłem, ale powinniśmy jakoś podzielić obowiązki na kajaku. Wysadzę panią przy moście w Tczewie i dalej pojedzie pani autostopem.

— Nie mogę tam wysiąść, bo Arek będzie nas szukał w Malborku, ma kumpli w Tczewie i Elblągu. Zorganizuje prawdziwe polowanie.

— Czemu Arek będzie nasz szukał w Malborku? — zaciekawilem się.

— Zostawiłam mu kartkę, że uciekłam z muzealnikiem, że będę w Malborku i żeby mnie już nie szukał, bo wszystko skończone.

— Czemu akurat wskazała pani na Malbork?

— No, a dokąd płynie muzealnik, jak nie do Malborka. Tak sobie tylko pomyślałam, że nie zaszkodzi, jak zmylę go trochę.

— Może rzeczywiście chcę płynąć do Malborka?

— Tak? — głos Magdy zadrżał. — Pan nie może teraz tam płynąć. Arek pana zabije.

— Dziękuję bardzo — znacząco popatrzyłem na jej wiosło. Magda zrozumiała aluzję i zaczęła wiosłować. Dostosowałem się do jej tempa i chociaż byliśmy bardziej obciążeni, płynęliśmy szybko. Około ósmej, kiedy na horyzoncie widać było już most w Tczewie, postanowiłem zatrzymać się na zachodnim brzegu Wisły, na śniadanie.

— Musimy zrobić zakupy — powiedziałem sprawdzając stan zapasów.

— Nie możemy zjeść w restauracji? — dziwiła się Magda odbierając ode mnie kubek z kawą.

Oczarowany patrzyłem, jak ostrożnie przytyka do metalowej krawędzi kubka swe kształtne, malinowe usta.

— Ktoś musi pilnować kajaka — odpowiedziałem. — Lepiej żebyśmy nie pokazywali się ludziom na oczy, a pani musi spędzić ze mną czas przynajmniej do jutrzejszego rana. Zrobi pani zakupy?

Magda niechętnie żuła chleb z dżemem.

— A jest po drodze jakiś supermarket? — zapytała.

— Nie! W wiejskim sklepie kupi pani jajka, kiełbasę, cebulę, chleb i masło. Potem przygotowuje pani z tego jajecznicę.

— Czemu akurat ja?

— Dobrze, ja ją usmażę!

— Faceci wszystko chcą zrzucić na barki biednych kobiet. Do końca śniadania nie odezwałem się słowem. Siedzieliśmy nad brzegiem Wisły na łące między korytem rzeki a wałem przeciwpowodziowym. Z kajaka kilka razy dobiegał nas dzwonek telefonu komórkowego. Pewnie dzwonił wściekły amant Magdy, ale ona udawała, że niczego nie słyszy.

Wsiadliśmy do „Okonka” i dziarsko wiosłowaliśmy, aż około południa zatrzymaliśmy się w małej wiosce, kilka kilometrów na północ od Tczewa. Było tam kilka przygarbionych wiekiem domków i sklep wygospodarowany z dawnej wiejskiej świetlicy. Wysłałem Magdę po zakupy wręczając jej banknot o dużym nominale. Wróciła dźwigając cztery torby zakupów. Sapiąc wrzuciła je pod pokład na dziobie i usiadła.

— Niech kapitan trochę powiosłuje, bo zmęczyłam się niosąc te torby — powiedziała.

— Chyba pani o czymś zapomniała...

— O czym? — zdziwiła się. — Znowu chodzi o jakieś bzdury w stylu „załoga musi...”?

— Chodzi mi o resztę z zakupów — przypomniałem.

— Ależ pan małostkowy — westchnęła.

Sięgnęła do kieszeni spodni i wysypała mi na dłoń garść drobniaków.

— To wszystko? — byłem zdumiony.

— Tak — wystawiła twarz do słońca.

Wściekły na siebie, na nią, na zrządzenie losu, które nas połączyło, wiosłowałem dwie godziny. Ona tylko się opalała. Cóż, kiedy zdjęła koszulę odsłaniając górną część stroju kąpielowego, już tylko zacisnąłem usta. Znalazłem się w pułapce.

Zmienił się krajobraz wokół nas, bo byliśmy już na Żuławach Wiślanych. Wisła mknęła ku morzu szerokim korytem. Mogłem postawić żagiel.

— Uszyty z rajtuzów teściowej? — Magda kpiła z różowego koloru.

— Nie mam teściowej — nieopatrznie dałem wciągnąć się na kolejną mieliznę.

— Stary kawaler? — domyśliła się moja pasażerka. — Zakochany w dziełach sztuki, dostojnych damach z obrazów holenderskich mistrzów...

— Czemu akurat ich?

— Tak tylko sobie żartuję.

Około szesnastej wypatrzyłem niewielką wyspę na wschodnim brzegu Wisły. Kępy leszczyn odgradzały nas szczelną zieloną ścianą od brzegu. Na polance o średnicy czterech metrów kwadratowych rozstawiłem namiot i przygotowałem palenisko. Nie było tu chrustu, więc wyjąłem kostki paliwka turystycznego.

Magda w tym czasie zdjęła spodnie i w stroju kąpielowym przechadzała się po brzegu, brodząc w wodzie. Podszedłem do „Okonka” po zakupy i wyjąłem reklamówki. Wystawiłem je na brzeg i usiadłem zszokowany.

— Co się stało? — zaniepokoiła się Magda.

— Co to jest? — zapytałem wyjmując dużą butlę z płynem do mycia naczyń.

— Jest napisane na etykiecie. To praktyczniejsze niż piasek.

— Chce pani tym myć naczynia w rzece? Przecież to zatruje wodę.

— Chyba jedno czy drugie mycie nie spowoduje klęski ekologicznej?

— A gdyby wszyscy turyści tak myśleli?

— A gdyby, gdyby — przedrzeźniała mnie.

Kołysząc biodrami podeszła do reklamówek i wyjęła z nich zestaw do malowania paznokci. Nie mogłem oderwać od niej wzroku, jak maluje paznokcie na perłowy kolor ze złotym brokatem.

— Trochę obciachowy kolor, ale nie było lepszego — Magdzie wydawało się, że czyta w moich myślach. — W Tczewie czy Kieźmarcu, autostopem czy w kajaku nie mogę pokazać się bez pomalowanych paznokci.

Mniejszym szokiem były dla mnie kolejne „praktyczne” zakupy Magdy:

karton proszku do prania, dwie dwulitrowe butle napojów gazowanych, dwie czekolady, które zdążyły się rozpuścić, słoik śledzi marynowanych, słoik sałatki szwedzkiej, gumowe rękawiczki i gąbka (do zmywania naczyń — jak mi wyjaśniła Magda), lakier do włosów, pianka do modelowania włosów, mleczko kosmetyczne, mydło w płynie, papierowe ręczniki, waciki, płatki kosmetyczne. Na końcu znalazłem sześć jajek, mały bochenek chleba, margarynę, dwa pętka kiełbasy i trzy konserwy.

— Gdzie cebula? — dopytywałem się.

— Człowiek ma po niej nieświeży oddech — wyjaśniła przemywając twarz mleczkiem.

— A masło?

— Kupiłam — wskazała na margarynę.

Nie miałem sił tłumaczyć jej, że do smażenia jajecznicy, tylko z pozoru prostego dania, najlepsze jest prawdziwe masło. Przygotowałem potrawę, którą Magda spałaszowała wypijając połowę butli z napojem. Przyniosłem do namiotu jej torbę. Miałem nadzieję, że przebierze się w coś ciepłego, bo zbliżał się wieczór.

— O, Boże! — po chwili usłyszałem jej krzyk.

Zajrzałem do namiotu. Magda siedziała ze swoim telefonem w ręku.

— Arek urządził na nas prawdziwe polowanie — wyszeptała odczytując z ekranu wiadomość tekstową.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

NOCNY SPŁYW • PIORYTETY ARKA • POSPOLITY DIAMENT • SPOTKANIE W ŚLUZIE • POKÓJ NARZECZONYCH • TAJEMNICE WILLI ALBERTA FORSTERA

Zaniepokoiły mnie rewelacje Magdy. Nie potrafiłem nawet sobie wyobrazić, co taki człowiek jak Arek mógł zaplanować, żeby nie tyle odzyskać dziewczynę, ile zemścić się na mnie. U takiego osobnika nie ma chyba nic gorszego jak urazić jego ego, które on utożsamia z honorem.

— Co tam jest napisane? — zapytałem.

— Koleżanka przysłała mi wiadomość, że Arek wystawił strażę na mostach w Tczewie i Kwidzynie — Magda czytała z ekranu telefonu. — Wzdłuż brzegów jeżdżą kumple Arka i pytają ludzi o nas. Arek wynajął motorówkę, żeby nas łatwiej dogonić na wodzie.

— Jest zawzięty — przyznałem.

— Rany, co my zrobimy?

— Zbieramy się — zdecydowałem. — Jeszcze tej nocy musimy dopłynąć jak najdalej na północ.

Dziesięć minut wystarczyło, by po naszym pobycie nie było najmniejszego śladu. Nawet Magda zaangażowała się w wiosłowanie. Nie była przyzwyczajona do takiego wysiłku i miała nierówne tempo. Po kwadransie machania wiosłem opadała z sił i odpoczywała pół godziny. Płynęliśmy w ciemnościach, ale wkrótce zacząłem dostrzegać na horyzoncie most w Kieźmarcu i światła aut na krajowej drodze numer siedem. Skierowałem „Okonka” ku zachodniemu brzegowi i uważnie przypatrywałem się, czy nie widać nigdzie ludzi, którzy obserwowaliby rzekę. Na

nasze szczęście zaczęło padać, najpierw tylko siąpiło, potem rozpoczęła się ulewa. Taka pogoda odstraszyłaby każdego stróża i chyba nikt nie podejrzewałby, że ktoś może w takim deszczu płynąć kajakiem.

Szybko przepłynęliśmy most i jeszcze godzinę wiosłowałem, aż miałem dość. Byłem zmęczony, przemoczony i wściekły na Magdę, przez którą znalazłem się w tej idiotycznej sytuacji. Wkrótce miało świtać. Wzrokiem odszukałem dobre miejsce na postój: niewielki koślawy pomościk i zbudowaną przy nim wiatę z ławką. Wylądowaliśmy na brzegu, wziąłem karimatę i worek z ubraniami. Matę rozłożyłem na ławce, założyłem ciepłą bluzę z kapturem i okryłem się pałatką. Magda nieruchomo siedziała w kajaku i przyglądała mi się. Jej włosy miodowego koloru pociemniały na deszczu i grubymi strąkami przykleiły się do jej twarzy.

— Na co pani czeka?! — krzyknąłem.

— Może ktoś mi pomoże wysiąść? Jestem cała mokra i skostniała z zimna. Wybiegłem na deszcz, pomogłem jej wysiąść, przejść pod wiatę, oddałem swoją bluzę i okryłem pałatką.

— Dziękuję — wyszeptła.

— Nie ma pani żadnego ciepłego ubrania? — dopytywałem się.

— Mam kurteczkę.

— Taką króciutką? — dłoń uniosłem na wysokość pępka.

— Tak i co z tego? — Magda zezłościła się.

— Nikt nie zabiera takich ubrań na biwak.

— Nie jechałam na biwak.

— To czemu z Arkiem wybraliście się na łono natury? Może pani opowie mi coś o sobie? Kim pani jest, czym pani się zajmuje? — wypytywałem wyjmując z worka wojskowe dreluchy.

— Jestem z Warszawy, skończyłam marketing i zarządzanie oraz pedagogikę — Magda założyła nogę na nogę. — Postanowiłam wyjechać na wakacje nad morze. Chciałam przy okazji poszukać jakiejś pracy w Trójmieście. Po drodze, w pociągu, poznałam Arka.

— Znać się tydzień, dwa?

— Od wczorajszego ranka.

— Znając kogoś kilka godzin dziewczyna jedzie z nim w odludne miejsce? — byłem zdumiony.

— Arek był bardzo miły.

Z niedowierzaniem kręciłem głową.

— Pan też jest miły, chociaż trochę dziwak — dodała po chwili.

— Dziękuję — ukloniłem się.

Poszedłem do kajaka i chciałem wyjąć torbę Magdy. Dopiero teraz zastanowiło mnie, czemu jest ona taka ciężka, skoro dziewczyna najwyraźniej nie miała w niej ani kurtki, ani pewnie innych butów niż letnie pantofelki. Chciałem zapytać, co Magda wzięła ze sobą, ale wtedy na boku bagażu ujrzałem charakterystyczny kształt spodu wielkiego żelazka. Westchnąłem i wyniosłem torbę do stóp jej właścicielki. Następnie wciągnąłem „Okonka” głębiej na brzeg, w krzaki. Usiadłem na ławce z opuszczoną głową mając nadzieję, że wkrótce przestanie padać.

Czułem ogromną senność. Najpierw oparłem się o jeden z czterech słupów podtrzymujących daszek, potem skuliłem się, żeby było mi cieplej, w końcu zasnąłem. Obudziłem się leżąc na ławce, okryty moją peleryną. Na niebie było widać tylko pojedyncze chmurki. Magda tym razem paradowała w obcisłej bluzeczce i opiętych spodenkach. Była zajęta przygotowywaniem kanapek. Ze zdumieniem zauważyłem, że miała świeże pomidory i ogórki, a do tego kawałki wędzonego węgorka.

— Sto metrów stąd jest gospodarstwo, gdzie to kupiłam — powiedziała. Odruchowo chwyciłem się za kieszeń, gdzie miałem portfel.

— Kupiłam za swoje — wyjaśniła dostrzegając mój gest.

— A pościg?
— Koleżanka przysłała mi SMS-a, że Arek szukając nas przewraca cały Malbork do góry nogami.
— Mam nadzieję, że zamek zostawi w spokoju, to zabytek wpisany na listę światowego dziedzictwa kulturowego — mówiłem idąc do rzeki, żeby obmyć twarz.
— Z tym przewracaniem to tylko taka przenośnia — Magda umieszczała listek pietruszki na plasterku pomidora.
— A ta koleżanka to kto?
— Poprzednia dziewczyna Arka. Mało z wrażenia nie wpadłem do wody.
— To pani jej wierzy? — nie dowierzałem.
— Tak, to spoko kumpela. Podobno od miesiąca kręciła z bratem Arka.
— I Arek nie pobił brata?
— Brat postawił Arkowi piwo i byli kwita.
— Tylko tyle warta była dziewczyna? Ciekawe, może Arek dałby nam spokój, gdybym za panią dał mu sznur paciorków?
— To trudno wytłumaczyć... — Magda układała kanapki na desce do krojenia, — Dla Arka najważniejsze są więzy krwi. Na drugim miejscu są kumple, a potem reszta... dziewczyny i tak dalej.
— Gotowa była pani wyjść za mąż za człowieka, u którego byłaby pani na trzecim miejscu?
— Jako jego żona byłabym jego rodziną, więc byłabym na pierwszym miejscu.
Postanowiłem nie kontynuować tej dyskusji, tylko skupić uwagę na kanapkach. Były pyszne, podobnie jak kawa. Od razu poczułem się lepiej. Po krótkiej sjeście rozebrałem się do kąpielówek i wskoczyłem do rzeki. Zimna woda sprawiła, że krew zaczęła we mnie szybciej krążyć. Zadowolony z kąpieli wygrzewałem się na słońcu.
— Kapitanie? — obejrzałem się słysząc za plecami głos Magdy. Stała i wpatrywała się we mnie.
— Skąd kapitan ma te blizny? — zapytała.
— Przez ludzi podobnych do Arka.
— Może będziemy mówili sobie po imieniu? — zaproponowała siadając obok mnie.
— To świetna myśl! — roześmiałem się. — Spędziliśmy razem więcej czasu niż ty z Arkiem.
— Czemu cały czas tak ze mnie kpisz?
— Nie kpię, a jeśli to tak ciebie uraża, to przepraszam. Miałem mało okazji w życiu spotkać taką dziewczynę jak ty i do tego razem płynąć kajakiem.
— Ty też jesteś dziwny.
— Czemu?
— A, tak! — wzruszyła ramionami. — Normalnie facet podrywa dziewczynę, opowiada dowcipy, chwali się, popisuje, a ty... — zastanawiała się chwilę — po prostu jesteś inny! Takich facetów już nie ma.
— Są, tylko nigdy na nich nie zwracałaś uwagi.
— Jesteś rzadkim diamentem — uśmiechnęła się.
— Dość pospolitym. Pozmywam naczynia, a ty jeszcze poopalaj się. Za godzinę ruszamy — zapowiedziałem.

Kucając nad brzegiem, myjąc kubki, sztućce, deskę do krojenia i menażkę myślałem o tym, jak pozbyć się towarzystwa Magdy. Była miłą dziewczyną, ale zupełnie nie pasowała do moich planów. Bałem się, że będzie mi tylko przeszkadzała. Tak, miałem urlop, ale postanowiłem spędzić go na Wyspie Sobieszewskiej. Miałem tam do wykonania zadanie. Miałem nadzieję, że Leśnik i Pirania wciąż czekali na przebudzenie się staruszka, którego porwali ludzie Sebediana. Wiedziałem, że Mel, Ed, Dutch i Olaf nie pojawią się w Polsce, bo baliby się, że ich rozpoznam. Byłem pewny, że to będzie ktoś, kto w radiogramie

wysłanym na wyspę podpisał się jako „M”. To on poznał treść notatek w butelce i miał przygotować skrytki do opróżnienia. Zastanawiało mnie, czy tylko tę na wyspie, czy tę w Gdańsku też?

— Czemu pozmywałeś naczynia? — Magda kucnęła obok mnie przerywając moje przemyślenia.

— Ty przygotowałaś śniadanie, więc ja zrobiłem porządek. To chyba uczciwy podział pracy?

— Nie uważasz, że kobieta powinna pół dnia spędzać na zajmowaniu się domem, gotowaniem, sprzątaniem, dziećmi?

— Nie. W każdym związku powinno wypracować się równowagę i sprawiedliwie podzielić się czasem, by każdy mógł nie tylko wykonać swoje obowiązki, ale realizować swoje inne plany.

— Jesteś świetnym materiałem na męża, a pozostajesz kawalerem. Dlaczego?

— Bo nigdy nie miałem czasu na romanse.

— A teraz?

— Ostatnie dni dały mi mocno w kość — szybko wstałem uciekając od wzroku Magdy.

Zająłem się pakowaniem obozowiska. Założyłem spodenki, koszulkę i wojskowy kapelusz. Pomogłem Magdzie włożyć jej bagaż do kajaka i usadowić się.

— Dokąd teraz popłyniemy? — zapytała, kiedy odbiliśmy od brzegu. — Przed nami jest chyba tylko morze.

— Dowiozę cię do Trójmiasta — zapowiedziałem. — Mało kto ma okazję przybyć do tego miasta kajakiem.

— Kiedy tam będziemy?

— Mam nadzieję, że jeszcze dziś wieczorem.

— Tak szybko chcesz się mnie pozbyć?

— Odnoszę wrażenie, że męczysz się z takim dziwadłem jak ja.

— Twój sarkazm może każdego wyprowadzić z równowagi — stwierdziła i zamilkła.

Uważnie wypatrywałem na zachodnim brzegu miejsca, gdzie zamierzałem skrócić. Moje obawy były niepotrzebne. Bez trudu zobaczyłem kanał prowadzący do śluzy w Przegalinie.

— Czemu płyniemy akurat tędy? — dopytywała się Magda.

— Na wprost nas znajduje się przekop, a my wpływamy w dawne koryto Wisły, zwane obecnie Martwą Wisłą. Dzięki przekopowi Wisła ma otwarte ujście do morza, a Gdańsk jest zabezpieczony od powodzi. Nie będziemy wypływać na Bałtyk, tylko możesz wysiąść już tu, gdzie jest pętla autobusowa i za pół godziny będziesz w centrum miasta, albo podwiozę cię tam rzeką.

— Wolalabym jeszcze popływać kajakiem — Magda powiedziała cicho. Wpłynęliśmy przez otwarte wrota do wnętrza śluzy. Za nami podążała duża łódź żaglowo-wiosłowa typu DZ o nazwie „Finwal”. Młodzieź właśnie szykowała się do chwycenia cum w śluzie, a sternik wyłączył ster. Podpłynąłem do przodu, by być jak najdalej od hałaśliwej załogi, jednak łódź podążała za nami. Zatrzymałem się przy północnym brzegu śluzy, a DZ stanęła za nami.

— Pracujcie cumami — usłyszałem rozkaz, a głos wydawał mi się znajomy. — Cześć, Paweł! — sternik łodzi zawołał mnie, nim zdążyłem się na niego obejrzeć.

Podniosłem wzrok do góry. Na brzegu kucał Rafał. To instruktor harcerski, który pomagał mnie i szefowi w poszukiwaniu relikwii krzyżowca w zamkach krzyżackich i skarbu ukrytego przez hitlerowskiego rabusia na Mierzei Wiślanej. Był wysokim, rosnącym, krótko ostrzyżonym brunetem o pogodnym wyrazie twarzy. Emanowały z niego ogromny spokój i poczucie humoru.

— To twoja żona? — zapytał wskazując na Magdę. — Wybraliście się w podróż poślubną?

— Przedślubną — Magda odezwała się przede mną. — Magda — przedstawiła się Rafałowi. — A Pawełek jak zwykle niemowa.

— Czasami potrafi się rozgadać — Rafał mrugnął do mnie dając znać, że Magda to ładna dziewczyna.

— Dawno się znacie? — dopytywał się.

— Dwa... — zacząłem.

— Miesiące — dokończyła Magda. — Poznaliśmy się na kongresie muzealników.

— Też pracujesz w muzeum? — Rafał zwrócił się do Magdy.

— Już samo przebywanie z Pawłem to jak obcowanie z pradawnymi kulturami — Magda żartowała ze mnie.

— Paweł, jakie masz plany na najbliższe dni? — zapytał Rafał.

— Płynę do Trójmiasta, muszę tam być jeszcze wieczorem.

— Wpadnij do mnie na Wyspę Sobieszewską — Rafał machnął ręką za siebie pokazując na łąd. — Otwieramy młodzieżowy ośrodek socjalizacyjny w „Forsterówce”, wiliu kiedyś zajmowanej przez Alberta Forstera. To miejsce powinno cię zainteresować. Możecie nawet zatrzymać się tam na kilka dni.

— To świetny pomysł, kochanie — Magda ucieszona odwróciła się do mnie. — Zostańmy tu na kilka dni. Proszę!

— Nie mam gdzie zostawić kajaka — broniłem się.

— Zostawisz u pana Klemensa. To stary rybak, który mieszka nad Martwą Wisłą w małej chatce. Ma niewielką przystań, gdzie zwykle zostawiam łódź. Przygotuję wam przytulny pokój na piętrze hitlerowskiej willi — Rafał szelmowsko uśmiechnął się.

— To naprawdę świetny pomysł — Magda również była uśmiechnięta.

— Dobrze — zgodziłem się.

Wrota służące od strony Martwej Wisły otworzyły się i mogliśmy wypłynąć. Łódź Rafała była napędzana silnikiem, więc rzuciliśmy mu cumę i na holu płynęliśmy spokojnym odcinkiem rzeki. Niestety, niebo znowu zasnuły deszczowe chmury i wkrótce, żeby nie przemoknąć, musieliśmy z Magdą okryć się pałatką. Wpłynęliśmy do zatoki osłoniętej od głównego biegu rzeki kępami drzew. Podopieczni Rafała pobiegli drogą przez wyspę. Rafał pokazał Magdzie, żeby schroniła się pod daszkiem koło niewielkiej szopki, do której pomogłem Rafałowi wnieść żagle i wiosła. Potem wspólnie wynieśliśmy nasze bagaże z kajaka i odwróciliśmy go do góry dnem, żeby nie nabierał wody. Rafał podbiegł do małego, otynkowanego na biało domku z czerwoną dachówką i chwilę rozmawiał z kimś stojącym na schodach.

— Pan Klemens będzie pilnował kajaka — zameldował Rafał. — Ma groźnego psa, który nie boi się żadnego złodzieja. Chodźcie do samochodu.

Tym autem okazał się stary, poczciwy GAZ, samochód terenowy produkcji radzieckiej, z charakterystyczną maską przypominającą wielki nos. Magda usiadła obok Rafała, a ja na pace, między bagażami.

Popędziliśmy drogą przez pola, prosto w kierunku lasów w północnej części Wyspy Sobieszewskiej. Dojechaliśmy do asfaltowej szosy i Rafał skręcił w lewo, potem w prawo, do lasu. Minęliśmy budynki wyglądające jak stare koszary i przejechaliśmy przez otwartą bramę pod górę pod drewniane zabudowania. Wysiedliśmy, a las wokół nas oszałamiająco pachniał świeżością po deszczu. Wyczuwałem delikatne powiewy morskiej bryzy. Krople na liściach buków, brzoź i dębów lśniły w słońcu. Znajdowaliśmy się na długim garbie, równoległym do leżącej kilkanaście metrów niżej głównej szosy Wyspy Sobieszewskiej.

— Witaj na Wyspie Skarbów — Rafał ukłonił się.

— Czemu to jest Wyspa Skarbów? — zapytała Magda.

— Porozmawiamy o tym wieczorem, przy kolacji — odparł gospodarz. — Na razie pokażę wam wasz pokój.

— Dotąd jak wróbelki wiliśmy gniazdko w krzakach — rzuciłem, na co Magda zareagowała wściekłym spojrzeniem.

Rafał wprowadził nas do przeszklonego łącznika między dwoma budynkami z

drewna. Jeden z nich był willą, w drugim na parterze znajdowała się duża sala, która chyba przez lata pełniła funkcję baru czy kawiarni. Przeszliśmy przez kuchnię do sieni, a z niej po schodach na piętro. Było tam pięć pokoi, ale tylko w jednym stały wersalka, stół z dwoma krzesłami, szafa i szafki nocne.

— Będziecie tu mieli święty spokój — Rafał mrugnął znacząco.

— To jest ta sławna „Forsterówka”? — upewniałem się.

— Tak, ale spokojnie, rozgośćcie się, a o wszystkim opowiem wam wieczorem — Rafał skinął nam głową i zbiegł po schodach.

— Podróż przedślubna?! — zapytałem Magdę z wyrzutem.

— A chciałeś wszystko mu opowiedzieć?

— Tak!

— W jakim świetle byś mnie ukazał? Wysłałbym na nie wiadomo kogo. Jesteś dżentelmenem, więc nic mi nie grozi, a do tego będziesz bronił mojej czci. Dobrze mi z tobą. Nigdy wcześniej z nikim tak nie pływałam kajakiem, nie widziałam takich miejsc, nie nocowałam gdzieś w głuszy...

— Aż Arkiem? — nie mogłem się powstrzymać.

— To nie fair, że mi to wypominasz! To źle, że chciałam zostać z tobą jeszcze kilka dni? Tak, bo naruszyłam strefę intymności i samotności wokół ciebie, której nikt nie miał prawa przekraczać! Z nikim, z żadnym facetem, nigdy wcześniej nie było mi tak fajnie jak z tobą. Chcesz, to będę gotowała i zmywała naczynia. Nie kupię niczego, czego nie wymienisz w liście zakupów. Będę płaciła za siebie. Daj mi tylko tak pożyć jak ty.

— Jak będziemy spali? — wskazałem na wersalkę.

— Razem — Magda rzuciła się na łóżko, założyła nogę na nogę i z kokieteryjnym uśmiechem poprawiała sobie włosy.

— Dobrze, chcę przynajmniej jedną noc spędzić spokojnie *i* nie na ziemi lub ławce — stwierdziłem.

Najpierw Magda, potem ja poszliśmy kąpać się w łazience, która była w pomieszczeniu obok. Potem rozwiesiliśmy mokre *rzeczy* na sznurach w pozostałych pokojach. Właśnie wieszalem spodnie, a Magda przygotowywała pościel, kiedy przyszedł do nas Rafał.

— Jak dwa gołąbki — uśmiechnął się. — Zapraszam was na kolację. Zeszliśmy za nim do drugiego budynku, gdzie stał długi stół.

— Za pół godziny przyjdą moi podopieczni, to jeszcze teraz opowiem wam historię tego miejsca — Rafał wskazał nam krzesła obok siebie.

Z ogromnym zainteresowaniem słuchałem tej opowieści, bo ściśle wiązała się ona z celem mojej podróży. Działkę pod budowę dworku myśliwskiego w Wordell, obecnie Orliki, na wschód od Sobieszewa, przekazano Albertowi Forsterowi zimą 1932 roku. Budowę rezydencji rozpoczęto wiosną 1933 roku. Nie wiadomo, kto był autorem projektu, ale być może był to ten sam architekt, który zaprojektował kwaterę Adolfa Hitlera w Obersalzbergu.

Partyjni koledzy z NSDAP w Senacie Wolnego Miasta Gdańska przekazali Forsterowi dworek w uznaniu jego zasług w zdobyciu władzy w mieście. Uczynili to 26 lipca 1933 roku, z okazji trzydziestych pierwszych urodzin gauleitera. Albert Forster z wielką pasją oddawał się łowiectwu. Posiadał okazałą kolekcję broni, myśliwskiej i trofeów łowieckich. Od tej pory rezydencja pełniła funkcję także głównego miejsca poufnych spotkań i narad wysokich funkcjonariuszy NSDAP i SS z terenu Wolnego Miasta Gdańska. Willa pełniła również funkcję tajnego magazynu broni, zwłaszcza maszynowej, przemycanej na teren Wolnego Miasta Gdańska barkami, w celu uzbrojenia szkolonych potajemnie członków SA i SS. Broń przechowywano w piwnicy „For-sterówki” oraz w wybudowanych w późniejszym okresie barakach magazynowych na terenie ośrodka „rekreacyjnego” NSDAP. Tu w czerwcu 1939 roku w obecności Himmlera przygotowywano szczegóły operacji „Tannenberg”, czyli listy przewidzianych do aresztowania i likwidacji Polaków z terenu Wolnego Miasta Gdańska i Pomorza

(„Sonderfahndungsbuch Polen”). Tutaj w lipcu 1939 roku wybrano lokalizację przyszłego obozu koncentracyjnego w Stutthof (Sztutowie). W trakcie jednej z poufnych wizyt Reichsführera SS, Forster otrzymał szpadę honorową z napisami: „Mój honor to wierność” oraz „Mojemu kochanemu Albertowi Forsterowi. H. Himmler wódz SS na Rzeszę"! To świadczyło o wyjątkowej pozycji Forstera w strukturach SS i zaufaniu, jakim darzyli go najwyżsi dygnitarze Trzeciej Rzeszy.

Latem 1939 roku na polowej strzelnicy ośrodka prowadzono szkolenie specjalne dla wydzielonych grup SS w zakresie przygotowania i prowadzenia masowych egzekucji leśnych. Uczestnicy tych „zajęć” dokonywali potem egzekucji w lasach okolic Szpęgawska koło Starogardu Gdańskiego oraz Piaśnicy koło Wejherowa, gdzie wymordowali kilkanaście tysięcy Polaków. W sąsiedztwie rezydencji gauleitera od 1935 roku rozbudowywano ośrodek rekrutacyjno-szkoleniowy NSDAP. Tak powstały budynek koszarowy oraz dom dla oficerów-instruktorów wojskowych. Tu w latach 1936—1939 prowadzono intensywne szkolenie formacji SA i SS. Teren był w tym okresie otoczony płotem z drutu kolczastego oraz silnie strzeżony. Zlokalizowano tu również jedną z nowo tworzonych jednostek wartowniczych gdańskiej SS-Heimweh-ry, z której rekrutowano następnie załogę wartowniczą obozu koncentracyjnego w Stutthof (Sztutowo).

W czasie wojny, od kiedy rozpoczęła się ofensywa Wehrmachtu na Wschód, teren „Forsterówki” był ośrodkiem rekonwalescencyjnym dla weteranów. Od listopada 1944 do stycznia 1945 roku zwożono tu również zagrożone nalotami dzieła sztuki i archiwa partyjne NSDAP z terenu Gdańska. Miał być także punktem tranzytowym dla wywożonych z Gdańska w początku marca 1945 roku, cenniejszych dokumentów urzędów niemieckich i części depozytów muzealnych. Składnicę tranzytową w „Forsterówce” zlikwidowano i depozyty muzealne przewieziono ciężarówkami do pobliskiego portu w Swib-nie, skąd barkami i kutrami ewakuowano je wraz z ludnością na Hel i dalej statkami na Zachód.

Pod koniec działań wojennych, na początku kwietnia 1945 roku, na terenie rezydencji Forstera rozlokował się sztab 4. Dywizji Pancerniej generała Betzela. Poległego w walce generała pochowano w pobliżu domku myśliwskiego Forstera. Obok zlokalizowano masową mogiłę ponad dwustu osób. W grobie pochowano SS-manów, grenadierów pancernych i funkcjonariuszy policji gdańskiej. Większość czaszek w mogile posiadała ślady strzałów w potylicę. Historycy snują domysły na temat akcji „komisji weryfikacyjnej” Armii Czerwonej, której jeden ze sztabów jednostki specjalnej kwaterował po zajęciu terenu właśnie w „Forsterówce”. Obiekt służył wojskowej ekipie tropiącej ukryte dzieła sztuki i... członków załogi KL Stutthoff.

Po wojnie dawny ośrodek szkoleniowo-rekrutacyjny NSDAP pełnił początkowo funkcję rządowego ośrodka wypoczynkowego PZPR, a następnie ośrodka Funduszu Wczasów Pracowniczych. Obecnie, staraniem Rafała, społecznego opiekuna zabytków, przeszedł on w ręce jednostki zajmującej się socjalizacją dzieci z rodzin, w których rodzice nie dawali sobie rady z wychowaniem potomstwa.

Wiedziałem, że to miejsce będzie doskonałe do obserwacji, czy nie zjawi się tu wysłannik Sebediana. Mogłem tu siedzieć i czekać, ile tylko chciałem. Zastanawiało mnie, czy powinienem jednak to robić. Może lepszym rozwiązaniem byłoby wprowadzenie we wszystko Rafała i znalezienie sobie innej kryjówki? A co powinienem być zrobić z Magdą?

— Widzisz, kochanie, jako muzealnik będziesz tu mógł poszukać zaginionych dzieł sztuki, a ja ci w tym pomogę — Magda objęła moje ramię i przytuliła swoją głowę do mojej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

PODOPIECZNI RAFAŁA • NOCNY GOŚĆ • POSZUKIWANIA W

PIWNICY • PIĘKNA DZIENNIKARKA • WYSPA SKARBÓW • MARTWA WISŁA I ŚMIAŁA WISŁA

Po tej deklaracji Magdy poczułem się nieswojo. Po spojrzeniu Rafała poznałem, że z trudem powstrzymywał się od uśmiechu.

— Aż miło popatrzeć na tak kochającą się parę — powiedział po chwili. Na moje szczęście do jadalni zeszli z piętra nad jadalnią podopieczni Rafała. Było ich siedmioro, czterech chłopców i trzy dziewczyny. Rafał krótko nam ich przedstawił. Tomek był najstarszy, wysoki i miał długie, spięte w kucyk czarne włosy. Damian, postawny blondyn, miał twarz, na której malowało się to, że kawał z niego łobuza. Kacper, szczuplutki, raczej mizerny, z ogromnymi piegami wyglądał na osobnika refleksyjnego, co podkreślała książka trzymana przez niego pod pachą. Olek był uosobieniem beznamietności. Ze znudzoną miną zasiadł do stołu, nie uczestniczył w dyskusji, jakby nic go nie interesowało. Za to dziewczyny stanowiły przeciwieństwo Olka. Zauważyłem, że Wiktoria kompleks związany ze swoją tuszą rekompensowała ogromną ruchliwością. Paulina sprawiała wrażenie sportsmenki, co podkreślała jej sylwetka bardzo przypominająca mi pewną koleżankę z podstawówki, która uczyła się w klasie pływackiej. Klaudia, mimo że była na obozie, ubrała się najbardziej elegancko jak tylko potrafiła; przynajmniej wtedy tak uważałem, bo w ciągu kolejnych dni przekonałem się, iż ona zawsze tak się ubiera.

Wiedziałem, że Rafał zajmuje się młodzieżą z rodzin, w których rodzice z różnych powodów nie dawali sobie rady z wychowaniem dzieci. On zamiast pozbawionego sensu stania pod blokiem, spacerów po galeriach handlowych czy szukania rozróby, proponował nastolatkom zajęcia, które pokazywały świat, jakiego dotąd nie znali. Jako fascynat żeglarstwa, nurkowania, historii potrafił zabrać ich na rejs, pokazać miejsca związane z ciekawymi wydarzeniami z przeszłości. Nie zajmował się przy tym nachalną pedagogizacją, tłumaczeniem, że coś jest złe po prostu pokazywał im alternatywę. Młodzi ludzie sami mogli wybrać to, co ich interesuje.

Kolacja była dobrym czasem, żeby rozliczyć ich z zadań.

— Tomek, jak postępuje sprzątanie pokojów? — zapytał Rafał.

— Jakoś nam idzie odpowiedział młodzieniec. Wynieśliśmy śmieci i gruz z połowy parteru. Po kolacji popracujemy jeszcze godzinę. Potem obejrzymy mecz i idziemy spać.

— Bardzo dobrze — Rafał pochwalił chłopców. — Pięćdziesiąt metrów od „Forsterówki” jest budynek hotelowy wybudowany w latach sześćdziesiątych na potrzeby przebywających tu wczasowiczów. Wystarczyło kilka lat, by zaczął przypominać budowlę w stanie surowym zamkniętym. Wykładziny trzeba wyrzucić, a farba odpada wielkimi płatami. Chcemy tu zrobić ośrodek so-cjalizacyjny, ale trzeba najpierw przygotować teren pod remont. Łączymy tu wypoczynek i pracę. Dziewczyny, jak wam idzie szycie kostiumów?

— Uszyliśmy już połowę — odezwała się Wiktoria. — Za dwa dni wszystko będzie gotowe, ale powinniśmy więcej czasu poświęcić na próby.

— Szykujemy przedstawienie kabaretowe, takie z zacięciem poetyckim — Rafał uśmiechnął się. — Kiedy tu się sprowadziliśmy, mieszkańcy Wyspy Sobieszewskiej myśleli, że to kolonia karna dla młodocianych przestępców. Musimy ludzi wyprowadzić z błędu. Dlatego przygotowujemy małe przedstawienie.

— Świetny pomysł — przyznała Magda. — Mogę dziewczynom pomóc w szyciu? Kiedyś szyłam sukienki sobie i koleżankom.

— Przyda się każda para rąk — Wiktoria pokiwała głową. — Niech pani jutro rano przyjdzie do naszego pokoju.

— Pawełku — Magda spojrzała na mnie — jutro masz wolne ode mnie.

— Cudownie — uśmiechnąłem się.

— Jutro wszyscy będą mieli zajęcie, więc my się zajmiemy naszymi historycznymi sprawami — zapowiedział Rafał.

— Dobrze — pokiwałem głową.

Pewnie znacie to uczucie bezradności, kiedy wszyscy wokół was organizują wam czas, mówią, co powinniście zrobić w danym momencie, ten niemy nacisk otoczenia, który jak okowami ściska was. To trochę jak złota klatka, w której egzotyczny ptak może jedynie poskakać z jednego patyczka na drugi. W takich chwilach dyskretnie biorę głębokie oddechy i staram się dostrzec coś, co w mojej sytuacji mogłoby mnie rozbawić. Teraz jednak miałem jedynie ochotę na sen.

—Cały dzień wioślowałem i jestem już trochę zmęczony — tłumaczyłem się wstając od stołu.

Wyszedłem z jadalni i udałem się do głównego budynku. Przeszedłem przez kuchnię, na korytarzu w lewo i przed drzwiami wejściowymi na schody. Nasz pokój znajdował się od razu obok schodów, po prawej stronie. Szybko przebrałem się w pidżamę i schowałem się do śpiwora. Byłem wściekły sam na siebie, bo wszystko szło nie tak jak planowałem. Chciałem na Wyspie Sobieszewskiej wmieszać się w tłum turystów, a tu przedziwnym trafem zanocowałem w samym środku wyspy, w punkcie, który zainteresuje wszystkich potencjalnych poszukiwaczy skrytki. Do tego miałem ze sobą kłopotliwy balast, gadatliwą Magdę, która wymyśliła tę bzdurę z naszym narzeczeństwem. Jak ja miałem teraz to wytłumaczyć Rafałowi? Mogłem jedynie trwać w kłamstwie. Na schodach usłyszałem kroki Magdy.

— Powinieneś chyba sprawdzić, czy wszystkie drzwi i okiennice są zamknięte — powiedziała wchodząc do pokoju. — Nie będę czuła się zbyt dobrze nie mając pewności, że jesteśmy tu bezpieczni.

Kładąc się postanowiłem sobie, że do rana nie będę się do niej odzywał. Jednak nie wytrzymałem.

— Koleżanka nie donosi ci o postępach w poszukiwaniach prowadzonych przez Arka Rozdarte Serce? — podniosłem się na łokciach.

— Jakoś milczy — przyznała Magda. Odwrócona do mnie plecami zdejmowała bluzkę. — Może sprawdzisz te drzwi?

Zrozumiałem, że chce, żebym wyszedł, a ona w tym czasie spokojnie przebierze się do snu. Wziąłem latarkę i ruszyłem na obchód. Starannie sprawdziłem wszystkie pomieszczenia na parterze. Na lewo od wejścia do domku była duża sala, o powierzchni około sześćdziesięciu metrów kwadratowych, która jak wiedziałem od Rafała nazywała się „Komnatą Gotów”. Tu były ogromny kominek, ciemne, dębowe boazerie i stylizowane swastyki na belkach stropowych, z których zwisały wielkie lampy z kloszami przypominającymi latarnie uliczne.

Wróciłem do pokoju, gdzie Magda ubrana w krótką, półprzeźroczystą koszulkę nocną siedziała na brzegu łóżka i była zajęta smarowaniem kremem swoich nagich ramion.

— Dziwi cię, że się kremuję? — zapytała.

— Dziwi mnie twój strój — odpowiedziałem. — To chyba nie najlepszy strój, żeby spędzać noc z obcym mężczyzną w pustym domu?

— Czemu? — zalotnie się uśmiechnęła.

Nic nie odpowiedziałem, tylko wśliznąłem się do śpiwora i odwróciłem do niej plecami.

— Czy to cię krępuje? — zaglądała przez moje ramię i jej twarz była tak blisko mojej, że jej włosy łaskotały mnie w nos i czułem zmieszany zapach jej perfum i kremu. — Może zaraz powiesz coś o przyzwoitości?

— Nie powiem — burknąłem. — Przy Arku też byś założyła taki strój?

— To nie fair! — rzuciła. — Nie rozumiesz, że po prostu mam do ciebie zaufanie? Jest mi z tobą dobrze, czuję się przy tobie swobodnie. To coś złego?

— Ciekawe, czym sobie na to zasłużyłem?

— Aha! Szanowny pan życzy sobie, żeby mu prawić komplementy, łechtać jego

męskie ego? Nigdy w życiu! Jeszcze raz wspomnisz o Arku i pójde sobie.

Ugryzłem się w język, żeby jak papuga kilka razy nie powtórzyć „Arek!”.

— Dobranoc! — powiedziałem już spokojniejszym głosem.

— Dobranoc! — na policzku poczułem muśnięcie jej ust.

Jak nastolatek po pierwszej randce długo nie mogłem zasnąć, wciąż czując wspomnienie tego jej gestu. Ona trochę pokręciła się. Kilka razy westchnęła, jakby chciała mnie zachęcić do pytania, co ją dręczy, ale ja nie dałem się sprowokować do rozmowy i w końcu doszedł mnie jej równy oddech. Zmęczenie było silniejsze niż emocje i też ogarnął mnie sen. Wydawało mi się, że tylko na kilka sekund zamknąłem oczy, kiedy poczułem na sobie ręce Magdy. Natychmiast ocknąłem się.

— Paweł, obudź się — przytulona szeptała mi do ucha. — Ktoś jest na dole. Za oknem świstał wiatr, a gałęzie sosen szorowały po dachu. Przez okno widziałem na tle rozgwieżdżonego nieba, jak wierzchołki drzew kiwiają się na boki. Nagle z dołu dobiegł mnie głuchy odgłos uderzenia. Rozsunąłem zamek spiwora, ostrożnie wystawiłem nogi na podłogę, żeby nie zaskrzypiała stara wersalka. Założyłem buty i powoli, po omacku, z latarką w dłoni schodziłem na dół po schodach. Kiedy znalazłem się w sieni, poczułem chłodny powiew od strony „Komnaty Gotów”. Zajrzałem tam i w rogu, na prawo od kominka zauważyłem wąską, jaśniejszą szparę wokół drzwi wychodzących na południe. Wieczorem sprawdzałem je i wiedziałem, że były zamknięte.

Minąłem znajdujące się po lewej stronie drzwi do gabinetu gauleitera i przeszedłem do wąskiego korytarzyka, gdzie było drugie wejście do gabinetu, do kuchni, łazienki i pokoju, który pewnie przed wojną był pomieszczeniem gospodarczym służby. Postanowiłem wejść właśnie tam i zacząć sprawdzanie parteru od północnej części budynku. Kiedy przekroczyłem próg, zaskrzypiała deska podłogi i jednocześnie rozległ się stuk. Zapaliłem latarkę, żeby sprawdzić, czy nie tu znajduje się źródło hałasu. Pokój był pusty. Obróciłem się i właśnie wtedy na korytarzu zaczęła krzyczeć Magda. Była przerażona. Podbiegłem do niej. Leżała w sieni na podłodze, cała dygocząca. Z „Komnaty Gotów” dobiegł mnie tylko trzask drzwi. Nie było sensu po ciemku gonić włamywacza. Uklęknąłem przy Magdzie.

— Już dobrze, jestem przy tobie — objąłem ją i pocieszałem. Natychmiast poczułem mokrą, powiększającą się plamę na ramieniu. — Co się stało? — dopytywałem się.

— Szłam tu po ciemku — Magda głośno pociągała nosem. — Widziałam, że jesteś tam na końcu, bo zaświeciłeś latarkę i wtedy z boku wyskoczył ktoś, wpadł na mnie, przewrócił mnie i uciekł.

— Jak on wyglądał?

— Jak bandzior, ubrany na czarno.

— Skąd on wybiegł? — zainteresowałem się.

— Stąd — Magda wskazała na uchylone drzwi. Nie zwróciłem na nie wcześniej uwagi. Były bardzo wąskie i niebieska tabliczka na nich informowała, że to wejście do piwnicy.

— Pójde tam i sprawdzę, czego on tam szukał — powiedziałem wstając.

Magda nie puściła mojego ramienia i ucepiona mnie maszerowała za mną krok w krok. Powoli weszliśmy na betonowe schody, które zakręcały w lewo. Były tu dwa duże pomieszczenia. W jednym pewnie dawniej znajdowała się kotłownia, o czym świadczyły resztki rur i innych instalacji. Świeciłem po ścianach i zauważyłem, że nocny gość po prostu opukiwał ściany.

— Ktoś tu szukał zamurowanych nisz albo pomieszczeń — stwierdziłem, Nie powiedziałem głośno tego, co bardziej mnie intrygowało: czemu stosował taką prymitywną metodę? Przecież moi przeciwnicy z pewnością mieli dostęp do planów „Forsterówki”, więc jeśli kryła się tu jakaś tajemnica, to wiedzieli, gdzie jej szukać. Nie sądziłem także, by wejście do skrytek ze skarbami znajdowało się właśnie tu. Niestety, nie znałem treści tego, co znajdowało się w butelce ukrytej w

sejfie na statku „Goya”.

— Idźmy spać — zdecydowałem.

Poszliśmy jeszcze do „Komnaty Gotów”, gdzie zamknąłem drzwi. Włamywacz nie uszkodził zamka. Na górze musiałem, na wyraźną prośbę Magdy, zabarykadować nas blokując wejście szafkami. Do tego, kiedy już opadłem na wersalkę, Magda przytuliła się do mnie i zasnęła z głową na moim ramieniu. Zasnęliśmy myśląc tylko o tym, że jednak na wyspie pojawił się wysłannik Sebediana. Bałem się tylko, żeby nie byli to Mel lub Ed, którzy byliby zdolni do najgorszego.

Obudziły mnie dwa odgłosy, prysznic w łazience za ścianą i Rafał rozmawiający z kimś na dole, pod naszym oknem. Przyjaciel właśnie tłumaczył komuś historię budowy domku. Zerwałem się z wersalki, żeby zobaczyć, kto to jest.

— Pokażę pani tylko parter, bo na górze śpi mój przyjaciel z narzeczoną i sama pani rozumie... — na swoje szczęście nie dosłyszałem, co jeszcze chciał opowiedzieć.

Na palcach podbiegłem do drzwi, by przynajmniej wyjść na korytarz i posłuchać, co Rafał będzie mówił. W progu spotkałem się z Magdą, zawiniętą tylko w ręcznik.

— Przepraszam! — szepnąłem prześlizgując się obok niej. Ułożyłem się na podłodze za balustradą schodów i nasłuchiwałem, jak Rafał przekręca klucz w zamku, wpuszcza swojego gościa do środka i oprowadza po parterze. Powtarzał te same informacje, które mówił wczoraj i nam, kiedy prowadził nas na górę.

— Później pokażę pani schron przeciwlotniczy Forstera — zapowiadał kolega. — Paweł! Wstaliście?! — zawołał stojąc u dołu schodów. Milczałem, ale Magda w tym swoim ręczniku wybiegła na schody.

— Ja już wstałam, ale Paweł śpi — udawała, że nie widzi mnie rozplaszczonego na podłodze nie dalej jak metr od niej. — Coś się stało?

— Jest już jedenasta, to myślałem, że moglibyśmy z Pawłem ruszyć na obchód po włościach — odpowiedział Rafał. — Dziewczyny też czekają na ciebie — Rafał wyszedł z domku.

Nie miałem zegarka, ale wiadomość jak jest późno zelektryzowała mnie.

— Przez te nocne harce straciłem pół dnia — denerwowałem się biegnąc do pokoju.

W pośpiechu ubierałem się, a Magda oparta o framugę przyglądała mi się z pobłażliwym uśmiechem.

— Co cię tak śmieszy? — zapytałem.

— To, że wszyscy faceci są tacy sami. Jak tylko wyczują ładną kobietę, to od razu szaleją, puszą się, popisują, ale przede wszystkim muszą ją dokładnie obejrzeć.

— Jaki to ma związek z moją osobą?

— Rafał oprowadzał bardzo ładną brunetkę. Taki hiszpański typ urody.

— Ubierz się i przyłącz do nas — poprosiłem.

— Kochanie! — Magda ręką zagroziła mi drzwiami. — Narzeczeni, wiecznie gruchające gołąbki, nie rozstają się ani na moment. Chcesz, żeby Rafał nabrał podejrzeń? A może chcesz już czarować tę czarnulkę?

W teatralnym geście wzniosłem ręce do góry. Usiadłem na koślawym, rozpadającym się fotelu w holu na piętrze. Bębniąc palcami w drewnianą poręcz czekałem. Musiałem też doradzać, jak Magda ma się ubrać. Wreszcie, po dziesięciu minutach była gotowa do wyjścia. Dostojnie schodziła na parter i wzięła mnie pod rękę, kiedy wchodziliśmy do jadalni. Przy stole siedzieli Rafał i ta tajemnicza brunetka, która była totalnym przeciwieństwem Magdy. Wysoka, smukła, była ubrana w wygodne turystyczne buty sięgające do połowy łydki. Wpuściła w nie spodnie koloru khaki wzorowane na wojskowych, ale uszyte tak, by odpowiednio też podkreślać figurę kobiety. Na bawełnianą koszulkę zarzuciła bluzę z pustynnym kamuflażem. Na krześle leżała czapka z daszkiem z emblematem amerykańskiego korpusu marines, a obok wisiał plecak. Ciemne, aż błyszczące na granatowo włosy upięła w kucyk. Mogła mieć około trzydziestu lat. Jej twarz

przypominała mi kogoś, kogo widziałem w jakiejś gazecie lub telewizji. Rzeczywiście prezentowała śródziemnomorski typ urody, a jej brązowe oczy mogłyby chyba wywołać dreszcz u każdego mężczyzny. Oboje wstali, kiedy tylko weszliśmy. Dokonaliśmy wzajemnej

prezentacji.

— Margerita Parmeni — powiedziała brunetka, kiedy podaliśmy sobie dłonie.

— Margerita pracuje dla amerykańskiego miesięcznika dla eksploratorów — dodał Rafał. — Przyjechała do Polski, żeby zebrać wiadomości o naszych skarbach.

— To nie do końca tak — mówiła po angielsku bardzo miękko, chyba była rodowitą Włoszką. — Specjalizuję się w poszukiwaniach podwodnych, głównie na wrakach statków pirackich. Przyjechałam na wybrzeże waszego morza, bo czytałam, że przy polskim brzegu w czasie ostatniej wojny zatoniły statki, którymi mogły być przewożone zrabowane przez nazistów skarby. Przy okazji dowiedziałam się o „Forsterówce”, która jak mi Rafał opowiadał była punktem tranzytowym dla tych skarbów. A wy tu wypoczywacie?

— Z narzeczoną przyjechaliśmy na urlop i korzystamy z gościnności Rafała.

Ubodło mnie, kiedy zobaczyłem, że w oczach Margarity gwałtownie traciłem na ważności w chwili, kiedy powiedziałem o Magdzie „narieczona”.

— Interesujesz się poszukiwaniami skarbów? Rafał już nabierał powietrza, żeby opowiedzieć o moich sukcesach, ale ubiegłem go.

— Amatorsko — uśmiechnąłem się. — W Polsce wszelkie znaleziska należą do skarbu państwa, przynajmniej oficjalnie — znacząco zmrużyłem oko.

— Tak — śmiech Margerity brzmiał jak trel kanarka, a błysk w jej oku pewnie niejednego mężczyznę przyprawiał już o obłęd.

— Zjedzcie coś — Rafał wskazał nam miejsca przy stole. Jedliśmy, Margerita piła kawę i słuchała opowieści Rafała. Magda nie odrywała wzroku od dziennikarki i zdawała się rejestrować każdy jej gest.

— Paweł, to co robimy? — zagadnął Rafał widząc, że skończyliśmy posiłek.

— Magda pomoże twoim dziewczynom w szyciu, a my możemy pojechać na objazd Wyspy Skarbów — odpowiedziałem.

Magda podziękowała nam za towarzystwo i nie obdarzając mnie nawet jednym spojrzeniem, odeszła na piętro nad jadalnię. My wyszliśmy przez drzwi szeroko otwarte, dwuskrzydłowe, przeszklone od połowy wysokości. Od razu poczułem, że ten dzień będzie upalny.

— Wydam dyspozycje chłopakom i zaraz do was wracam — powiedział Rafał i pobiegł do dwupiętrowego, otynkowanego na szaro pawilonu. Chwilę trwało kłopotliwe milczenie.

— Czemu powiedziałeś o Wyspie Skarbów? — zapytała Margerita.

— Wiosną 1945 roku na wyspie znajdowali się cywile i żołnierze uciekający przed Armią Czerwoną — opowiadałem. — Tereny na południe od wyspy były zalane po tym, jak niemieccy saperzy wysadzili w powietrze tamy na Żuławach Wiślanych. Z Wyspy Sobieszewskiej do ostatnich dni wojny starano się ewakuować jak najwięcej ludzi na Hel, a stamtąd do Niemiec.

— A Rosjanie nie próbowali zdobyć wyspy?

— Byli zajęci walkami na Mierzei Wiślanej, a na samą wyspę nie mieli jak się dostać, a bardziej chyba chodziło o to, że taki szturm kosztowałby życie zbyt wielu żołnierzy, wtedy potrzebnych do likwidacji obrony Berlina i kotłów wojsk niemieckich przebijających się do stolicy lub do Amerykanów. Po zakończeniu wojny Rosjanie urządzili jeden punkt filtracyjny w Przegalinie, tam gdzie jest śluza. Tamtędy musiało przejść trzydzieści tysięcy cywilów i żołnierzy, których nie udało się ewakuować. Tam Rosjanie rabowali wszystkie kosztowności. Kiedy tylko wieść o tym rozeszła się wśród ludzi na wyspie, ci zaczęli zakopywać swoje skarby w różnych miejscach wyspy. Rosjanie przekazali wyspę polskiej administracji

dopiero kilka lat po wojnie, a przybyli tu ludzie nawet kilkadziesiąt lat po wojnie odnajdywali ukryte drogocenne przedmioty. Mówi się, że niejedna mała miejscowa fortuna powstała właśnie z tego złota.

Nadbiegł do nas Rafał.

— Wsiadajmy do wozu i jedźmy na objazd wyspy — Rafał gestem zachęcał nas, byśmy zajęli miejsca w jego terenówce.

Margerita usiadła obok Rafała, a ja z tym, na bocznej ławce. Wyjechaliśmy z terenu ośrodka, skręciliśmy w prawo i jechaliśmy ulicą Turystyczną, główną arterią komunikacyjną Wyspy Sobieszewskiej. Kiedy wjechaliśmy do Sobieszewa, znowu skręciliśmy w prawo, w kierunku morza i dojechaliśmy do parkingu. Dopiero teraz, widząc tłumy turystów, wiele samochodów osobowych z różnych części Polski, uświadomiłem sobie, że przecież trwa sezon turystyczny, a wśród ludzi udających zwykłych plażowiczów może ukrywać się wysłannik Sebediana. Z drugiej strony rozmieszyła mnie wizja Eda i Mela leżących beczynn timer na piasku, wpatrujących się w Bałtyk lub zgrabne Polki. Rafał zaprowadził nas na plażę, a po drodze mijaliśmy liczne budki stylizowane na drewniane chaty rybackie, w których można było kupić smażone lub grillowane ryby. Na plaży usiedliśmy u stóp wydmy.

— Muszę wam najpierw coś opowiedzieć o historii wyspy — Rafał, kiedy zaczynał coś opowiadać, zawsze intensywnie wpatrywał się w słuchacza i zmieniał głos na niższy, bardziej tajemniczy. — Nie byłoby Wyspy Sobieszewskiej, gdyby nie Wisła, która dawniej płynęła tylko korytem obecnej Martwej Wisły do ujścia Westerplatte. Archeolodzy w czasie nielicznych wykopalisk odkryli, że tereny te były zamieszkiwane sezonowo. Najstarsze zabytki pochodziły z neolitu, czyli sprzed około dwóch tysięcy lat przed naszą erą. Trzeba pamiętać, że wtedy wyspa była bagnistą mierzeją z moczarami, piaszczystymi wydmyami wzdłuż brzegu morskiego, często zalewaną wodami Wisły. W XIV i XV wieku w rejonie dzisiejszego Sobieszewa i Górek Wschodnich powstało wiele karczem uposażanych w ziemię. Karczmy te leżały przy ważnym trakcie łączącym Gdańsk z Królewcem. W 1454 roku nazywano je „Kre-czem Newefehre” i „Kreczem Boemsagk”. Na mapach z XVI i XVII wieku zaznaczono „stary wał wiślany”. Przecinał on w poprzek dzisiejszą wyspę.

Do drugiego rozbioru Polski w 1793 roku do Gdańska należały Wielkie Żuławy, Mierzeja Wiślana, wioski, lasy i jeziora zlokalizowane na tym obszarze. Po tym roku przeszły pod władanie Prus. W okresie wojen napoleońskich Gdańsk stał się wolnym miastem, formalnie i prawnie powiązany z Konfederacją Reńską. Teren obecnej wyspy był wówczas włączony w obręb Gdańska.

— Teraz powiem, jak dawna mierzeja stała się wyspą — Rafał mówił bardziej o Margerity, którą chyba nużyły opowieści o tak dalekiej przeszłości. W latach czterdziestych XIX wieku Wisła wtargnęła na mierzeję, przerwała ją i utworzyła sobie nowe ujście. Tak powstał odcinek Śmiałej Wisły, która podzieliła wieś Górki na Zachodnie i Wschodnie. W 1895 roku otwarto budowany od 1889 roku Przekop Wisły między Swibnem a Mikoszewem. Teren dawnej mierzei został otoczony ramionami Wisły i powstała wyspa, nazwana później Wyspą Sobieszewską. Po pierwszej wojnie światowej i konferencji wersalskiej utworzono Wolne Miasto Gdańsk, w którego obrębie znalazła się Wyspa Sobieszewską. Jej powojenna nazwa pochodzi od Marysienki Sobieskiej, która kiedyś odwiedziła to miejsce.

Nagle zadzwonił telefon komórkowy Rafała. Chwilę słuchał czyjejs relacji, a kiedy skończył rozmowę, bezradnie rozłożył ręce.

— Przepraszam, ale musimy wracać — oznajmił nam. — Na inspekcję przyjechał mój dyrektor.

— Nie ma problemu — Margerita uśmiechała się, ale widziałem, że była nieco znudzona. — Zostanę tu na kilka dni, więc może jutro nadrobimy zaległości?

— Oczywiście — potwierdził Rafał.

Wróciliśmy do GAZ-a. Rafał dojechał do głównej ulicy, skręcił w prawo i po minucie byliśmy już przed hotelem „Bartan”. Wszystko tu robiło dobre, solidne

wrażenie i wiedziałem, że nie jest to obiekt, w którym mógłby zatrzymać się taki skromnie zarabiający muzealnik jak ja. Dziennikarkę zachodniego pisma pewnie było na to stać.

— Pa, chłopaki! — uśmiechnęła się do nas.

— Skąd ona się u ciebie wzięła? — zapytałem Rafała, kiedy wracaliśmy do „Forsterówki”.

— Przyszła o dziewiątej rano i pytała o mnie.

— Przyszła?

— Nie, jakiś pracownik hotelu ją tam podwiózł.

— Pokazała ci legitymację dziennikarską?

— Tak, papiery miała w porządku, chociaż o tym jej piśmie słyszę pierwszy raz. Nie ufasz jej?

— Wydaje się mało zainteresowana przeszłością jak na kogoś, kto chce pisać o skarbach. Czemu ma zamiar tu siedzieć kilka dni?

— Może chce tu trochę odpocząć. To także dobry punkt wypadowy do Trójmiasta, na Żuławy Wiślane, Mierzę Wiślaną.

Wróciliśmy pod „Forsterówkę” i zobaczyliśmy, jak Magda trzyma pod rękę jakiegoś starszego, elegancko ubranego mężczyznę. I wtedy poczułem ukłucie obrzydliwego uczucia — zazdrości.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

DYREKTOR CIUPACIŃSKI • NA GÓRZE MEW • RAJD NA WOJSKOWĄ BAZĘ • KOMAR I NOCNY ZEFIR • AMOR NA CZTERECH ŁAPACH • W PUŁAPCE • KOLACJA W „BARTANIE”

Mężczyzna miał około pięćdziesięciu lat. Był niski, łysy z fryzurą „na pożyczkę” i nosił spodnie w niebieskie prążki, w które była wpuszczona koszulka polo. Na widok Rafała jego twarz spochmumiała.

— Gdzie się pan włóczył?! — niemal krzyknął na mojego kolegę. Odniosłem wrażenie, że chciał przed Magdą popisać się, jaką ma władzę i jaki jest ważny.

— Jestem z Ministerstwa Kultury i Sztuki — wtrąciłem się chcąc wytłumaczyć przyjaciela. — Rafał pokazywał mi państwa program rewitalizacji tego miejsca i byłem zachwycony! Będę musiał napisać sprawozdanie dla ministra o tym, jak zarządzany przez pana zespół ludzki doskonale daje sobie radę z tak trudnym zadaniem. Ma pan niezwykłą intuicję obsadzając tu Rafała — nie wiem, jak i skąd przyszedł mi do głowy pomysł z użyciem urzędniczej nowomowy i pochwaleniem się pracą w ministerstwie.

— Pan naprawdę pracuje w ministerstwie? — w chytrych oczkach dyrektora dostrzegłem niebezpieczny błysk.

— Ach tak, rzeczywiście zapomniałem się panu przedstawić — podsunąłem dyrektorowi pod nos legitymację służbową i zostawiłem mu swoją wizytówkę, na którą z niedowierzaniem zerkała także Magda.

— Ciupaciński — bąknął dyrektor.

— Przepraszam, wyciągnąłem Rafała na krótki wyjazd, by pokazać mi wyspę — wyjaśniałem. — To naprawdę moja wina...

— Ależ, nic się nie stało — dyrektor postanowił być uprzejmy. — Pani Magda była tak dobra, że oprowadzała mnie po całym gospodarstwie. Nawet niespecjalnie doskwierał mi brak pana Rafała — Ciupaciński przymilnie zerknął na Magdę, a ta odpowiedziała mu pełnym słodczy spojrzeniem. — No cóż, niech pan mi pokaże, jak tu sobie radzi.

Rafał i jego przełożony odeszli w kierunku szarego bloku, gdzie sprząтали chłopcy. Magda podeszła do mnie.

— Nie wspominałeś, że pracujesz w ministerstwie — powiedziała z wyrzutem.

— Kłamałeś, kiedy mówiłeś, że jesteś muzealnikiem.

— Naprawdę jestem muzealnikiem — broniłem się. — Ukończyłem historię

sztuki i pracuję w ministerstwie, gdzie odpowiadam za kontakty z muzeami. Ty za to, jak widziałem, kokietowałaś tego dyrektora.

— Nie przesadzasz z okazywaniem takiej zazdrości?

— Podobno jesteś moją narzeczoną. Co pomyślał Rafał widząc twoje zachowanie?

— „Podobno”, „co pomyślał” — przedrzeźniała mnie. — A co ja sobie pomyślałam widząc, jak przymilasz się do tej dziennikarki?

— Czyniłem to ze względów czysto zawodowych. Magda milczała widząc, że i ja zdaję sobie sprawę, jak głupio brzmiało to tłumaczenie.

— Pójdę do dziewczyn — stwierdziła po chwili.

Zostałem sam, ale nie o taką samotność mi chodziło. Przecież nie chciałem, żeby Rafał miał przeze mnie kłopoty ze swoim przełożonym i żeby Magda poczuła się urażona. Po części była sama sobie winna, wymyślając to kłamstwo o naszym narzeczeństwie. Na razie zamiast zajmować się obserwacją podejrzanych osób, spędzałem czas w „Forsterówce” nie robiąc nic. Cóż z tego, że wiedziałem, w jakim rejonie szukać skrytki?

Pan Berthold, staruszek z samolotu, był wnukiem kucharki Alberta Forstera. Opowiedział mi o schronie pod Górą Mew, o skrytce w starym forcie w Gdańsku i o tym, jak po wojnie odszukał kolegę z lat szkolnych, który mieszkał na Wyspie Sobieszewskiej. To on przekazał informację, że wejście do schronu wysadzono w powietrze zostawiając awaryjne, dobrze zamaskowane wejście. Jednak tę tajemnicę znał tylko Kari, który wskazówki jak dotrzeć do skarbów ukrył w butelce, w sejfie na „Goi”. Jak, kiedy i czemu to uczynił, pan Berthold nie potrafił mi powiedzieć. Nie potrafiłem zdecydować się, czy powinienem poszukać Karla, podążać niepewnym tropem, jaki wskazał mi wnuk kucharki, czy czekać i obserwować?

Na ścianie w jadalni myśliwskiej wisiła mapa Wyspy Sobieszewskiej. Odszukałem na niej wzniesienie nazwane Górą Mew. Zszedłem ze wzgórza, gdzie stała „Forsterówka”, wyszedłem z terenu ośrodka, z prawej strony omijając teren dawnych koszar SS, obecnie pilnowanych przez groźnego włochatego psa i ochroniarza, wzdłuż drucianej siatki zwieńczonej drutem kolczastym pomaszzerowałem na północ. Od razu za budynkami natknąłem się na górę, wszedłem na nią, potem do ciasnego jaru i z jego dna na kolejne wyniesienie terenu. To była Góra Mew. Robiła przygnębiające wrażenie; porośnięta karłowatymi, wyswiechtanymi przez morskie wiatry sosnami, z mnóstwem dziur po ziemiankach, lejami po bombach. Gdzieś w oddali słychać było szum morza, nad głową dryfowały w powietrzu mewy. Żeby strzec tego miejsca, musiałbym spędzać tu noce i dni pilnując, czy nie zakrada się ktoś z łopata, chcący odkopać wejście. Przymyślałem, że tak prymitywne narzędzie nie wystarczyłoby, żeby dostać się do wnętrza skrytki. A może istniało inne? Nocą w piwnicy „Forsterówki” ktoś szukał ukrytych pomieszczeń lub zamurowanych drzwi. To mógł być tylko wysłannik Sebediana, który pewnie z treści wskazówek ukrytych w butelce wiedział, że tędy można wejść do schronu. Czy nocny gość powtórzy swój wyczyn? Raczej nie, bo wyglądało na to, że opukał całe podziemia „Forsterówki”. Tylko czy on rzeczywiście nic tam nie znalazł?

Jeszcze raz przyjrzałem się okolicy Góry Mew, ale nic nie zwróciło tu mojej szczególnej uwagi i wróciłem do willi. Na górce, z pokoju wzięłem nóż, latarkę i zszedłem do piwnicy. Trzonkiem finki opukałem ściany, ale nigdzie nie usłyszałem głuchego odgłosu świadczącego, że coś ukrywa się za ścianą. Na schodach za sobą usłyszałem czyjeś kroki. Obejrzałem się. To był Rafał.

— Paweł, gdzie ty się przed nami ukrył? — zapytał. — Tutaj szukasz skarbów? dziwił się. — Przecież tę piwnicę pewnie już tysiąc razy opukiwano! Myślisz, że wczasowicze nie szukali tutaj skrytek?

— Masz rację przyznałem. — Jak kontrola twojego dyrektora?

— Już niedługo — Rafał lekceważąco machnął ręką. — Wkrótce z całym

dobrodziejstwem inwentarza przechodzę do innej jednostki budżetowej, a stanowisko tego dyrektora zostanie zlikwidowane. On o tym wie i dlatego jeszcze chce trochę porządzić, lubi się szarogęścić, ma wredną żonę, więc ogląda się za spódniczkami. Ty lepiej uważaj na Magdę.

— Jest ważniejszy problem niż upodobania pana dyrektora — powiedziałem.

— Jaki? Co się stało?

— W nocy ktoś buszował w piwnicy „Forsterówki”.

— Kto to był?

— Nie wiem, był zamaskowany i tylko Magda natknęła się na niego w ciemnościach na parterze.

— A gdzie ty wtedy byłeś?

— W piwnicy.

Ze szczegółami zrelacjonowałem Rafałowi nocne wydarzenia w willi. Wciąż jednak nie zdradzałem przyjacielowi szczegółów mojej misji.

— Wiem, ten ktoś szukał schronu Forstera — stwierdził Rafał. — W różnych relacjach cytowanych przez dziennikarzy pojawiały się informacje, że do schronu wchodziło się z willi. To jednak informacje wyssane z palca. Odkopałem prawdziwe wejście. Chcesz zobaczyć ten schron?

— Chciałbym — pokiwałem głową.

— Po zmroku robię z dziećmi wyprawę do tajnej bazy — Rafał jak zwykle w takich sytuacjach ściszył głos. — Kiedy wrócimy, to pokażę ci ten schron. Teraz chodź na kolację — przyjaciel pociągnął mnie za ramię.

Poszliśmy do jadalni, gdzie zastałem wszystkich podopiecznych Rafała i Magdę. Młodzież była ubrana w stare wojskowe ubrania, miała pomalowane twarze, a Magda założyła sukienkę na ramiączkach, rozchodzącą się jak klosz, z głębokimi wycięciami mającymi odpowiednio podkreślać urodę właścicielki.

— Jedni idą na wojnę, a drudzy na bal — zażartowałem.

— Pawle, chciałem cię prosić o pomoc — powiedział Rafał siadając obok mnie.

— Wybieramy się do jednostki wojskowej numer 1110, żeby obejrzeć stare schrony wyrzutni rakiet. Terenu pilnuje firma ochroniarska, która nie wpuszcza tam nikogo, ma psy i broni tej bazy, jakby to był Fort Knox. Ja znam przejście i wprowadzę was do środka...

Widziałem, jak młodzież z przejęciem słuchała Rafała. Dziwna wydawała mi się ta wyprawa, bo Rafał był człowiekiem, który albo wymyślał niesamowitą przygodę, albo przełamywał opór, choćby najgroźniejszej agencji ochrony.

— ...Zrobimy tak — Rafał rozłożył na stole starą niemiecką mapę wyspy.

— Dokładniejszej współczesnej nie ma — zapewniał nas. — Paweł po kolacji zabierze mnie z pierwszą grupą szturmową tu — pokazał skrzyżowanie w lesie.

— Potem drugą grupę przewieziesz tu — pokazał mi kolejny punkt na mapie.

— Drugim rzutem szturmowym będzie dowodził Tomek. Potem Paweł pojedzie na parking przy rezerwacie przyrody „Ptasi Raj”. Tam się spotkamy. Będziemy utrzymywali łączność przez krótkofalówki i w razie czego wyznaczymy inne miejsce, skąd nas zabierzesz.

— Czy ja mogłabym z którąś z grup dywersyjnych zabrać się do Sobieszewa? — zapytała Magda.

Spojrzelśmy na nią zdziwieni, bo przerwała nam naradę i intrygowało nas, czego ona wieczorem będzie tam szukała?

— Oczywiście — Rafał odpowiedział po chwili.

Już widząc przygotowaną przez Rafała odprawę domyślałem się, że cała ta wyprawa ma być kolejną atrakcją dla jego wychowanków. Zgodziłem się na swój skromny udział w tej hecy, bo wyczuwałem, że dzieciaki będą miały niezłą uciechę.

Zaraz po posiłku wsiadłem do GAZ-a z pierwszą grupą. Miejsce obok mnie zajęła Magda, która wyglądała niczym ofiara porwania przy takiej gromadzie zamaskowanych postaci. Pod plandeką siedzieli Rafał, Paulina, Klaudia, Olek i

Damian. Kierowany wskazówkami Rafała pomknąłem leśnymi duktami na zachód. Kilka razy przecinaliśmy arterie, którymi szli turyści. Przyglądali się nam z rozbawieniem. Dojechaliśmy na kilometr od bazy, w pobliże wydm i Rafał ze swoją grupą wyskoczył z terenówki.

— Paweł, miej cały czas włączone radio — polecił mi.

— O której skończycie te swoje podchody? — Magda zapytała Rafała.

— Przed północą — odpowiedział Rafał.

W drodze do „Forsterówki” odwiozłem Magdę do Sobieszewa. Mnóstwo pytań cisnęło mi się na usta, ale nie zadałem żadnego. Może robiłem błąd nie wykazując zainteresowania poczynaniami Magdy? Ona wydawała się być obrażoną. Wsiadła przy budynku starej piekarni, skąd roznosił się smakowity zapach pieczywa i mocno trzasnęła drzwiczkami.

— Będę tu na was czekała przed północą — rzuciła i kołyszac biodrami odeszła w kierunku największego skupiska smażalni ryb.

Pojechałem po grupę Tomka i jadąc przez Sobieszewo próbowałem wypatrzeć Magdę — bezskutecznie. Minąłem kościół, zjazd na most pontonowy, przejechałem ulicą między domkami jednorodzinnymi. Z prawej strony widziałem głównie nowoczesne budownictwo, z lewej stare chaty rybackie, odremontowane, odmalowane. Musiałem skrócić w prawo, na dziurawą as-faltówkę przez las. Kiedy byłem koło dawnej strażnicy zagradzającej drogę do bazy wojskowej, odezwało się radio.

— Tu Komar do Nocnego Zefirka — rozpoznałem głos Rafała.

— Co, wampirze? — zapytałem.

— Gdzie jesteś?

— Przejechałem koło dawnego pierwszego szlabanu.

— Wyszadzaj Tomka!

Zatrzymałem GAZ-a i Tomek szybko wyгнаł Kacpra i Wiktorię.

— Ogary poszły w las — zameldowałem.

— Nocny Zefirku, zostaw nosorożca po prawej stronie i przejdź prosto trzysta metrów. Za ruiną znajdziesz przejście. Jak będziesz w ulu, daj znać.

Rozbawiony odłożyłem krótkofalówkę. Zaparkowałem GAZ-a na parkingu i wzdłuż płotu z drutu kolczastego pomaszerowałem przed siebie. Wokół było ciemno i widziałem tylko po lewej stronie, na niewielkim wzniesieniu, oświetlone budynki jakiegoś ośrodka wypoczynkowego i stojące koło niego domki. Grupa Tomka powinna była w tej chwili obchodzić je od zachodu. Domyślałem się, że ruina, o której mówił Rafał, to resztki budynku wojskowego posterunku z wykopaną wokół niego szczeliną przeciwlotniczą.

Przestraszony drgnąłem słysząc szczekanie psa bardzo blisko. Na asfalcie słyszałem szelest jego pazurów, kiedy biegł w moją stronę. Ten zwierzak był świetnie wyszkolonym strażnikiem i doskonałym myśliwym. Biegł nie dając żadnego głosu do chwili, kiedy ja nie stanąłem. Szczeknął, żeby mnie wystraszyć, a był tak blisko, że nie miałem czasu mu uciec. W mroku majaczył kształt daszka nad tą ruiną. Wyciągnąłem ręce i podskoczyłem. Chwyciłem się krawędzi, ale w prawej garści trzymałem tylko spróchniałe kawałki drewna i papy. Złapałem jeszcze raz i czując zęby psa na podszwach butów, podciągnąłem się na dach.

— Bierz go, Amor! — usłyszałem czyjś wrzask.

Amor był wielkim dobermanem, który teraz z zadartym łbem stał i czekał, co zrobię. Położyłem się i najpierw usiłowałem zorientować w sytuacji. Dach był płaski, ale palcami wymacałem, że był dziurawy, a przy każdym ruchu czułem, że przegniły, więc w każdej chwili groził zawaleniem. Szczelina przeciwlotnicza otaczająca budynek była wkopana w skarpe, na której stała podwójna linia płotu. Gdzieś tam powinna być też dziura, o której wspominał Rafał. Podniosłem się i widziałem, jak Amor przygląda mi się przekrzywiając łeb.

— Ciao, Amore! — powiedziałem, zrobiłem szybko dwa kroki i mocno się wybiłem.

Przeleciałem ponad szczeliną, a Amor wbiegł w nią licząc pewnie, że spadnę. Wylądowałem na płocie, boleśnie raniąc się drucianymi kolcami. Amor był teraz już trzy metry niżej niż ja i jeszcze podejmował próby wdrapania się po prawie pionowej ścianie wykopu. Miałem kilka chwil na odnalezienie przejścia, zanim doberman wpadnie na pomysł obiegnięcia ruiny i wejścia do mnie po łagodnym stoku.

Dziurę znalazłem przy betonowym płocie. Ktoś wyciął jedną linię drutu kolczastego. Zrobił to w dobrym miejscu, osłoniętym od ośrodka świerkami. Ujrawszy, jak Amor już przedziera się między suchymi, nisko zwisającymi gałęziami drzew, skoczyłem szczupakiem w dziurę, przeturlałem się w trawie i rozejrzałem się za przejściem przez drugą linię. W świetle księżycy zauważyłem głęboką jamę wykopaną pod drutami. Miałem nadzieję, że nie było to dzieło Amora, który właśnie węszył przy pierwszej dziurze.

Przezołgałem się pod płotem i skryłem się w okopie pod małymi sosnami, skąd widziałem cały pas między drutami. Amor przeskoczył między zasiekami i biegał z nosem przy ziemi. Znalazł mój trop, podszedł do wykopu pod drutami i wtedy rozległ się gwizd. Amor zastrzygł uszami i posłusznie zawrócił. Odetchnąłem z ulgą. Odczekałem jeszcze kilka minut i włączyłem radio.

— Tu Nocny Zefirek do Komara, Orzeł wylądował — powiedziałem.

— Czy lot był udany?

— Żadnych problemów.

— Dobra, powinieneś być blisko dawnego skrzyżowania dróg dojazdowych. Kieruj się na pomoc. Damy ci znać, jak już będziesz na miejscu. Uważaj na patrole wroga.

Nie rozumiałem, co Rafał miał na myśli. Zrozumiałem to dopiero wtedy, kiedy pochylony, skradając się we wskazanym kierunku, zobaczyłem zbliżające się od wschodu dwie osoby z latarkami. Właściwie widziałem tylko silne promienie przeczesujące las w poszukiwaniu intruzów. Znajdowałem się blisko kolejnego skrzyżowania wewnętrznych dróg wojskowej bazy. Dojrzałem wykop w niewielkim pagórku. Tam ukryłem się i czekałem, co się wydarzy. Patrol, zapewne firmy ochroniarskiej, o której wspominał Rafał, był trzydzieści metrów ode mnie, kiedy skręcił i szybko zniknął mi z oczu odchodząc na południe. Jeśli dzieciaki miały okazję przeżyć to, co ja, myślę, że tej nocy nie zasnęłyby za żadne skarby.

Odczekałem jeszcze kilka minut i ruszyłem na północ. Niewielki pagórek wyglądał tak, jakby ktoś usiłował przekroić w poprzek jego wierzchołek. Leżąc na skraju lasu i przyglądając się otoczeniu zrozumiałem, co to było. To wzniesienie kryło w swoim wnętrzu stanowisko kierowania. Po bokach, w specjalnych niszach czekały ruchome wyrzutnie pocisków rakietowych na wielkich, niskopodwoziowych ciężarówkach. Jedna z nich wjeżdżała na stanowisko ogniowe na górę. Stamtąd odpalano pocisk, zapewne w kierunku jakiegoś wrogiego statku, a na górę wjeżdżał kolejny pojazd z rakietą.

Szybko przebiegłem po piasku w kierunku pagórka. Ukryłem się w cieniu betonowej ściany schronu. Zauważyłem schody i wdrapałem się po nich do krótkiego korytarza prowadzącego do wnętrza bunkra.

— Komar, zgłoś się! — wzywałem Rafała.

— Nocny Zefir, ukryj się, idzie patrol! — usłyszałem szept przyjaciela.

Nim pomyślałem, wbiegłem do wnętrza schronu. Włączyłem swoją małą latarkę i zobaczyłem, że znalazłem się w korytarzu prowadzącym w trzech kierunkach. Na prawo i na wprost były jakieś pomieszczenia. Pobiegnęłam w lewo. Zbiegłem po kilku schodach do kolejnego korytarza, prostopadłego do tego przy wejściu. Z niego dwoje drzwi po lewej stronie prowadziło do ogromnej hali, zapewne schronu dla pojazdów przewożących rakiety, a dwoje po prawej — do małych pokoików. Chciałem ukryć się w jednym z nich, kiedy usłyszałem za sobą, przy wejściu, czyjeś kroki, potem skrzyp zawiasów, huk, kiedy coś metalowego uderzało o metal i głośny trzask. Jeszcze załomotało tak, jak wtedy, kiedy sprawdzamy, czy

zamknęliśmy furtkę. To wszystko mnie zaniepokoiło.

Odczekałem prawie dziesięć minut, dopóki nie nabrałem pewności, że nikogo nie ma przy schronie. Zakradłem się do wejścia i zorientowałem się, że ktoś zamknął mnie we wnętrzu. Wyjście przegradzała krata z grubymi stalowymi prętami. Wyjąłem krótkofalówkę i włączyłem ją, ale byłem już pod ziemią, za grubymi na kilka metrów betonowymi ścianami. Mogłem czekać albo działać.

Postanowiłem najpierw dobrze obejrzeć wnętrze schronu. Okazało się, że wojsko odchodząc stąd zabrało nawet kable ukryte pod tynkiem. Na wielkich legarach pod sufitem hangaru widziałem pojedyncze, śpiące nietoperze. Domyślałem się, że krata miała chronić je przed niechcianymi gośćmi, którzy zakłócaliby zimowy sen latających ssaków. Wyjazd z bunkra, wysoki na kilka i szeroki na ponad dziesięć metrów, był obecnie zasypany wielką hałdą ziemi. Pokoje, w których były pewnie stanowiska radiostacji i centra kierowania ogniem, ziały pustką. Na końcu korytarza równoległego do ścian hangaru dostrzegłem klamry w ścianie szybu prowadzącego do góry. Zapewne było to wyjście ewakuacyjne. Wspiąłem się do klapy, której w żaden sposób nie mogłem unieść. Wróciłem do kraty. Okazało się, że kłódka była ukryta w specjalnie przygotowanej dla niej tulei. Miałem utrudniony dostęp do zamka, gdybym chciał otworzyć go wytrychem. Zostało mi tylko jedno wyjście. Przeszedłem do hangaru i wdrapałem się na pryzmę. Kiedy znalazłem się na jej szczycie, okazało się, że już ktoś przede mną wykopywał tędy przejście, musiałem je tylko nieco pogłębić. Wystarczyło kilka minut pracy rękoma i ostrożnie wyczołgałem się na zewnątrz. Sturlałem się na dół, szybko wstałem i uciekłem do lasu. Nasłuchiwałem i rozglądałem się, czy wokół nie ma patroli ochroniarzy. Panowała kompletna cisza. Przebiegając od drzewa do drzewa, zakradłem się do jamy po małym schronie przeciwlotniczym. Już chciałem włączyć radio, kiedy usłyszałem kroki. Wyjrzałem ponad krawędź rowu. To Rafał prowadził swoich podopiecznych.

— Ciekawe, czy już skruszał? — pytała Wiktoria.

— A jak skakał uciekając przed Amorem — ktoś roześmiał się.

— Pani Ania nie gniewała się, że wzięliście psa ze sobą? — upewniał się Rafał.

— Powiedziała, że już takie dziwności wyprawiamy, to i niech ten dziwaczny pies się z nami w to bawi — relacjonował Tomek.

A więc to tak?! To była pułapka przygotowana przez Rafała! Widziałem, jak Amor biega między nimi i radośnie podskakuje.

— Kto ma klucz? — pytał Rafał.

— Damian oddał go panu — zameldowała Paulina.

— To jak to rozegramy? — pytanie Rafała było ostatnim, jakie usłyszałem, nim cała grupa odeszła.

Byłem wściekły na siebie, że dałem się tak łatwo podejść i wprowadzić w pułapkę. Teraz wracałem w kierunku schronu. Oni szli po drodze, po łuku wykrzywającym się w kierunku morza, a ja biegłem po przekątnej. Byłem na miejscu przed Rafałem. Ukryłem się na skraju lasu i czekałem.

Najpierw na polanie przed wejściem do bunkra pojawił się Rafał, za nim rzędem biegli pozostali. Ostatni był Tomek trzymający za obrozę Amora. Słyszałem, jak Rafał instruował go, kiedy ma wypuścić psa.

— Paweł — usłyszałem głośny szepc Rafała stojącego przy kracie w wejściu do schronu. — Szybko, chodź tu! Paweł, to ja! Wołał tak kilka razy.

— Może coś mu się stało?! — zaczął się niepokoić. — Gdzie ja mam te wytrychy — jednak dalej grał wyjmując klucze.

Skrzypnęły zawiasy i cała gromadka zniknęła we wnętrzu schronu. Tomek wypuścił Amora i pobiegł za nimi. Nie zwrócił uwagi na to, że doberman obrócił się na tylnych łapach i pocwałował w moim kierunku. Dobiegł do mnie i pochylając się polizał mnie po twarzy, przy okazji wymachując na boki kikutem ogona.

— Dobry piesek — głaskałem go. — Chodźmy do naszych przyjaciół. Pobiegłem

z psem u nogi do schronu. Ze środka dobiegały nerwowe odgłosy poszukiwań. Głośno trzasnąłem kratą.

— Co to było?! — krzyczeli jeden przez drugiego tłocząc się do wyjścia. — Jak pan wyszedł? — pytali ujrzawszy mnie z Amorem.

— Umieć przenikać przez ściany — wzruszyłem ramionami. — Rafał, czemu mi to zrobiliście?

— Zimą, w nocy, przy kilkunastostopniowym mrozie zorganizowałem im przejście przez płoty — Rafał śmiał się na samo wspomnienie. — Wiesz, jak to przeżywali? Teraz chciałem, żebyś poznał bazę, a ich zaangażowałem do dodatkowych atrakcji.

— Dziękuję bardzo — ukloniłem się.

— Chodźmy w jeszcze jedno miejsce — Rafał wskazał na drogę jednocześnie zamykając kratę.

Po kilku minutach wędrówki doszliśmy do betonowej podstawy z kilkunastoma śrubami ułożonymi w okrąg. Tu, gdzie była jednostka wojskowa dysponująca raketami typu ziemia-woda, w czasie wojny stacjonowała formacja Luftwaffe odpowiedzialna za obronę przeciwlotniczą Gdańska. Byliśmy właśnie na stanowisku jednego z dział, które miało bronić przestrzeni powietrznej nad miastem.

Wróciliśmy do GAZ-a, po drodze odprowadzając Amora do właścicielki, kierowniczkę ośrodka wypoczynkowego. Odwiozłem całą ekipę do „Forsterówki”, po drodze, w Sobieszewie, rozglądając się za Magdą. Może było jeszcze za wcześnie i dlatego nigdzie jej nie było? Pojechałem specjalnie, żeby ją odszukać. Wolno jeszcze raz przejechałem główną ulicą Sobieszewa. Widziałem, jak od strony mostu pontonowego po chodniku maszeruje Margerita. Co o tak późnej porze robiła w obcym kraju? Wolno jechałem za nią. Skręciła do hotelu „Bartan”. Z naprzeciwka nadjeżdżał jakiś samochód, inny jechał za mną. Nie miałem jak wycofać, więc skręciłem w uliczkę, przy której stał hotel. Był tam też plac parkingowy przy cmentarzu. Tam wykręcałem, by wyjechać do miasteczka, kiedy przez okno restauracji zobaczyłem, jak dyrektor Ciupaciński całuje dłoń rozanielonej Magdy, a do stolika, który zajmowała ta para, dosiada się Margerita. W skroniach czułem, jak krew zaczyna mi pulsować. Z głośnym rykiem silnika wyjechałem z parkingu i jak najszybciej odjechałem do „Forsterówki”.

Wszystko we mnie się burzyło. Przypominałem sobie, co czuł Wokulski słysząc prowadzoną po angielsku rozmowę panny Łęckiej z jej kuzynem w pociągu do Wiednia. Takiego zawodu nie można było zapomnieć. Racjonalnie podchodząc do sprawy mógłbym sam siebie pytać, jakie mam prawo gniewać się na Magdę. Była przecież sympatią człowieka, który próbował mnie wygnać z biwaku i obić mi twarz. Przyczepiła się do mnie jak rzep do psiego ogona i może dyrektor Ciupaciński był dla niej odpowiednim towarzystwem. Tylko w takim razie, co w tym towarzystwie robiła Margerita? Skąd brała się ta komitywa obu pań i dyrektora? Rafał czekał na mnie przy bramie.

— Gdzie Magda? — zapytał.

— Dobrze bawi się w miłym towarzystwie w dobrej restauracji — rzuciłem, wielkimi krokami zmierzając do „Forsterówki”.

— Co się stało?! — Rafał biegł za mną dopytując się o powody mojego wzburzenia.

— Kiedy ja dawałem się nabrać na te twoje zagrywki z Zefirkiem i Ko-markiem, Magda jadła kolację z dyrektorem Ciupacińskim. To normalne, że przyjaciel postanowił zrobić ze mnie wariata, a kobieta, z którą płynąłem jednym kajakiem i spałem w jednym pokoju, postanowiła bez słowa wyjaśnienia pójść z kimś innym na kolację.

— Ciupaciński zanudzi każdego na śmierć, więc Magda wróci do ciebie — Rafał pocieszał mnie. — Nawet u najbardziej kochającej się pary powinna istnieć pewna doza wolności. Może Magda potrzebuje takiej odskoczni, a z takiej kolacji nic nie

wynika.

— Pewnie ty byś ze spokojem zniósł taki stan rzeczy?!

— No, nie robiłbym aż takich scen — stwierdził Rafał. — Co ty wyprawiasz? — dziwił się widząc, jak zbieram swoje *rzeczy* do worka. — Wyprowadzasz się w środku nocy? Chcesz, mogę ci przygotować inny pokój, a rano spokojnie sobie wszystko wyjaśnicie.

— Nie ma tu czego wyjaśniać — mruknąłem upychając swoje ubrania w worku.

— Kobiety uważają mnie za dziwaka, ale to one są dziwne.

— Paweł... — w głosie Rafała, który chciał mnie zatrzymać, słychać było prośbę.

Postanowiłem coś zrobić i nie mogłem zejść z raz wybranej ścieżki. Założyłem plecak z resztkami prowiantu i obozowym wyposażeniem, zarzuciłem wór na ramię i ruszyłem w kierunku szosy. Zaczął siąpić deszcz i wtedy szosą od strony Sobieszewa nadjechał elegancki samochód osobowy. Za kierownicą siedział dyrektor Ciupaciński, a obok niego Magda. Kiedy rozpoznała mnie, jej oczy wyrażały zdumienie. Auto przejechało szybko do bramy. Wszedłem na szosę, odnalazłem ścieżkę prowadzącą na południe, do małego domku przy wiślanym wale.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

DESZCZOWA NOC • POMOCNIK PANA KLEMENSA • NAGRODA TYLKO DLA CIERPLIWYCH • CZEREŚNIE I STARY HORCH • SZACUNEK KOCURA • WSTYDLIWE „NIE WIEM” • POLOWANIE W SADZIE

Deszcz przybierał na sile zamieniając się w ulewę. Strugi wody spływały mi z ronda kapelusza po plecach. Buty chlupotały w błocie. Jednak ten zimny prysznic działał orzeźwiająco. Z każdym krokiem uspokajałem się i upewniałem się, że dobrze robię. Wśród pól znalazłem kępę drzew, pod których koronami skryłem się i przeczekałem do świtu. Kilka razy w ciągu nocy dzwonił mój telefon komórkowy, ale ja nie odbierałem. Nie byłem jeszcze gotowy na żadne rozmowy. Wschód słońca przyniósł ożywienie wśród ptaków i zapowiedź pięknej pogody. Gdzieś umknęły jak czarne ptaszyska deszczowe chmury. Na trawach szklily się krople, wokół których uwijały się owady.

Wróciłem na drogę i przeskakując ponad kałużami maszerowałem w kierunku białego domku. Stanąłem przy furcie i przyglądałem się podwórku. Domostwo od frontu miało tylko drzwi wejściowe i duże okno na prawo od nich. Na ścianie szczytowej, pod dwuspadowym dachem, były dwa prostokątne okienka. Na wprost bramy stała nieduża szopa, w której były psia buda, składzik opału i wędzarnia. Po lewej był hangar, w którym Rafał trzymał żagle i wiosła, i jak pamiętałem był tam warsztat, jakieś sieci i narzędzia rybackie. Dom od strony drogi otaczały krzaki bzu.

Na mój widok z budy wybiegł wielki mieszaniec z czarną sierścią na grzbiecie i brązową na brzuchu. Przypominał skrzyżowanie wyżła, wilczura i charta. Podbiegł do bramy i stał wyciągając w moją stronę nos. Miał pełne dobroci, wierne, brązowe oczy, ale dostrzegałem w nich ogromną czujność. Na schody domku wyszedł pan Klemens. Miał przygarbioną sylwetkę, ale widać było silne ramiona, płaski brzuch, ogorzałą, jakby wyrzeźbioną w skale twarz. Jego niebieskie oczy patrzyły na mnie spokojnie. Był ubrany w wysokie gumowce, zielone drelichy, koszulę i wełniany sweter, a do tego płaską czapkę z daszkiem, nad którym srebrzył się znaczek symbolizujący jakąś rybę.

— Dzień dobry! — ukłoniłem się.

— Dobry — odpowiedział.

Tak jak się spodziewałem, mówił twardo, w miejsce „r” wstawiając „h”. Jego głos był pełen rezerwy.

— Mam problem — wyznałem.

Pan Klemens podszedł do bramy i oparty o drewnianą furtę przyglądał mi się bardzo długo.

— Chcesz pan płynąć na ryby? — zapytał po chwili.

— A to pomaga?

— Tak — starzec pokiwał głową.

Kazał mi zostawić bagaże w szopie, tam gdzie były żagle. Zabraliśmy wędki, wiaderka, podbierak i wiosła. Płaskodenna, długa i szeroka łódź była na przystani obok jachtu Rafała. Zaniepokoił mnie brak kajaka.

— Wyniosłem go do ogrodu i przykryłem brezentem — pan Klemens odpowiedział na moje niewypowiedziane pytanie.

Najpierw wiaderkiem wylałem wodę ze środka łodzi, potem założyłem wiosła. Pan Klemens usiadł na rufie, gdzie były zamontowane rachityczny silnik i ster. Chwyciłem za wiosła i wyprowadziłem łódź na Martwą Wisłę.

— W którą stronę mamy płynąć? — zapytałem.

— Chcesz pan tak cały czas wiosłować?

— Czemu nie?

— Po co, jak silnik zrobi to lepiej?

— Kiedyś mieszkalem u rybaka i on kazał mi wiosłować, bo jak mówił, pewne rzeczy można robić piękniej.

— U którego rybaka?

— To był pan Rudolf nad Jeziołem Krzyżowieckim na Kociewiu. Ten człowiek już nie żyje.

— Gdybyś pan miał problem, to byś wtedy pojechał do tego Rudolfa?

— Tak.

— A czemuś pan przyszedł do mnie?

— Bo chyba tylko pan może mi pomóc.

— Nie znamy się prawie wcale.

— Wie pan równie dobrze jak ja, że niekiedy nie trzeba się znać, żeby rozmawiać ze sobą *szczerze*.

— Szedł pan całą noc do mnie, żeby sobie tylko pogadać?

— Skąd pan wie, że szedłem całą noc?

— Mokre *rzeczy* i ubranie, zmęczona twarz. Normalnie to by przywiózł pana Rafała i byłby pan pewnie z tą dziewczyną.

— Więc nie jest normalnie — przyznałem.

— Umiesz pan łowić — pan Klemens oglądał wędki i zaglądał do pudełeczka, w którym była ziemia z robakami.

— Nie — przyznałem się. — Nie jestem pasjonatem wędkarstwa.

— To coś pan robił u tego rybaka?

— Pomagałem mu rozwiązać jego problemy, a on pomagał mnie.

— Ja nie jestem dobrą wróżką.

Powiedział to zdanie z jakąś dziwną mocą, jakby były wypowiedziane w jakimś szczególnym miejscu, a przecież za moimi plecami była tylko biała, wysoka na kilkadziesiąt metrów góra fosforanów, na lewo był wał przeciwpowodziowy, na którego skarpie dostrzegłem niewielki prawosławny krzyż.

— Co on oznacza? — zapytałem pana Klemensa.

— Jak zwykle. Czyjaś śmierć, czyjś żal, cierpienie, grzech i prośbę do Boga o łaskę i przebaczenie. Bierz pan — rybak podał mi wędkę.

Rozłożyłem ją, ostrożnie nadziałem wijącego się robaczka na haczyk i rzuciłem haczyk do wody. Jakiś czas wpatrywałem się w spławik mając dzieciinną nadzieję, że biedny robaczek zejdzie z haczyka i sobie odpłynie. Potem przyglądałem się okolicy i panu Klemensowi. Ten wyjął połówkę cygara i zapalił. Cmił wpatrzony w swoje spławiki. Wyczuwając moje spojrzenie zerknął na mnie.

— Tylko cierpliwych czeka nagroda — powiedział.

Być może odnosiło się to do wędki, ale ja zrozumiałem to inaczej.

— Niekiedy nagrodę zabierają nie ci cierpliwi, a ci butni i odważni —

zauważyłem.

— A co o nagrodach powiedziała by ten pański Rudolf?

— Nie jesteśmy w stanie wyciągnąć ręki po wszystko i musimy coś wybrać. To co dla nas jest najważniejsze. Nie zawsze jest to rzecz najcenniejsza.

— Ja, ja — panu Klemensowi wyrwało się po niemiecku. — Ten rybak miał rację.

Przestaliśmy rozmawiać, bo rybak zaczął wyciągać ryby, tak jakby je zamówił. Mój spławik drgał, ale słabo. Kiedy w końcu wyciągnąłem haczyk okazało się, że zwisa na nim obgryziony przez ryby robaczek. Pan Klemens widząc to zdusił uśmiech i litościwie nie patrzył, jak składam wędkę. Wróciliśmy do przystani na włączonym silniku.

Po godzinie, około ósmej, wdychałem zapach smażonych ryb, rozkoszowałem się ich smakiem i zagryzałem czerstwym chlebem, obsmażonym z czosnkiem.

— I co teraz pan zrobi? — pan Klemens zaglądał mi w oczy.

— Czy mogę zostać u pana na trochę?

— A co to panu da?

— Przyszedłem do pana prosząc o pomoc. Może z czasem zrozumie pan, co mnie gryzie?

Rybak pokiwał głową i siedział zamyślony.

— No tak, na rybach pan się nie obłowisz, a co umiesz innego robić? — zapytał.

— Mogę zapłacić za swój pobyt jak zwykły letnik.

— Potrzebuję pomocy w sadzie — stwierdził pan Klemens. — Teraz nadszedł czas zbierania czereśni. Trzeba je też sprzedawać, najlepiej tu najbliżej, w Bohnsacku, znaczy Sobieszewie, albo w Świbnie przy promie. Będziesz pan z rana zbierał owoce, a po śniadaniu pojedziesz z nimi na handel. Zgoda?

— Zgoda — uściśnąłem podaną mi dłoń.

Entuzjazm minął mi na widok sadu. Równe rzędy kilkudziesięciu drzew wyglądały pięknie, ale przerażały mnie swoją ilością. Sad znajdował się za domem. Tam stała jeszcze jedna szopa z drzwiami jak w garażu.

— Czereśnie są tam — pan Klemens wskazał na dwa rzędy za krzakami czarnych porzeczek. — W sumie trzydzieści drzewek. Przy okazji może pan zająć się zbiorem porzeczek.

— A jak mam zawieźć je do miasta?

— Chodźmy, coś panu pokażę.

Podeszliśmy do garażu, w którym stał niemiecki samochód terenowy marki Horch pamiętający jeszcze czasy drugiej wojny światowej. Tylne kanapy były wymontowane i w ten sposób powstała przestrzeń ładunkowa. Widziałem jeszcze resztki oryginalnego kamuflażu, oglądałem porzewiałe tabliczki z danymi technicznymi i instrukcjami w języku niemieckim. Kontrastowała z tym współczesna tablica rejestracyjna.

— Piękny — wyznałem. — Niejeden kolekcjoner starych pojazdów dałby się pokrajać za coś takiego.

— Ja, ja — pan Klemens uśmiechnął się. — Tam jest pana pokój — wskazał na sufit.

Nad garażem był pojedynczy pokój, do którego wchodziło się po drewnianych schodach z boku budynku. W środku pachniało drewnem. Stały tu proste drewniane łóżko, stół z dwoma krzesłami, metalowy piecyk, szafa i kufer. W rogu były umywalka i kurek z zimną wodą.

— To jest pańska kwatery — pan Klemens patrzył, czy pokój spodoba mi się.

— Bardzo dobrze — zadowolony pokiwałem głową. — Zamknij pan to w jakimś bezpiecznym miejscu? — wyłączyłem dzwoniący telefon i podałem go gospodarzowi.

— Może to było coś ważnego?

— Nie ma już ważnych rzeczy — pokręciłem głową.

— Jak pan chcesz — rybak wzruszył ramionami. — Tylko czereśni mi pan

pilnuj!

— Dobrze.

— Po obiedzie przyjdą ludzie do zbierania. Będziesz ich pan pilnował, znosił kosze i ważył zbiór. Wieczorem zawieziesz pan owoce do Gdańska do kilku restauracji.

— Tak jest! — uśmiechnąłem się.

Pan Klemens na moment zatrzymał się w progu.

— Może jakieś radio panu przyniosę?

— Nie potrzeba — zapewniałem go.

— Za godzinę niech pan będzie przebrany do roboty... Słuchałem powolnych kroków na schodach, kiedy schodził mój nowy pracodawca. Szybko wyjmowałem swoje *rzeczy* z plecaka i worka. Rozłożyłem je do szafy i kufra. Na dole, na poręczy schodów znalazłem robocze dreluchy i przebrałem się w nie. Potem usiadłem na schodach i odpoczywałem wystawiając twarz do słońca. Pan Klemens przyszedł do mnie i zaprowadził do sadu. Pouczał mnie, jak zorganizować zbiór owoców, gdzie mam je ważyć, na co zwracać uwagę. Na koniec przyprowadził psa. Trzymał go za obrozę i nagle puścił. Zwierzak rozpedził się i ruszył na mnie, cicho przy tym powarkując. Stałem spokojnie, czekając, co też przyjdzie mu do głowy. Obwąchał mnie, trącił nosem moją dłoń, dał podrapać się po łbie i pobiegł w odległy kąt sadu.

— Zaakceptował pana, ale niech pan na nic więcej nie liczy — wychrypiął rybak.

Wyjął ogryzek cygara i zapalił.

— Na razie na nic więcej chyba tutaj nie mogę liczyć — powiedziałem.

— Ależ z pana gaduła — pan Klemens z niedowierzaniem pokręcił głową. — Za pół godziny obiad — rzucił na odchodnym.

Na posiłek składały się duży talerz kartoflanki z wiejskim chlebem i dzban kompotu z czarnej porzeczki. Potem gospodarz wręczył mi notes, długopis i klucz do składziku, gdzie były kosze i waga. Ledwo rozłożyłem swój warsztat ekonomy, usłyszałem na drodze warkot silnika. To był GAZ Rafała. Po chwili na podwórku domu rozległy się dziewczęce głosy, które zaczęły się do mnie zbliżać. Magda prowadziła Wiktorię, Paulinę i Klaudię. Wszystkie były ubrane w krótkie spodenki i bluzki, a na głowach zawiązały chusty. Dziewczyny nie wiedziały, co się wydarzyło, ale Magda na moment stanęła jak słup soli. Staralem się nie okazywać uczuć. Powiedziałem, gdzie są drzewa z przystawionymi do pni drabinami, gdzie mają wysypywać zebrane czereśnie i życzyłem im powodzenia. Sam też ruszyłem do pracy. Widziałem, jak Magda najpierw dzwoniła do kogoś, a potem odbierała telefon.

Po godzinie w sadzie pojawił się dyrektor Ciupaciński. Ubrany w jasny garnitur ostrożnie stąpał, by nie pobrudzić nogawek i beżowych butów. Pod pachą niósł prezent — pudełko wiśni z likierem w czekoladzie. Magda z gracją zeszła z drabiny, a Ciupaciński śledził każdy jej krok i pomógł jej zeskoczyć z ostatniego stopnia. Magda natychmiast otworzyła czekoladki i poczęstowała dziewczęta. Potem rozmawiali kwadrans i Ciupaciński wyszedł z sadu kłaniając mi się po drodze z szyderczym uśmiechem na ustach.

Zagryzłem wargi i wściekły szybko skończyłem zbierać swój pierwszy kosz owoców. Zaniósłem go do magazynu i zaraz przyszła tam Wiktoria niosąc swoje czereśnie. Przesypałem je do skrzynek dokonując wstępnej selekcji i odrzucając te podziobane przez szpaki lub zajęte przez robaki czy zgniłe. Zważyłem zbiór i zapisałem go w notesie.

— Panu to nie przeszkadza, że ten podstarzały elegancik dobiera się do pana narzeczonej? — zapytała mnie.

— Żyjemy w wolnym kraju i każdy robi to, na co ma ochotę. Mizdrzenie się do pana dyrektora nie jest jeszcze prawnie zakazane. Magda nie jest już moją narzeczoną.

— Tak w ciągu jednej nocy?

— Wystarczyło pół godziny. To od samego początku była jedna wielka pomyłka.

— Opowie mi pan o tym? — Wiktoria usiadła na taborecie przy moim stole, podpierając rękoma brodę.

— Zmykaj do roboty — odpędzałem ją, bo widziałem, że zbliżają się dziewczyny.

Wiktoria poczekała na koleżanki i we trzy szepcząc między sobą odeszły do sadu. Zajęty przebieraniem czereśni nie zwracałem uwagi na wejście Magdy. Znacząco chrząknęła.

— Cześć — powiedziała niepewnie.

— Cześć — rzuciłem odbierając jej kosz. — Słabo — dodałem zerkając na wagę. — Musisz bardziej skupić się na pracy.

— Czy ty zawsze musisz moralizować i pouczać innych?

— Nic takiego nie robię. Stwierdzam tylko fakty.

— Tak ci się tylko wydaje — wyszarpnęła kosz z moich rąk i odmaszerowała do sadu.

Do siedemnastej zebraliśmy kilkanaście skrzynek owoców. Akurat tyle, ile pan Klemens chciał sprzedać do restauracji. Zerknął na moje notatki, na świetnie prezentujące się owoce, na spocone, opalone dziewczyny i wypłacił im ich zarobek za zbieranie. Załadowałem czereśnie do Horcha, przebrałem się w zielone ogrodniczki i białą koszulę, które dał mi gospodarz i pojechałem do Trójmiasta. Na pace miałem dwanaście skrzynek. Pięć miałem zostawić w Gdańsku w trzech lokalach, a siedem w siedmiu barach w Sopocie. Kiedy wracałem, zobaczyłem w Sopocie, jak Magda wysiada z auta dyrektora Ciupacińskiego. Stałem przed światłami na skrzyżowaniu, więc widziałem, jak kierowali się do modnej w Sopocie chińskiej restauracji. Zajęty myślami o dziewczynie wracałem do pana Klemensa. Jechałem ulicą między Martwą Wisłą a płotem rafinerii. Kiedy wjechałem na wał wśród pól, skąd widać było już Wyspę Sobieszewską, na poboczu zobaczyłem Margeritę. Maszerowała z plecaczkiem zarzuconym na ramię i aparatem fotograficznym na szyi. Zatrzymałem się koło niej.

— Może cię podwieźć do hotelu? — zaproponowałem. Dziennikarka najpierw zwróciła uwagę na auto i to już wzbudziło jej zainteresowanie. Potem dopiero przyjrzała mi się. Kiedy mnie rozpoznała, uśmiechnęła się.

— Zmieniłeś zawód? — zapytała sadowiąc się obok mnie i przyglądając skrzynekom po owocach na pace.

— Chwilowo.

— Czemu?

— Chciałem solidnie odpocząć na łonie natury.

— Nie wierzę ci. Rano byłem u Rafała i dowiedziałam się, że obraziłeś się na swoją narzeczoną i na przyjaciela. Naprawdę jesteś taki obraźliwy.

— To co zrobił Rafał, potrafię zrozumieć, ale Magdzie w żaden sposób nie można wybaczyć.

— Może chcesz się na niej zemścić?

— Jak?

— Przyjdź wieczorem do mnie do hotelu. Zjemy dobrą kolację, porozmawiamy...

Wjechaliśmy na most pontonowy i milczałem skoncentrowany na jeździe. Nie odezwałem się, aż dojechaliśmy do podjazdu przed „Bartanem”.

— Więc jak? — Margerita przyglądała mi się z ciekawością.

— Zemsta to zła motywacja — odpowiedziałem.

— Szkoda — posłała mi całusa i wysiadła. Stojąc na schodach radośnie pomachała do mnie ręką.

W domu rybaka czekała na mnie kolacja: pęto kiełbasy, trzy pajdy chleba i duży kubek mocnej herbaty. Oddałem pieniądze z utargu panu Klemensowi i usiedliśmy na werandzie ocienionej krzakami bzu. Między kwiatami przelatywały pszczoły, zagłuszane niekiedy basowym buczeniem bąków, wystraszone głuchym przelotem szerszenia.

U moich stóp położył się pies pana Klemensa. Z kieszeni ogrodniczek wyjąłem

torebkę z psimi smakołykami. Kiedy tylko zaszeleścił celofan, pies od razu podniósł łeb.

— Widzisz pan, jaki to urodzony żebrak? — gospodarz patrzył na swojego psa z rozbawieniem.

— Jak on się nazywa?

— Hund.

— Po prostu pies?

— Tak, a co mu więcej potrzeba? Ma miche, bude i ma pilnować gospodarstwa.

— Hund, siad — próbowałem tresować Hunda.

Jeśli ktoś z was próbował tej sztuki ze starszym psem wie, że ten na widok potencjalnej nagrody jest w stanie zrobić wszystko. Nie inaczej było z Hundem. Natychmiast usiadł i dostojnie wysunął do mnie łapę, jak dama podająca dłoń do powitalnego pocałunku.

— Nie patrzy panu w oczy, tylko na rękę — pan Klemens śmiał się. — On nie szanuje pana, tylko ten kawałek suchara pachnącego mięsem.

Oddałem Hundowi biszkopcik o smaku „cielęcina z marchewką”.

— Pan go nie lubi? — zdziwiłem się zerkając wymownie na zadowolonego czworonoga.

— Niech pan zrobi podobną sztukę z Katrem, moim kotem, to wtedy pogadamy o lubieniu.

Na kolanach pana Klemensa leżał jego kocur. Zwykły dachowiec, widać, że umięśniony, bez grama tłuszczu. Ruszał się z gracją i wyczuwalną, ale dyskretną siłą drapieznika.

— Kici, kici — zachęcałem kota.

Nawet nie otworzył oczu! Za to pan Klemens głośno śmiał się. Sięgnął do kieszeni i wyjął cygaro. Kopił je wypuszczając dookoła kłęby gęstego dymu. Kater i Hund byli najwidoczniej przyzwyczajeni do tego smrodu i nie prychali.

— Szacunku kota nie da się kupić ani zdobyć — powiedział rybak. — Na to trzeba zasłużyć, pokazać, że jest się kimś.

— Nie ma drogi na skróty?

— Nie ma — rybak pokręcił głową. — Co to jest? — zapytał wskazując na słuchawki przenośnego odtwarzacza muzyki.

— Taki mały magnetofon, bez kaset i płyt — wyjąłem urządzenie.

— Jakich pan tam wyjców słucha?

— Już wyrosłem z wyjców.

— Co teraz śpiewacy wiedzą o życiu? Słyszał pan kiedyś Marlenę Die-trich?

— Tak. Każdy artysta musi odpowiadać na współczesne problemy, przemawiać do nowoczesnych, młodych odbiorców.

— To o czym teraz śpiewają te pańskie wyjce?

Mój odtwarzacz miał niewielki głośnik. Nastawiłem piosenkę, która ostatnio wpadła mi w ucho. Po chwili pan Klemens słuchał piosenki, która *zaczynała* się od słów:

*Strach przed lataniem i głód doświadczeń
Wstyd przed mówieniem sobie „nie wiem”*

Rybak siedział i słuchał.

— Co tam było w refrenie? — dopytywał się, widocznie miał kłopoty z zapamiętaniem szybko śpiewanych słów w języku polskim. Powtórzyłem mu z pamięci:

*Wszystko trwa, dopóki sam tego chcesz,
Sam dobrze wiesz, że upadamy wtedy,
gdy nasze życie przestaje być codziennym zdumieniem,*

— Ma trochę racji — przyznał.

Pan Klemens zamyslił się. Widziałem na jego twarzy targające nim uczucia i wydawało mi się, że to dobry moment, żeby zacząć pytać.

— Niech pan już idzie spać — staruszek był szybszy. — Jutro od świtu musi pan

zbierać owoce. Dobranoc!

— Dobranoc — odpowiedziałem wstając.

Hund pobiegł za mną, a Kater nawet nie zastrzygł uszami. Przed snem jeszcze z latarką w dłoni i Hundem u nogi obszedłem sad, sprawdziłem, czy nie ma dziur w siatce, a widziałem, że pan Klemens siedział na werandzie do późna. Zgarbiony ćmił chyba kolejne cygaro i głaskał kota.

W swoim pokoju długo siedziałem nad mapą Wyspy Sobieszewskiej i myślałem, planowałem. W końcu zgasilem światło i rzuciłem się na łóżko. Leżałem wpatrzony w sufit, na którym fantazyjne tańce wykonywał cień firanki, wsłuchany w nocne odgłosy dobiegające przez otwarte okno. W pewnym momencie usłyszałem metaliczny skrzyp, który mógł wynikać tylko z tego, że ktoś przechodził przez siatkę sadu.

Ostrożnie wstałem, na palcach podszedłem do drzwi i delikatnie je uchyliłem. Marynarskim sposobem zjechałem po gładkich poręczach schodów. Na dole czekał na mnie Hund. Jego łeb był skierowany w stronę sadu. Spojrzał na mnie i merdnął ogonem widocznie zadowolony, że będzie miał towarzystwo w nocnych łowach.

— Szukaj go! — rozkazałem Hundowi.

Był doskonale wyszkolony, bo nie rzucił się od razu w kierunku drzewek, tylko zgarbiony, z pyskiem przy ziemi, przekradał się w cieniu budynku. Starłem się cokolwiek dojrzeć w ciemnościach. Coś mignęło na tle bielonych pni śliwek, w środkowych rzędach sadu. Rzuciłem się w kierunku krzaków porzeczek. Ukryty za nimi słyszałem szelest kroków intruza. Przeszedł dwa metry ode mnie, za ścianą z krzaków, pokonał jeszcze kilka metrów i wtedy wezwałem Hunda.

— Bierz go! — Hund w nocy wyglądał groźnie, kiedy rozpędzony gnał w kierunku zastygłego ze strachu cienia.

Nocny gość rzucił się do ucieczki i wtedy zagroziłem mu drogę. Zaświeciłem latarką w jego twarz i stanąłem zdumiony.

— To ty? — wydusiłem z siebie.

Wtedy Hund wpadł na nas i we trójkę upadliśmy na ziemię.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

AMBITNE PLANY MAGDY • SYN KUCHARKI FORSTERA • KTO JEST WYŚLANNIKIEM SEBEDIANA? • WIZYTA MARGE-RITY • ZABYTKOWE STELLE • PORT HYDROPLANÓW

Hund świetnie bawił się tym jak we trójkę koziołkowaliśmy. Radośnie szczechnął i kilka razy liznął twarz Rafała.

— Co tu robisz? — pytałem pomagając przyjacielowi wstać.

— Magda powiedziała mi, że tu jesteś. Musiałem z tobą porozmawiać. Milczałem, kiedy szliśmy w kierunku garażu. Usiedliśmy na schodach.

Hund biegał jeszcze po sadzie, a potem przybiegł do nas i ułożył się do snu przy pierwszym stopniu.

— Czemu myślisz, że jak to ująłeś „kombinuję”?

— Zastanawiałem się nad twoim zachowaniem — Rafał mówił patrząc w niebo. Dotychczas chmury przesłaniały gwiazdy, a teraz widać było, jak wysoko nad nami migoczą tysiące kropek. — Takie obrażanie się nie jest w twoim stylu. Wybacz, ale ta Magda też nie pasuje do ciebie, bo nie zadawałbyś się z dziewczyną gotową dla kariery umawiać się na kolacje z kimś takim jak Ciupaciński.

— Jakiej kariery? — zdziwiłem się.

— Twoja Magda ma być kierowniczką naszego ośrodka na Wyspie So-bieszewskiej. To pewnie będzie ostatnia decyzja Ciupacińskiego przed jego odwołaniem.

— Czemu ciebie nie mianują kierownikiem?

— Bardzo bym chciał, nie dla stanowiska czy władzy. Po prostu byłbym samodzielny, odpowiadałbym za to co robię i mógłbym cały oddać się mojemu

pomysłowi...

— Ale dyrektor Ciupaciński wie, że wyróżniałbyś się jako człowiek zaangażowany, a żaden szef nie lubi, kiedy jego podwładny jest oceniany wyżej niż on sam. Magda ci mówiła, że będzie kierowniczką?

— Powiedział mi to Ciupaciński. Kim jest ta twoja Magda? Rafał śmiał się wysłuchując historii mojej znajomości z Magdą. Przeprosiłem go za oszustwo związane z moim „narzeczeństwem”.

— Niewątpliwie wpadłeś jej w oko, skoro chciała z tobą być tak długo — Rafał zartował udając, że mnie pociesza. — Domyślam się, że nie masz do mnie żalu o ten żart w bazie wojskowej, a zachowanie Magdy wykorzystałeś jako pretekst, żeby uciec. Powiesz mi, o co chodzi?

— Znasz historię „Forsterówki” i wiesz, że przez jakiś czas była wykorzystywana jako punkt tranzytowy przy przewozie zrabowanych przez hitlerowców dzieł sztuki. Tu przywieziono zbiory z Gdańska, z budynku obecnego Muzeum Narodowego. Wyobraź sobie dwójkę dzieciaków, którzy mieli okazję zobaczyć tę składnicę, być w niej jeszcze zimą 1945 roku. Jeden z nich był synem kucharki...

— Tej, którą podejrzewano o nazbyt ścisłe związki z Forsterem?

— Tej samej. Wolfgang, jej syn, miał kolegę Karla. Razem tam weszli, oglądali zbiór. Wolfgang z matką i Forsterem był w Gdańsku, gdzie widział, jak SS w starym forcie przygotowywało jakąś skrytkę. Potem był tu, na Wyspie Sobieszewskiej. Ewakuował się z niej razem z Forsterem pod koniec marca na Hel i stamtąd dalej, do Niemiec. Kari został tu prawie do końca. Miesiąc przed zakończeniem wojny w jakiś sposób uciekł z wyspy na Hel i dostał się na „Goyę”...

— Niech zgadnę, płynął tym statkiem 16 kwietnia, kiedy transportowiec został storpedowany?

— Zaraz ci powiem — uśmiechnąłem się widząc, że moja opowieść tak zainteresowała Rafała. — Muszę teraz wspomnieć o Bertholdzie, synu Wol-ganga. On od umierającego ojca poznał historię skrytki na wyspie i w Gdańsku. Postanowił zdobyć pieniądze na wykształcenie syna i zaoferował się ze swoją wiedzą polskiemu wywiadowi i synowi nazisty, który zajmował się zabezpieczaniem zrabowanych dzieł sztuki. To Sebedian. Wolfgang po wojnie szukał Karla i poznał historię jego ucieczki. Kari dostał się na „Goyę”, zostawił tam w butelce list, w którym miał zawrzeć swoje wspomnienia z ostatnich dni na wyspie, między innymi tego, jak SS zamaskowało wejście do skrytki ze skarbami. Kari nie popłynął „Goyą”, po tym jednym liście Wolfganga zerwał z nim kontakt, przepadł, wyjechał z Niemiec. Sebedian zorganizował poszukiwania butelki pozostawionej na „Goi”.

— Czemu nie skupił uwagi na odnalezieniu Karla?

— Myślę, że go szukał, ale bezskutecznie. Porwał Bertholda, wynajął nurków i statek poszukiwawczy. Udało mi się dostać do tej ekipy i wydobyłem tę butelkę. Nie wiem, co w niej było, bo potem wszystko mocno się skomplikowało...

Opowiadałem Rafałowi o Baturze, jego narzeczonej, ucieczce samolotem, awaryjnym lądowaniu i o tym, jak Berthold zdradził mi wszystko co wiedział.

— To wy zrobiliście te nocne fajerwerki na Wiśle? — Rafał zdumiony kręcił głową. — Ludzie opowiadali, że to jakiś samolot pasażerski spadł do wody. Myślałem, że chodziło o maszynę wojskową i specjalnie rozpuszczano plotki, żeby spowodować zamęt. Kiedy wydobywano wrak z rzeki, pojechałem na brzeg ze swoimi dziećmi, patrzymy, a to bombowiec z drugiej wojny światowej! Nie wiedziałem, jak to wyjaśnić.

— Berthold kazał mi odnaleźć Karla, więc postanowiłem przyplłynąć na Wyspę Sobieszewską udając turystę. Po drodze poznałem Magdę, natknąłem się na ciebie i dzięki tobie zobaczyłem pana Klemensa, a właściwie jego gospodarstwo. Pasuje ono do opisu z relacji przekazanej mi przez pana Berthol-da. Doszedłem do wniosku, że Kar! po wojnie wrócił na stare śmieci.

— Tylko czemu ma na imię Klemens?

— Po dziadku. Po wojnie nowa władza stosowała wobec autochtonów politykę zmiany imion z brzmiących niemiecko na polskie. Kar! został Klemensem.

— Co się stało z panem Bertholdem?

— Leży w szpitalu. Nawet jeśli wydobrzeje i odzyska przytomność, to nic nikomu nie powie, do czasu aż ze mną nie porozmawia.

— Jednak ten Sebedian jak i ty może odszukać pana Klemensa i co wtedy? Nie powinieneś zawiadomić policji?

— Sebedian ma wspomnienia Karla, ale wie, że polskie władze doskonale zdają sobie sprawę z tego, co się dzieje. Sebedian wysłał na wyspę swojego człowieka podpisującego się jako „M”.

— „M” jak Margerita — Rafał klasnął w dłonie.

— I jak Magda — dodałem.

— Magda? Niemożliwe?

— Czemu? Doskonała inscenizacja, uparte trzymanie się mojej osoby, pościg Arka, którego nagle nie ma. Magda stara się o stanowisko kierowniczki „Forsterówki” i przychodzi tu, żeby z twoimi podopiecznymi zbierać czereśnie. Takie to wszystko naturalnie przypadkowe...

— A Margerita?

— Dziennikarz to idealna przykrywka dla tajnego agenta, ale ona jest obcokrajowcem, który rzuca się w oczy, a Sebedian musiał wysłać tu kogoś, kto może działać swobodnie.

— Teraz Magda wie, że tu jesteś...

— Tak, ale Sebedian ma zawartość butelki i tego się trzyma. Jego człowiek, który nie musiał jeszcze pojawić się na wyspie, jeśli nie jest Margerita czy Magdą, ma tylko opróżnić skrytkę. Jeśli jest to Magda, to najwidoczniej musi zostać kierownikiem ośrodka, żeby tu swobodnie działać. Margerita na razie nic nie robi oprócz spacerów po okolicy. Wczoraj widziałem, jak spacerowała po południowym brzegu Martwej Wisły vis-a-vis Górek Wschodnich.

— Przyglądała się stamtąd lądowisku hydroplanów — stwierdził Rafał. Rozmawialiśmy jeszcze kwadrans i umówiliśmy się na krótkie spotkanie rano. Cieszyłem się, że miałem w Rafale sprzymierzeńca. Przyjaciół znowu przeskoczył przez płot, bo gdzieś na polu ukrył swoją terenówkę. Poszedłem do swojego pokoju i szybko zasnąłem. Wydawało mi się, że spałem tylko kilka minut, kiedy zadzwonił budzik. Umyłem się w zimnej wodzie i zbiegłem do sadu zbierać owoce. Po godzinie przyszedł pan Klemens niosąc śniadanie. Kawę zbożową w termosie, chleb i powidła domowej roboty. Zjadłem i dalej pracowałem, a pan Klemens popłynął na ryby. Około dziewiątej skończyłem zbieranie czereśni, siedziałem zmęczony na ławce i piłem zimną kawę.

Usłyszałem, jak Hund radośnie podskakuje i poszczekuje. Obejrzałem się. To w moją stronę szła Margerita.

— I Hund nie oparł się twojemu urokowi? — przywitałem ją.

— Jak większość samców bywa przekupny — Margerita roześmiała się.

— Jak mnie tu odnalazłaś?

— Zapytałam w hotelu, kto w okolicy ma sad i stary niemiecki samochód terenowy. Nadal gniewasz się na swoją narzeczoną?

— Tak.

— Co dzisiaj będziesz robił? — dopytywała się.

— Muszę sprzedać owoce, a potem pewnie trochę odpocznę przed popołudniowym zbiorem.

— Może gdzieś razem pojedziemy na wycieczkę?

— Dokąd?

— Coś wymyślę — Margerita zmrużyła oko. — Zapakujmy skrzynki. Błyskawicznie załadowaliśmy towar, wziąłem torebki foliowe, zeszyt, kasetkę na pieniądze, wagę i mogliśmy pojechać na wschód, do Swibna. Okazało się, że Margerita przysłała do domu pana Klemensa na piechotę i miała ochotę pomóc mi

w pracy.

— Szybciej sprzedasz, to szybciej będziesz miał czas dla mnie — powiedziała, kiedy jechaliśmy wąską asfaltówką po koronie wału przeciwpowodziowego w stronę śluz w Przegalinie.

Siedziała wygodnie rozparta wystawiając twarz do słońca i pozwalając, by pęd powietrza rozwiewał jej włosy. Minęliśmy śluzy, port, w którym wiślane lodołamacze spędzają lato, i skręciliśmy na północ. Po drodze przejechaliśmy przez tory nieczynnej wąskotorówki, którą kiedyś nazywano „Jantar Ekspres”. Po naszej lewej stronie, wzdłuż drogi stały domki, a po prawej, za terenem zalewowym, sunęła Wisła. Pokazałem Margericie przyczółki promów, które dawniej tu kursowały. Były dwa, dla normalnego ruchu kołowo--pieszego i kolejowy. Tędy przez Wisłę przeprowiano więźniów KL Stutthof w czasie ich „marszu śmierci” w 1945 roku.

Zatrzymałem Horcha na prawo od przeprawy promowej, za głazem upamiętniającym rocznicę wykonania Przekopu Wisły. Wkrótce nadjechały samochody turystów, którzy chcieli przeprowić się do Mikoszewa. Kierowcy z ciekawością przyglądali się Margericie, która pomagała mi przygotować stoisko do sprzedaży, a panie zerkały na soczyste, duże owoce. Dzieciaki największą frajdę miały z oglądania dziwnego samochodu. W ciągu godziny, a więc trzech kursów promu, sprzedaliśmy wszystkie owoce. W dużej mierze było to zasługą Margerity, która zajmowała się ważeniem i podawaniem czereśni. Ja odpowiadałem za kasę. Przed jedenastą zwinąłem kram.

— Upierasz się, bym wyrwał się z pracy? — zapytałem Margeritę.

— Tak — uśmiechnęła się. — Dokąd mnie zabierzesz?

— Na przystań hydroplanów — odpowiedziałem.

Ciekawiło mnie, czy zdradzi się z wiedzą, gdzie to jest, ale ona wyglądała na zaciekawioną. Ruszyłem ze Świbna na zachód, w stronę Sobieszewa. Przy drodze wyjazdowej z „Forsterówki” stał Rafał i widząc mnie pomachał gazetą. Zatrzymałem się przy nim.

— Cześć! — przywitał nas. — Podwieziecie mnie do Sobieszewa? GAZ mi się zepsuł, muszę pojechać do Gdańska i kupić części.

— Wsiadaj — wskazałem mu skrzynki z tym. Rafał usiadł na gazecie i trzymał się rurek stelażu, na którym w deszczowe dni trzeba było rozwieszać plandekę.

— Pomagałam Pawłowi sprzedawać czereśnie — Margerita tłumaczyła się Rafałowi.

— Jasne — ten z uśmiechem pokiwał głową. — Dokąd teraz jedziecie?

— Paweł chce mi pokazać stację hydroplanów. Chodziłam wczoraj wzdłuż rzeki, ale nie widziałam żadnego.

— To nieczynna stacja — wyjaśnił jej Rafał. — Paweł pewnie ci wszystko tam opowie — przyjaciel szybko dokończył, bo zbliżaliśmy się do Sobieszewa. — Paweł, wysadź mnie tu — wskazał na pierwszy przystanek.

Zwolniłem tak, że Horch tylko się toczył, a Rafał zgrabnie wyskoczył na chodnik. Jechaliśmy przez Sobieszewo mijając budynek Straży Pożarnej, zjazd do „Bartanu”, piekarnię i zbliżaliśmy się do centrum. W sezonie turystycznym musiał tu panować ścisk, samochody wolno jechały prawie zderzak w zderzak. Tylko nikt nie odważył się zbliżyć do naszego potwora.

— Czyj to pomnik? — zapytała Margerita patrząc w prawo, w kierunku domu kultury nazwanego „Wyspą Skarbów”.

— Wincentego Pola, poety, geografą i żołnierza, który przebywał w So-bieszewie w 1842 roku — odpowiedziałem dziennikarce. — Jemu zawdzięczamy bardzo ciekawe relacje dotyczące tego, jak powstała Śmiała Wisła.

Mijając kościół postanowiłem zjechać na bok, by stanąć tu na krótką chwilę. Wysiadając przełożyłem gazetę zostawioną przez Rafała ze skrzynek do kieszeni ukrytej w drzwiach od mojej strony.

— Chcesz zobaczyć te menonickie stelle? — domyśliła się Margerita.

— Słyszałem, że ocalały dwie oryginalne stelle, ale nie wiedziałem, że są menonickie.

Zdziwiło mnie to, bo menonici byli odłamem kościoła protestanckiego, założonym przez Menno Simonsa w 1536 roku we Fryzji. Ich religia odrzucała chrzest, zakazywała służby wojskowej, składania przysięg, wnoszenia skarg do sądów, przyjmowania stanowisk administracyjnych w jakichkolwiek władzach. Prześladowani znaleźli w końcu schronienie na Żuławach, gdzie zajmowali się pracami melioracyjnymi, w domach kultywując swoje obyczaje religijne. Ta surowość ich obyczajowości raczej nie pozwalałaby im szykować tak ozdobnych stell. Jedna z nich była poświęcona Gerhartowi Bartschowi, który żył w latach 1704—1771.

— Osiągnąłem spokój, nic mnie już tu nie trzyma — odczytywałem inskrypcję. — Utrudzony latami o Jeruzalem walczyłem. Nie pozwól mi upaść, prowadź mnie ku światłości.

Przeszedłem na drugą stronę i tu odnalazłem taką oto sentencję: „Gdy tedy obietnica wejścia do odpocznienia Bożego jest jeszcze ważna, miejmy się na baczności, aby się nie okazało, że ktoś pozostał w tyle”. Na drugiej stelli wykonanej w XIX wieku i poświęconej pamięci Korneliusa Kohna i Simona Lebbego moją uwagę zwróciły ciekawe ornamenty. Zauważyłem też, że Margerita nie patrzy na nagrobki, lecz na mnie, na moje oczy, jakby interesowało ją, co przykuje mój wzrok.

— Jedźmy do hydroplanów — zadecydowałem.

Wróciliśmy do auta i pojechaliśmy do Górek Wschodnich. Z ciekawością przyglądałem się drewnianym domom rybackim, budynkowi wędzarni. Skręciłem w lewo na teren zajęty przez stację badawczą Uniwersytetu Gdańskiego. Zatrzymałem Horcha w pobliżu parterowego, drewnianego baraku. Zachwycił tym, jak został odnowiony, ale i murowanym, okrągłym kształtem ściany szczytowej, piękną werandą. Wiedziałem, że w środku jest także oryginalny, przepiękny kominek. To był budynek dworca lotniczego, z poczekalnią i restauracją, przed którym zatrzymywały się hydroplany. Linia pasażerska została uruchomiona w latach trzydziestych. Na trasie, głównie do Szwecji, latały Junkersy G24. W 1932 roku wylądował tu największy wówczas hydroplan: Domier-1929 o rozpiętości skrzydeł wynoszącej 48 metrów. Napędzało go dwanaście silników, każdy o mocy 600 koni mechanicznych. Na pokładzie mogło znajdować się 72 pasażerów. Ta eksperymentalna konstrukcja po locie dookoła świata zawitała właśnie do Gdańska i miała swoją bazę w Górkach Wschodnich. Startujące hydroplany kierowały się na prosty odcinek Śmiałej Wisły, gdzie mogły bez problemu nabierać prędkości do startu.

Tym razem to ja obserwowałem Margeritę ciekawą, co ją zainteresuje w tym miejscu. Ona z zainteresowaniem oglądała drewniany budynek gospodarczy nad brzegiem i dawną wieżę kierującą startami i lądowaniami w porcie. Chciałem zobaczyć to miejsce, by zastanowić się, czy tu nie ma skrytki?

Nie wiadomo, jak Forster wy dostał się z wyspy. Mógł od płynąć promem lub barką ze Świbna. W okresie przed drugą wojną światową barki z bronią dla gdańskich oddziałów S S podchodziły przecież pod sam brzeg przy „Forsterówce”. Jednak nazistowski dygnitarz mógł wybrać bardziej ekskluzywną

i mniej rzucającą się w oczy formę ucieczki — hydroplan. Przecież pojawienie się dowódcy obrony Gdańska w porcie w Świbnie, gdzie koczowały tysiące uciekinierów cywilnych i wojskowych, nie mogłoby przejść bez echa. Odlot maszyny byłby zauważony, ale pozostawiał widzom tylko domysły.

Uznałem, że dawna stacja, chociaż zachowała swój wygląd, jest tak gruntownie odremontowana, że nie ukryłaby się tu żadna tajemnica. Opowiedziałem Margericie o wielkim Domierze, o tym jak tłumy widzów z Gdańska

odwiedzały ten szczególny samolot. Potem odwiozłem dziennikarkę do „Bar-tanu”.

— Może jednak skusisz się na kolację? — zagadnęła. — Spędziłam z tobą miłą chwilę.

— To ja ci dziękuję za pomoc w sprzedaży czereśni.

— To nic trudnego. Rodzice mieli winnicę, sad z mandarynkami, ogród pełen pomidorów. Od małego wystawiałam na targowiskach i handlowałam. To co z tą kolacją?

— O dwudziestej? — zgodziłem się.

— Będę czekała, a jak nie przyjdiesz, to wtedy ja do ciebie przyjdę — posłała mi całusa i odeszła w kierunku hotelu.

Widząc minę pana Klemensa najpierw wyjąłem pieniądze z utargu. Przedstawiłem mu wynik handlowy i przyznałem, że pomagała mi Margerita.

— Ładna jest ta sikorka — stwierdził pan Klemens.

Ta ocena brzmiała frywolnie, ale mina rybaka była śmiertelnie poważna.

— Ładna — przyznałem.

— Toś wpadł po same uszy — gospodarz smutno pokręcił głową. — Zjedz obiad, zdrzemnij się, bo o trzynastej przyjdą te same robotnice co wczoraj, żeby zrywać owoce. Dziś masz więcej restauracji do objechania.

— Umówiłem się na dwudziestą.

— Z tą sikorką?

— Tak.

— A ta poprzednia oczu ci nie wydłubie?

— Ona ma już kogo innego na oku.

— Szybko to się teraz ludziom zmienia — rybak pokręcił głową. Na obiad były gulasz wołowy, kasza i ogórki małosolne. Potem rozwiesiłem sobie hamak między dwoma słupkami w sadzie i położyłem się w nim. Rozłożyłem przed sobą gazetę, którą zabrałem z samochodu. Rafał, tak jak obiecał, zostawił w niej kopie map Wyspy Sobieszewskiej, przedwojennej i powojennej. Studiowałem je z zainteresowaniem, ale słysząc dziewczęce głosy złożyłem je i z powrotem wsunąłem między strony gazety.

Z kantorka wydałem dziewczętom kosze. Magda była ostatnia. Nim się zorientowałem, narzuciła mi kosz na głowę i kopnęła mnie w tyłek.

— O co ci chodzi?! — wrzasnąłem zrzucając kosz.

— Powiedziałeś Rafałowi!

— Co mu powiedziałeś?!

Dziewczyny idąc do drzewek z ciekawością oglądały się w naszą stronę.

— Rafał w południe wrócił z Sobieszewa, wziął mnie na bok i powiedział, że jakiś Arek mnie szuka. Rozpytywał chłopców o ładną dziewczynę, to znaczy o mnie. Podobno obiecywał pomoc w odnalezieniu mnie. O co może chodzić?

— Arek cię szuka — powstrzymałem śmiech. — Ciekawe, jak dyrektor Ciupaciński poradzi sobie z twoim Romeo?

— O czym ty mówisz?

— Słyszałem, że z dużym zaangażowaniem szukasz sobie pracy.

— Co masz na myśli? — Magda stała podpierając się pod boki.

— Kolacyjki z panem dyrektorem.

— Zazdrośnik! — krzyknęła mi w twarz. — Podobno już nie jesteśmy parą, więc po co te sceny?!

— Nigdy nie byliśmy parą — zauważyłem.

— I całe szczęście! Nic dziwnego, że jesteś starym kawalerem, bo z tobą nie da się normalnie żyć! Tak, rozmawiam o pracy, a ty od razu wyobrażasz sobie nie wiadomo co!

— Nie wypominaj mi starokawalerstwa, bo sama popadniesz w staropanieństwo.

— Ho, ho! — Magda pokręciła głową. Podniosła kosz i ruszyła do wyjścia. — Czemu grozi mi staropanieństwo? — zapytała zatrzymując się w progu kantorka.

— Nieprędko znajdziesz dostatecznie tolerancyjnego partnera.

— Wystarczy, żeby mnie kochał i miał do mnie zaufanie — Magda wygłosiła

swój manifest i wyszła.

Zbiór czereśni trwał do siedemnastej. Wypłaciłem dziewczętom ich należność i załadowałem skrzynki do samochodu. Musiałem się pospieszyć, by zdążyć rozwieźć towar po lokalach. Na szczęście zdołałem wrócić na dziewiętnastą trzydzieści. Umyłem się, przebrałem w letnią lnianą marynarkę i przypomniałem sobie o mapach od Rafała. Zszedłem do kantorka, ale gazety z mapami już nie było na półeczce pod blatem. Byłem tym przybity, ale podejrzewałem, że to Magda zabrała mapy. W końcu, kiedy tu przyszła, mogła zobaczyć, że coś chowam do gazety. Powędrowałem do pana Klemensa.

— Mogę na wieczór pożyczyć samochód? — poprosiłem go.

— Mam dla ciebie coś lepszego — uśmiechnął się. — Od razu pomyślałem, że młodzieniec na randkę nie może iść na piechotę czy jechać na rowerze — zadowolony wskazał na coś przykrytego brezentem, stojącego na podwórku.

Po kształcie rozpoznałem, że to jest motocykl, ale podnosząc zasłonę nie spodziewałem się, że to będzie wspiane bmw z lat pięćdziesiątych.

— Przyjechałem na nim z Niemiec w 1958 roku — wyznał pan Klemens.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

KOLACJA Z MARGERITĄ • WIECZÓR NA PLAŻY • ZAINTERESOWANIA DZIENNIKARKI • UCIECZKA KACPRA • RAJD TERENOWY • AREK W SOBIESZEWIE

Motocykl był piękny, klasyczny w kształcie, z wysmakowanymi chromowaniami. Basowy dźwięk silnika nie był natrętny, ale od razu było wiadomo, że to maszyna z charakterem. Kiedy usiadłem na motorze poczułem, że jest jak dobrze wyszkolony rumak, pewnie trzymający się ziemi, silny i szybki. Można się w nim było zakochać od pierwszej jazdy. Założyłem kask, skinieniem głowy podziękowałem panu Klemensowi i wyjechałem na asfaltówkę na wale. To było cudowne uczucie móc tak jechać rozkoszując się szumem wiatru, pomarańczową kulą słońca nad horyzontem i pustą drogą. Tak jak przypuszczałem, motocykl był doskonały, świetnie kładł się w zakręty, a przyspieszał jakby od niechcienia, początkowo wolno, by po chwili nagle gnać, ile tylko było mocy w silniku.

Dojechałem do miejsca, gdzie szosa oddalała się od nurtu Wisły. Tuż za łukiem drogi przyhamowałem, bo na poboczu stało ciemnogrnatowe audi. Czterech młodych osiłków otaczało jakiegoś chłopaka. Na moment ryk bmw odwrócił uwagę czwórki i wtedy ten piąty skoczył w krzaki i uciekł. Przejechałem wolno koło samochodu starając się zapamiętać numer rejestracyjny i twarze młodzieńców. Nie wyrażały one niczego prócz buty i niemego pytania: „Chcesz, żebyśmy cię obili?”. Złościło mnie, że nie było żadnej siły, która by spacyfikowała takie towarzystwo. Miałem nadzieję, że chłopak, którego otaczali, uciekł im na dobre.

To wydarzenie zepsuło mi humor. Nie byłem do końca pewny, ale wydawało mi się, że tym chłopaczkiem, który uciekał, był Kacper. Wolno jechałem i w lusterku zobaczyłem audi. Mógłbym im uciec, ale wolałem ich przepuścić. Audi z głośnym rykiem silnika zrównało się ze mną. Wszyscy osiłkowie zwrócili twarze w moją stronę. Udawałem, że tego nie widzę. Pasażer siedzący z przodu powiedział coś do kierowcy i wskazał na przydrożne lipy. Szosa między drzewami zwężała się i wyczułem, co szykują mi młodzieńcy z audi. Lekko podkręciłem manetkę gazu. Rozległ się ryk jakbym chciał przyspieszyć, a bmw szybciej potoczyło się do przodu. Audi uczyniło to samo. Kiedy byliśmy kilka metrów od lip, przyhamowałem stając na przednim kole. W tym samym momencie kierowca audi wykonał ruch jakby chciał zepchnąć mnie na drzewo. Miękkie poboczne ściągnęło go i bokiem auta otarł się o pień. Samochód zwolnił, a ja przeniknąłem koło niego. W lusterku widziałem, jak osiłkowie wysiedli i podziwiali obtarcie lakieru. Zniknęli mi z oczu, kiedy przejechałem kolejny zakręt. Dotarłem do ulicy Turystycznej, skręciłem w lewo, potem w prawo pod hotel „Bartan”. Była równo

dwudziesta.

Margerita siedziała na ławce przed wejściem paląc długą ciemną cygaretkę. Przyglądała się motocyklowi z zainteresowaniem. Pierwszy raz widziałem ją ubraną w elegancki strój, długie spodnie z szerokimi nogawkami, miękko otulające jej smukłe nogi. Założyła też białą bluzkę z żabotem i krótką kamizelkę. Żółcisty odcień jej skóry przyjemnie kontrastował z barwą ubrania, a czarne włosy delikatnymi falami spływały jej na ramiona.

— Nie wiedziałam, że masz taki piękny motocykl — uśmiechnęła się na powitanie. — Może później pojedziemy nim na przejażdżkę. Uwielbiam motory.

— Dobrze — zgodziłem się.

Kask zostawiłem w recepcji i przeszliśmy do restauracji. Kelner, średniego wzrostu, z wąsikami a la Rudolf Valentino, błyskawicznie pojawił się przy naszym stoliku.

— Wszystko już jest przygotowane, tak jak pani zamówiła — powiedział do niej doskonałą francuszczyzną

— Dziękuję — Margerita obdarzyła go promiennym uśmiechem. — Jesteś moim gościem i nawet nie myśl o rachunku — Margerita zwróciła się do mnie, kiedy tylko kelner oddalił się.

— Czemu rozmawiasz z nim po francusku?

— Specjalnie wybrał ten język, żeby trochę w nim się podszkolić.

— A czemu postanowiłaś mnie zaprosić na kolację?

— Czy to źle, kiedy kobieta przejmuje inicjatywę i chce bliżej poznać interesującego mężczyznę? — jej słowa, odrobinę niski i ciepły tembr głosu, zapach, wzrok hipnotyzowały mnie.

Pilnowałem się, by nie rozpuścić się w tym nadmiarze dobroci. Nigdy nie byłem typem, za którym uganiały się kobiety i teraz zachowanie Margerity wzbudzało moją nieufność. Wiedziałem, że niewiasty lubią być adorowane, obsypywane komplementami, by stwarzać wokół nich romantyczną atmosferę. Nie potrafiłem tego czynić, a może nie chciałem oczekując, że spotkam kiedyś tę jedyną, która będzie ceniła mnie za to, jakim jestem, a nie jakie potrafię robić wrażenie. Przecież nie można całego życia spędzać na kolacjach przy świecach.

— Czuję się trochę niepewnie — wydusiłem z siebie. — Czemu uważasz mnie za godnego uwagi? Chyba nie zależy ci na tajemnicach polskich muzeów?

— A polskie muzea mają jakieś tajemnice?

— O! Bardzo dużo.

Przerwaliśmy rozmowę, bo pojawił się kelner.

— Na przystawkę filety śledziowe z borówkami i piklami ogórkowymi — powiedział stawiając przede mną talerz. — A do tego wytrawne wino francuskie Muscadet Sur Lie — dodał nalewając nam wino.

Nieco żałowałem, że mogłem napić się tylko odrobinę trunku i nie dane mi było zjeść całego talerza takich filetów. Smak potrawy był doskonały, kombinacja ryby i borówek typowo kaszubska.

— Czym zajmujesz się jako muzealnik? — Margerita zapytała mnie.

— Przypadkami kradzieży, obrotu zabytkami będącymi polskim dziedzictwem kulturowym, śledzeniem aukcji dzieł sztuki, czasami poszukiwaniami skarbów, ale nie takimi z łopata i wykrywaczem metali — wyjaśniałem. — Trochę żałuję, że moja praca często ma charakter wyłącznie papierkowej roboty. A ty? Tylko piszesz o poszukiwaniach skarbów?

— Tylko piszę. Nasze czasopismo często jest jednym ze sponsorów wypraw poszukiwawczych. Jako mecenas takich przedsięwzięć też czerpiemy z tego zyski, ale największe pochodzą ze sprzedaży powierzchni reklamowej i samych egzemplarzy pisma.

— Teraz zainteresowaliście się Polską?

— Tak, ale nie powinno cię to jako muzealnika niepokoić. Nie wchodzimy w nielegalne poszukiwania, raczej staramy się współpracować z władzami.

— Raczej? — zwróciłem uwagę na to słowo.

— Kiedy inaczej się nie da, trzeba coś zrobić półlegalnie. W niektórych krajach urzędnicy mają bardzo głębokie kieszenie — roześmiała się.

W czasie rozmowy podano nam aromatycznie pachnący krem z borowików z chipsem beczkowym, po nim cielęcinę w sosie tymiankowo-miodo-wym z pieczonymi ziemniakami i puree marchewkowym, a do tego hiszpańskie Marques de Riscal. Zapamiętałem sobie, żeby przy najbliższej okazji spróbować przygotować jakieś mięso w takiej marynacie jak przyrządzono tę cielęcinę.

— Jaki najbogatszy skarb udało ci się odnaleźć?

— Wydawało mi się, że znalazłam taki. Miał na imię Antonio, był wysokim, smagłym brunetem, za którym oglądały się wszystkie kobiety. Byliśmy małżeństwem zaledwie rok.

— Czemu się rozeszliście? — pytałem zwracając uwagę, że Margerita umiejętnie uciekała od tych najciekawszych tematów dotyczących jej pracy.

— Uważał, że miejsce kobiety nie jest w bibliotekach i na pokładach statków poszukiwaczy skarbów.

— Może sama nie potrafisz odnaleźć odpowiednich proporcji między pracą a życiem prywatnym?

— A kto je w tych czasach zachowuje? Wybacz, ale ty też już nie jesteś w takim wieku, by z narzeczoną wybierać się na wyprawy kajakowe. Zauważyłam, że nagle z Magdą rozeszliście się. O co poszło?

— Trudno to wyjaśnić.

— To już tak na stałe?

— Chyba tak.

— Ty będziesz handlował czereśniami, a ona będzie kierowniczką tego ośrodka w „Forsterówce”?

— Skąd wiesz, że stara się o to stanowisko?

— Spotkałam ją z tym dyrektorem w restauracji. Wypiłam z nimi kawę, uważnie słuchałam. Jestem dziennikarzem i potrafię wyciągać wnioski nawet z półprawd.

— Niczym agent wywiadu.

— Tak — Margerita roześmiała się.

Podano nam deser: śliwki z rumem w cieście na sosie zabajone i kawę bursztynową z nalewką z bursztynu i rumu.

— Pojedziemy gdzieś w odludne i spokojne miejsce?

— Teraz? Wieczorem? — zdziwiłem się.

— Boisz się? To może pójdziemy nad morze?

Przystałem na tę propozycję, podziękowałem za wspaniałą kolację. Chciałem poczekać na Margeritę w holu, ale ona wzięła mnie za rękę i pociągnęła na schody. Minęliśmy wspaniałe utrzymane akwarium. Na ścianach mogłem podziwiać oprawione w eleganckie ramy grafiki z widokami starego Gdańska, dary władz miasta i regionu. Weszliśmy na drugie piętro. Pokój Margeri-ty znajdował się na lewo od schodów, na rogu. Meble, styl wnętrza przypominał mi niemieckie hotele — wygodne i funkcjonalne. Margerita posadziła mnie w fotelu, a sama z szafy wyjęła ubranie i zamknęła się w łazience, żeby się przebrać. Na biurku koło telewizora leżał laptop, a na szafce obok stos książek i wydawnictw poświęconych historii Pomorza, drugiej wojnie światowej, nurkowaniu. Kilka zwróciło moją uwagę, bo były w języku polskim, a jeszcze ciekawsze było to, że między strony były wsunięte małe karteczki, jakby Margerita zaznaczała interesujące ją miejsca.

Przebranie się zajęło Margericie tylko chwilę. Pojawiła się w bojówkach, trampkach, obcisłej koszulce i luźnej bluzie. Włosy spięła w kucyk. Zauważyła, że patrzyłem na książki i natychmiast odwróciła je grzbietami do ściany.

— Przepraszam, trochę bałaganię, ale dlatego lubię mieszkać w hotelach, bo nie muszę sprzątać — tłumaczyła się.

Szybko wstałem i wyszliśmy z „Bartanu”. Margerita poprowadziła mnie w kierunku cmentarza, niedaleko hotelu. Przeszliśmy główną alejką i dotarliśmy do

ulicy Falowej, tej samej, którą nad morze wiozł nas Rafał. Moja towarzyszka wsunęła mi rękę pod ramię.

— Ale z ciebie sztywniak — szepnęła mi do ucha.

— Usiłujesz mnie obrazić?

— Ty się na mnie nie obrazisz.

— Czemu? — byłem trochę oburzony jej pewnością siebie.

— Bo masz słabość do kobiet — Margerita położyła mi głowę na ramieniu. Kiedy tak szliśmy aleją przez las, gdzie mijali nas turyści na rowerach, młode pary przesiadywały na ławeczkach trzymając się za ręce, tuląc się i skradając sobie pocałunki, uwagę wszystkich przykuwała Margerita. Jej uroda, koci chód, figura nie mogły nikogo pozostawić obojętnym.

Doszliśmy nad morze. Margerita zrzuciła trampki i wsadziła je do kieszeni mojej marynarki. Pociągnęła mnie po plaży na wschód, z dala od ludzi. Słońce już zaszło i niebo opanowały gwiazdy i księżyc.

— Wykąpiemy się? — Margerita patrzyła mi w oczy. — Uwielbiam kąpiele w morzu.

— W nocy? Przeziębisz się!

Margerita nie czekając na mnie zrzuciła z siebie ubranie. Miała na sobie jednoczęściowy, czarny kostium kąpielowy. Rozpędziła się po piasku i pobiegła w kierunku wody. Rzuciła się na fale. Jej strój połyskiwał jak skóra fok. Zanurkowała, na dłuższą chwilę zniknęła pod wodą. Jej głowę zauważyłem kilkanaście metrów od brzegu. Pływała doskonale. Po kilku minutach wyszła z wody. Czy tak wyglądała Afrodyta, która wynurzała się z morskich pian u wybrzeża Cypru? Z pewnością tak.

Wytarła się swoją koszulką, wycisnęła mokre włosy i usiadła na piasku. Okryłem ją swoją marynarką, żeby nie zmarzła.

— Nie lubisz kąpiele? — zapytała. — Przecież woda jest tak podobna do powietrza, a pływanie do latania. Wolność, swoboda. Oba środowiska nigdy nie będą należały do nas i może to dobrze? Spotkałam kiedyś człowieka, który twierdził, że ludzie to rak Ziemi. Niszczymy ją, nie szanujemy tego co mamy i jak nowotwór zginiemy razem ze swoim żywicielem. To był typ walczącego ekologa. Kiedyś wysadzał w powietrze laboratoria koncernów kosmetycznych prowadzących eksperymenty na zwierzętach. Po odsiedzeniu długiego wyroku uspokoił się i ograniczył do pisania manifestów.

— Żyjemy w rzeczywistości ciągłej sprzedaży, gdzie „być” przestaje cokolwiek *znaczyć* — powiedziałem.

— Ty jesteś poetą? — Margerita wyglądała na uradowaną.

— Nie, mam tylko dobrą pamięć, a to były słowa z piosenki, która ostatnio wpadła mi w ucho — wyjaśniłem.

— Może jednak wykąpiemy się? — Margerita zachęcała mnie.

— Następnym razem wezmę ze sobą kąpielówki — odpowiedziałem. Margerita położyła się plecami na piasku i roześmiała się.

— Gdybym chciała się wykapać, to brak stroju kąpielowego nie byłby dla mnie przeszkodą — stwierdziła zalotnie mrużąc oko.

— Następnym razem — zapewniałem ją wstając.

Ta kobieta była zbyt silną pokusą i musiałem od niej jak najszybciej się uwolnić, bo instynkt podpowiadał mi, że to co się dzieje wokół mnie jest wielką mistyfikacją, grą. Margerita podniosła się i poprosiła, żebym otrzepał piasek, który przykleił się jej z tyłu do stroju kąpielowego. Potem założyła spodnie i bluzę i pomaszerowaliśmy do hotelu. Było chłodno, więc wciąż miała na sobie moją marynarkę. Wokół nas ciemność rozświetlały pojedyncze latarnie. Milczeliśmy. Kiedy patrzyłem z boku na Margeritę, widziałem, że lekko uśmiechała się, jakby bawiły ją jej własne myśli. Mimo tego pogodnego nastroju, w jej oczach dostrzegałem błyski jak u drapieżnika, który w napięciu czeka w zasadzce na swoją zdobycz.

Na schodach hotelu Margerita zarzuciła mi ręce na szyję. Zbliżyła swoje usta do moich, ale ja delikatnie odsunąłem się.

— Czemu? — rzuciła głosem pełnym wyrzutu, odwróciła się i wbiegła do hotelu.

Widziałem jej cień na oknach klatki schodowej, kiedy wchodziła na górę. W pokoju zapaliło się światło. Przypomniało mi się, że w marynarce były moje dokumenty i kluczyki do motocykla. Poprosiłem recepcjonistkę, żeby telefonicznie uprzedziła Margeritę, że idę po ubranie i wszedłem po schodach. Wykorzystałem tę okazję do tego, by lepiej przyjrzeć się hotelowemu wnętrzu. Zapukałem do drzwi pokoju Margerity. Otworzyła i przez szparę wysunęła do mnie marynarkę. W tle słyszałem coś, co brzmiało jak szloch. Chciałem coś powiedzieć, ale Margerita zamknęła mi drzwi przed nosem.

Wziąłem kask, wsiałem na motor i odjechałem do domu pana Klemensa. Wjeżdżając na podwórze zauważyłem, że gospodarz siedzi na werandzie, pali cygaro i czyta gazetę przy lampie stojącej na stole. Zerknąłem na zegarek. Zbliżyła się pomoc.

— Warto było? — pan Klemens uśmiechnął się.

— Nie dla mnie ten kanarek — odpowiedziałem.

— Tak ja też sobie myślałem — rybak pokiwał głową. — Teraz idź spać, bo rano czeka cię robota.

Posłusznie poszedłem do pokoju i szybko ułożyłem się do snu. Świtało, kiedy poczułem, jak ktoś szarpie mnie za ramię. Myślałem, że to pan Klemens, ale nad moim łóżkiem stał Rafał.

— Co się stało? — zdziwiłem się. Potem przypomniałem sobie przygodę z osiłkami z audi. — Chodzi o Kacpra? — domyśliłem się.

— Ty wiesz, gdzie on jest? — Rafał zapytał z nadzieją w głosie. Powiedziałem mu, co widziałem wieczorem, a Rafał wyjaśnił mi, że w nocy przyszedł do niego Tomek. Mówił o ucieczce Kacpra, że chłopak prosił, by koledzy nic nie mówili Rafałowi, bo do północy wróci. Nie wrócił.

— Powiadomiłem policję, trudno, jego zniknięcie zaszkodzi mi, ale tego chłopaka trzeba odszukać — powiedział przyjaciel.

— Niech sprawdzą kierowcę audi — zaproponowałem kończąc ubieranie się. — Trzeba też przeszukać pola i łąki. Pójdę porozmawiać z panem Klemensem, żeby mnie zwolnił z dzisiejszych obowiązków.

— Nie rób sobie problemów — powiedział Rafał.

Mimo jego protestów, bez problemów załatwiłem u rybaka zwolnienie z pracy. Obiecałem wrócić o dziewiątej po owoce, które miałem odwieźć do sklepów. Pan Klemens miał pilnować dziewcząt od Rafała kierowanych przez Magdę. Miały spędzić cały dzień, bo kończył się okres zbierania czereśni. Chwyciłem kromkę chleba i kawałek kiełbasy, wypiliśmy kubek herbaty i pobiegłem do garażu po Horcha. Kiedy wyjeżdżałem, pan Klemens dał mi dużą lornetkę, jakiej używają ornitolodzy, i oddał mi mój telefon komórkowy.

Najpierw z Rafałem pojechaliśmy na miejsce, gdzie stało audi. Wokół nie było ani śladu szamotaniny, pościgu. Wydaje się, że po prostu Kacper uciekł i albo się zgubił, albo wciąż ukrywał się gdzieś wśród pól. Rafał wręczył mi współczesną mapę Wyspy Sobieszewskiej i podzieliliśmy się terenem, jaki mieliśmy sprawdzić. Podjechał do nas radiowóz z komendantem posterunku w Sobieszewie. Był młody, ale wyglądał i na dobrego człowieka, i rzetelnego stróża prawa.

— Witam, panie Rafale! — wysiadł i otarł pot z czoła. — Ale zrobiła się afera. Ludzie dzwonią i pytają, czemu radiowozy stoją przy moście i na śluzie w Przegalinie, po co policyjna motorówka pływa po Śmiałej Wiśle i czemu policjanci już są przy przeprawie promowej w Świbnie.

— Wie pan, jak ważny jest ten chłopak?

— Wiem — policjant pokiwał głową. — Ale ludzie boją się, że chce pan w ośrodku trzymać takie podejrzanе towarzystwo i teraz mają próbkę tego, co się dzieje, kiedy ucieknie choćby jeden. Wszyscy myślą, co by było, gdyby zważyło ich

dwudziestu? Pan rozumie, jak to wygląda?

— Postaramy się z kolegą poszukać Kacpra na łąkach — wyjaśnił Rafał.

— To pan miał wczoraj zatarg z tymi kolesiami z audi? — policjant przyglądał mi się z uwagą. — Wczoraj jeździł pan motorem, dziś samochodem pana Klemensa. Czym pan się zajmuje?

— Z zawodu jestem muzealnikiem, a tu pomagam panu Klemensowi w sadzie i wypoczywam.

— Pan jest z jego rodziny?

— To mój serdeczny przyjaciel — wtrącił Rafał.

— Pan będzie tu jeszcze kilka dni? — upewniał się policjant. — Wie pan, jak to jest, może trzeba będzie składać jakieś wyjaśnienia...

— Będę — zapewniałem.

Komendant odjechał w stronę Przegaliny, a my z Rafałem rozdzieliliśmy się. Wiele razy miałem okazję jeździć samochodem terenowym po polnych drogach. Mielśmy jakiś czas jeepa cherokee, ale jazda żadnym autem, może oprócz wehikułu, nie dawała tyle przyjemności co przejażdżka Horchem. Był, mimo zabytkowego wieku, w idealnym stanie technicznym. Przypuszczałem, że pan Klemens musiał wmontować w niego nowe podzespoły, a pewnie i wymienić silnik na nowy. W normalnych warunkach taki rajd po bezdrożach dałby tylko radość. Teraz musiałem zachować czujność. Przystawałem co pięćdziesiąt metrów i z lornetką w dłoni wchodziłem na maskę pojazdu, by z takiego podwyższenia lustrować okolicę. Kilometr dalej widziałem Rafała, który czynił to samo.

Łąki i pola były poprzecinane rowami melioracyjnymi, nad którymi po-przerzucano rachityczne mostki lub kładki. Zatrzymałem się przy jednym z nich. Przy brzegu zobaczyłem świeże ślady czyjejś wspinaczki po zabłoconej krawędzi rowu. Zgasłem silnik i przebiegłem po kilku ułożonych w poprzek balach drewna. Wokół mnie rosły wysokie do pasa trawy, chwasty i polne kwiaty. Wyraźnie widać było, którędy ktoś tu przechodził. Szedłem kierując się tym szlakiem, aż dotarłem do kępy osik, pod którymi siedział skulony Kacper. Patrzył na mnie wystraszonymi oczami.

— Cześć! — wyciągnąłem do niego dłoń. Uścisnął ją, ale słabo. Z kieszeni wyjąłem chleb i kiełbasę. Podzieliłem się z nim. Jadł łapczywie, jakby od kilku dni głodował.

— Mogę zawiadomić Rafała, żeby odwołał poszukiwania? — zapytałem Kacpra wyjmując telefon komórkowy.

Pokiwał głową, że się zgadza. Włączyłem telefon i nie zwracając uwagi na kilkanaście wiadomości tekstowych, jakie otrzymałem, wystukałem swoją do Rafała.

— Załatwione — powiedziałem chowając urządzenie do kieszeni. — Powiedz mi, czemu jesteś taki ważny? Chłopak spojrzał na mnie zdziwiony.

— Kiedy Rafał wszczął alarm, że zniknąłeś, natychmiast obstawiono wszystkie wyjazdy z wyspy i nawet sprawdzono właściciela ciemnogranatowego audi, przed którym wczoraj uciekałeś — wyjaśniałem. — To ja jechałem tym motocyklem — dodałem.

— Mam zeznawać w sądzie przeciw jednemu gangsterowi — Kacper wydusił z siebie. — Pan Rafał wymyślił, że wywiezie mnie tu.

— Jak cię znaleźli?

— Przez siostrę. Tylko ona wiedziała, że tu jestem, ale zakochała się w jednym z tych... — zawiesił głos. — Przyjechali wczoraj do „Forsterówki” i przez Damiana przekazali mi list, w którym wyznaczali mi spotkanie grożąc, że inaczej zrobią coś siostrze.

— Czemu nic nie powiedziałeś Rafałowi?

— On wezwałby policję i byłaby afera.

— A tak jej nie ma? Kacper nie odpowiedział.

— Nie rozumiesz, że Rafał chce ci pomóc? On od tego jest.

— Jaki on ma w tym interes?

— Żadnego. Chce wam pomóc wyrwać się z klatki, w jakiej się znaleźliście.

— Tego nie da się zrobić! — Kacper ze złością uderzył pięściami o ziemię. — Siostra mówi, że jestem frajer, bo nie chcę jej pomóc. Rodzicom jest chyba wszystko jedno, byleby nikt im nie przeszkadzał w robieniu kariery. Wśród kumpli musisz być lizusem, by być uznanym „za swojego”, ale musisz do tego robić same głupoty. Jedynym miejscem, gdzie mogę czuć się normalnie, jest internet. Na forum możesz pisać o tym, co myślisz i czujesz, ale zawsze pojawia się jakiś idiota, który swoimi tekstami udowadnia, jaki jestem śmieszny.

— To frustraci rozładowujący w ten sposób swoje kompleksy. Najczęściej to tacy sami ludzie jak ty, tylko nie potrafią krytycznie spojrzeć na siebie. Uważają, że to całe otoczenie ich krzywdzi, a oni są bez winy.

— Mówi pan zupełnie jak pan Rafał.

— Masz pecha, trafiłeś na dwóch świrów. Kacper parsknął śmiechem.

— Kiedy masz zeznawać? — zapytał Kacpra.

— Za tydzień.

— Pojedziemy na jakąś dobrą rybę do Sobieszewa, a potem odwiozę cię do Rafała...

— A co będzie z moją siostrą?

— Zadzwonimy do Rafała, żeby załatwił jej policyjną ochronę.

— Zna pan odpowiedź na każde trudne pytanie?

— Wszystko trwa, dopóki sam tego chcesz — zanuciłem mu fragment piosenki.

— Pan też to zna? — Kacper ucieszył się. — Tak łatwo o tym śpiewać...

— Skoro pamiętasz te słowa, to znaczy, że trafiły one do ciebie i wierzysz w nie.

Zaprowadziłem Kacpra do samochodu, wyjechaliśmy z łąk i pojechaliśmy do Sobieszewa. Blisko domu kultury znalazłem czynną smażalnię ryb i zamówiliśmy porcje sandacza z frytkami i ogórkiem małosolnym. Kończyliśmy jeść, zadzwoniłem do Rafała, żeby powiadomić go o sytuacji i nagle ku zdziwieniu Kacpra prawie zanurkowałem pod stół. Zobaczyłem, jak Arek, były amant Magdy, maszeruje po chodniku niczym robot-morderca kołyszając ramionami i rozglądając się na boki. Nie zobaczył mnie tylko dlatego, że obejrzał się za samochodem, którym jechał dyrektor Ciupaciński. Na twarzy Arka malowało się niebotyczne zdziwienie. Wiedziałem czemu. Zdążyłem zauważyć, że z dyrektorem jechała Magda, która w samochodzie wykonała podobny ruch jak ja przy stole.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

DYLEMATY WIKTORII • PRZEDSTAWIENIE W „FORSTERÓWCE” • ROZEJŚCIE GOŁĄBKÓW • W SCHRONIE GAULEITERA • WYJŚCIE SPOD ZIEMI • CO JEST WAŻNE W ŻYCIU?

Poczułem, jak Kacper klepie mnie w plecy.

— Zakrztusił się pan? — pytał z troską.

— Ciszej! — wysyczałem. — Ten wielki facet już sobie poszedł?

— Tak, w stronę piekarni.

Odetchnąłem z ulgą i wynurzyłem się spod stołu. Z daleka widziałem, jak Arek bez trudu torował sobie drogę przez tłum turystów.

— Co się panu stało? — Kacper przyglądał mi się z ciekawością.

— Ukrywam się przed tym olbrzymem — wyjaśniłem sięgając po portfel, żeby uregulować rachunek. — To były narzeczony Magdy, który chyba nie uznał, że zerwał z nią.

— Pan go dobrze zna?

— Można powiedzieć, że otarliśmy się o siebie — podałem kelnerce pieniądze.

— Jedźmy do „Forsterówki”.

W ośrodku byliśmy po kilku minutach. Przy bramie czekali na nas zniecierpliwiony Rafał i czterej mężczyźni, których wygląd i badawcze spojrzenia

wskazywały, że są policjantami w cywilnych ubraniach.

— Kacper — Rafał objął chłopca ramieniem. — Nie musiałeś uciekać. Na szczęście nic ci się nie stało — prowadził podopiecznego w stronę budynku gospodarczego „Forsterówki”, gdzie chłopcy mieli swój pokój.

W tym czasie policjanci przyglądali mi się, ale nie odzywali ani słowem. Rafał i Kacper wrócili po kwadransie. Chłopak niósł swoją torbę i miał łzy w oczach. Posłusznie wsiadł do auta z przyciemnionymi z tyłu szybami. Policjanci błyskawicznie odjechali.

— Postanowiono, że Kacper poczeka do procesu w bezpiecznym miejscu — wyjaśniał mi Rafał. — Przywiozą go tu zaraz po zeznaniach. Jego siostra też już jest pod opieką policji. Co za świat, żeby nie przepuścić nawet takiemu dziecku!

— Gdzie są chłopcy?

— Wszyscy poszli do sadu pana Klemensa.

— A Magda?

— Pomaga dyrektorowi w inwentaryzacji obiektu. Na razie siedzą, piją kawę i jedzą ciasto. Chcesz porozmawiać z Magdą?

— Nie — odwróciłem się i skierowałem do Horcha.

— Pojadę za tobą — rzucił Rafał.

Po kwadransie byliśmy już w sadzie pana Klemensa. Przejąłem od gospodarza jego obowiązki ekonoma, a Rafał opowiedział mi o tym, jak odszukałem Kacpra. Do obiadu zbierałem owoce, notując, kto ile zebrał. Zajęty pracą i planowaniem co powinienem zrobić, by wreszcie pan Klemens zdradził mi swoje tajemnice, zauważyłem tylko, jak Rafał chodził od drzewa do drzewa, między krzakami porzeczek i o czymś intensywnie rozmawiał z dziećmi. Ciekawiło mnie, co im mówił, bo Wiktorja za każdym razem jak przychodziła ważyć swój zbiór czereśni, patrzyła na mnie z ogromną troską.

— Co cię gnębi? — zapytałem ją za którymś razem.

— Martwię się o pana i panią Magdę — odpowiedziała. — Jak państwa zobaczyłam w tym kajaku, to sobie pomyślałam, że chciałabym tak kiedyś popłynąć.

— Przecież Rafał bierze was na żeglarskie wyprawy.

— Tak, tylko za jakiś czas mój pobyt tu skończy się. Wrócę do domu i co? Skąd wezmę pieniądze na kajak czy żagłówek?

Zrobiło mi się bardzo przykro, bo uświadomiłem sobie, że podopiecznym Rafała dorośli ukradli normalne, szczęśliwe dzieciństwo, że nie musi ono być napchane drogimi prezentami, ale wystarczy odrobina uwagi, niekiedy spacer, zwykłe bycie ze sobą.

— Nie potrafię udzielić ci rady, która nie byłaby banałem — odpowiedziałem po chwili. — Wiesz, że wszystko zależy od nas. Musimy tak myśleć, bo w przeciwnym wypadku zawsze będziemy oczekiwać ciosów od losu i na niego zwałać całą winę. Będziemy chcieli mówić „Piekło to inni”. Warto nosić w sobie jak cenne nasiona wspomnienia takich chwil jak te, które spędzasz tu. Nie można żyć tylko marzeniami, ale warto, by takie życie było twoim celem. Byś wiedziała, że zawsze jest alternatywa, której nikt ci nie za darmo, chociaż inni mają ją od urodzenia.

— Wiem — Wiktorja pokiwała głową. — A co pan robi z Magdą?

— Czy powinienem wyzwać dyrektora Ciupacińskiego na pojedynek?

— Chyba pani Magda tego po panu się spodziewa.

— A co o mnie pomyślisz, jeśli tego nie zrobię?

— Że nie zależy panu na pani Magdzie.

— A ona postępuje uczciwie?

— Może tylko pana sprawdza. Gra nie fair, ale...

— Kobietom to wolno? — domyśliłem się. — Skąd w kobietach bierze się to dziwne poczucie sprawiedliwości? — z niedowierzaniem kręciłem głową.

Żartowałem, ale sam nie potrafiłem tego wyjaśnić. Zapewne jeszcze wielu

psychologów napisze rozprawy na temat tego, jak bardzo różnią się obie płcie, ale nikt nie da rozsądnej recepty na uleczenie tych konfliktów.

— Szowinista! — Wiktoria obróciła się na pięcie i wyszła z kantorka.

— Święta racja! — przyznał wchodzący Rafał dźwigający dwie skrzynki porzeczek. — O czym rozmawialiście?

— O życiu — uśmiechnąłem się. — Uświadomiła mi, co powinienem zrobić w sprawie Magdy.

— To znaczy?

— Chcesz być moim sekundantem? Rafał roześmiał się.

— Jedyne pojedynki, jakie on może wygrać, to takie na paragrafy i obrzucanie się raportami — powiedział. — Udam, że nie słyszałem o twoich planach. Co robisz wieczorem?

— Rozwiozę owoce i pewnie będę miał wolne.

— To przyjedź do nas na przedstawienie. Bądź wcześniej, to pokażę ci schron Forstera.

Oczywiście zgodziłem się. Pan Klemens przygotował dla wszystkich obiad: ziemniaki, kotlety mielone i ogromne porcje mizerii. Taki posiłek wyśmienicie smakował po ciężkiej pracy, w pachnącym latem sadzie. Usiadłem pod rozłożystą gruszą, w pewnym oddaleniu od grupy, ale przyłączył się do mnie Rafał.

— Słyszałem od Kacpra, że ukrywałeś się przed jakimś kulturystą — powiedział siadając obok mnie.

— To był Arek, poprzedni narzeczony Magdy, jeśli dobrze liczę, trzeci w ciągu ostatniego tygodnia.

— O rany, a ja wmawiałem Magdzie, że przyjechał do Sobieszewa. Myślisz, że jej tu szuka?

— Nie wiem. Czy rzeczywiście dotarłby za nią aż tu? Może był w Sobieszewie tylko przypadkiem?

— Przecież ty nie wierzysz w przypadki.

— Nie — przyznałem.

— Czemu nie prowadzisz poszukiwań? Mam wrażenie, że całą uwagę skupiasz tylko na Magdzie.

— Nie mam dobrego punktu zaczepienia do szukania skrytki.

— Czekasz na okazję, łut szczęścia?

— Niestety, tylko to mi pozostało.

Rafał pokręcił głową wyraźnie niezadowolony z obrotu spraw. Pan Klemens przerwał naszą sjęstę zachęcając nas wszystkich, byśmy wzięli się do roboty. Do siedemnastej pracowaliśmy przy zbiorze owoców. Potem załadowałem skrzynki do samochodu i ruszyłem do Trójmiasta. Wróciłem o dziewiętnastej trzydzieści. Szybko wykapałem się pod wodą z pompy i odświeżony pożyczyłem motocykl i pojechałem do „Forsterówki”. Przedstawienie przygotowano w sali jadalnej, a kurtyną były wielkie drzwi. Widzowie zajęli miejsca na ławach i krzesłach ustawionych na podwórzu oraz na kocach rozścielanych na trawie. Nie było czasu, bym zwiedził schron Forstera, bo Rafał był zajęty przygotowaniem, a po terenie ośrodka kręciło się mnóstwo ludzi zaproszonych przez Rafała. Zauważyłem, że jego uwagę zaprzętał szczupły, siwiejący blondyn, w wieku około pięćdziesięciu lat. Uważnie przyglądał się obiektowi i młodzieży. Robił wrażenie spokojnego, zamyślnego człowieka, rozważającego jakiś problem. Zagadywał uprzejmie mieszkańców Sobieszewa i turystów, uśmiechał się, wcale nie wdzięczył się do Magdy.

— To Barski, kandydat na stanowisko Ciupacińskiego — Rafał szepnął mi do ucha.

Widowisko rozpoczęło się punktualnie. Las rozbrzmiał nagle radosnymi rytmami letniego przeboju, a młodzi podopieczni Rafała wyskoczyli zza drzwi, by zaprezentować nam swój taniec. Nigdy nie byłem znawcą baletu ani wielbicielem pokazów tańca synchronicznego, ale teraz obserwując jak dzieciaki wyginają się,

jak Wiktoria, mimo swej tuszy, z całych sił stara się nadażyć za resztą, czułem zalewającą mnie falę wzruszenia. Paulina i Klaudia chyba uważały parkiet za swoje naturalne środowisko. Nawet Olek wykrzesał z siebie dość energii, by włączyć się do tych płaśów. Potem piosenki, krótkie scenki kabaretowe, niekiedy wzorowane na współczesnych reklamach przeplatały się tworząc opowieść o chłopcu, granym przez Damiana, którego wciągnął wirtualny świat fantazji seriali telewizyjnych i gier komputerowych. Kierował nim zły Mózgowiusz, którego — jak się domyślałem — miał zagrać Kacper. Jednak aktorzy w ostatniej chwili wprowadzili poprawki i przedstawienie odbywało się bez niego. Jego złowroga obecność była jednak wyczuwalna, tak samo jak duch „Forsterówki” czy nieobecność Kacpra spowodowana tym, że musiał ukrywać się przed bandziorami.

Na koniec rozległy się oklaski wszystkich zgromadzonych. Rafał stanął przed nami i uniósł ręce prosząc w ten sposób o ciszę.

— Bardzo serdecznie dziękuję wszystkim za przybycie tu — przemówił. — Moja radość jest tym większa, że jak słyszałem mieli państwo obawy związane z tym, co chcemy utworzyć w tym ośrodku. Widzicie, kto będzie tu mieszkał. Dodam jeszcze, że dzieciaki przygotowały to same. Scenariusz, dobór tekstów, piosenek należał do nich. Dałem im wolną rękę.

— To było widać — nagle odezwał się dyrektor Ciupaciński. — Pewne rzeczy w tak młodym wieku powinny być niedozwolone.

— Kiedy ostatnio widział pan młodzież gdzie indziej niż w telewizji? — ripostował Barski. — To jest kwintesencja młodości radości życia, takiej samej jaka pana rozpiełała, kiedy miał pan tyle samo lat co oni...

— I więcej włosów na głowie — rzucił ktoś z tłumu.

Ciupaciński odruchowo poprawił ręką nitki siwych włosów. Do moich nozdrzy dotarł zmysłowy zapach perfum Margerity. Odwróciłem się i zobaczyłem stojącą za mną dziennikarkę, tuż przy drzewie, obok którego był pochowany generał Betzel.

— Cieszy mnie, że zaczynasz wyczuwać mnie na odległość — uśmiechnęła się. — Co robiłeś cały dzień?

— A ty? Wiesz, że muszę pracować w sadzie.

— Wcale nie musisz — przysunęła się do mnie. Za mną rozległo się znaczące chrząknięcie. To była Magda. Ubrana w kolejną sukienkę na cienkich ramiączkach, krojem podkreślającą jej talię.

— Paweł, mogę cię prosić na chwilę? — powiedziała nie odrywając wzroku od Margerity.

— Tak — odparłem nieco zmieszany. — Przepraszam — rzuciłem do Margerity.

Magda energicznie zaciągnęła mnie za „Forsterówkę”, w pobliże głównego wejścia.

— Co ta jędza wlepiła gały w ciebie? — Magda podparła się pod boki.

— A ty nie możesz oderwać się od dyrektora Ciupacińskiego — warknąłem.

— Jesteś zazdrosny?

— Nie — **skłamałem**.

— I dobrze, bo nie masz powodów. Zwyczajnie, staram się o pracę, a ty uganiaasz się za tą czarnulką.

— Czy ty jesteś zazdrosna?

— Nie, ale uważam, że powinniśmy jakoś rozwiązać kwestię naszego narzeczeństwa.

— To ty wymyśliłaś tę bzdurę. Teraz mam cię oficjalnie rzucić czy ci się oświadczyć?

Magda prychnęła jak wściekła kotka.

— Oboje widzieliśmy Arka w Sobieszewie — przypomniałem jej. — Może stąd odpłynę, a twój umięśniony przyjaciel rozładuje swoje frustracje na dyrektorze Ciupacińskim. To uradowałoby kilka osób.

— Jesteś tak samo wredny jak Arek! W tym momencie nadszedł Rafał.

— Tu są nasze gołąbeczki! — ucieszył się. — Godzicie się?

— Wręcz przeciwnie... — odparłem.

— Rozchodzimy się! — dokończyła Magda. Weszła do willi głośno trzaskając drzwiami.

— Goście już poszli do domów, to pokażę ci schron Forstera — Rafał zapalił latarki, które trzymał w dłoniach.

— Jak zakończyło się starcie Ciupaciński kontra Barski?

— Barski wygrał — szepnął uradowany Rafał.

Przeszliśmy około dwudziestu metrów od budynku i Rafał przesunął niepozornie wyglądający, zbutwiały kawałek pnia brzozy. Stopami odgarnęliśmy na bok zeschnięte liście. Zobaczyłem w ziemi betonowy wąż z metalowym obramowaniem pokrytym rdzą i z dwoma uchwytyami. Boki otworu wejściowego miały około sześćdziesięciu centymetrów. Rafał poświecił do środka. Widać było jakąś rurę i kilka schodków.

— Kiedy był tu ośrodek wypoczynkowy, to schron przerobiono na zbiornik przeciwpożarowy — tłumaczył mi przyjaciel. — Stąd ta rura. Nie bój się, wewnątrz jest dokładnie wysprzątane ze wszelkich śmieci. Weź latarkę. Ja ten schron znam na pamięć.

Zsunąłem nogi do otworu, postawiłem jedną na rurze i mając taki punkt oparcia zszedłem do schronu. Kiedy stałem na najwyższym, pierwszym z dziewięciu schodów, nad poziom ziemi wystawał mi tylko czubek głowy. Z latarką w dłoni, schylony wszedłem do schronu. Musiałem zejść po schodach, skrócić w prawo do dawnej śluzi, która miała chronić przed bronią chemiczną. Zostały tu jeszcze oryginalne metalowe drzwi. Krótkim korytarzem doszedłem do rozwidlenia. Na wprost znajdowała się płytki nisza. Na prawo można było wejść do niewielkiego pomieszczenia. Zdziwiły mnie resztki desek pomiędzy tynkiem. Mogły one chyba służyć jedynie do zamocowania jakiejś warstwy przeciwdłamkowej. Oceniałem, że znajdowałem się teraz najwyżej dwa metry pod ziemią. Przed wojną taka warstwa ziemi mogła ochronić przed trafieniem mniejszą bombą. Z biegiem kolejnych lat działań wojennych zwiększyła się moc ładunków i sądzę, że nawet wybuch bomby kilkanaście metrów od schronu mógłby zaszkodzić ludziom, którzy by się w nim ukryli. Skręciłem w lewo. Tu była dłuższa, około dziesięciometrowej długości sala szeroka na niecałe trzy metry. Z lewej strony była nisza, w której montowano urządzenia filtrujące powietrze. Na końcu, po lewej stronie, na wysokości około metra było wejście do szybu ewakuacyjnego. Chwilę jeszcze patrzyłem na podłogę wyłożoną kafelkami. Szukałem na ścianach jakichkolwiek znaków, śladów po zamurowywaniu drzwi, nawet opukałem ściany. Moje poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Postanowiłem zawrócić do wyjścia. Kiedy minąłem metalowe drzwi, zdziwiłem się, że na dworze zrobiło się tak ciemno. Odruchowo spojrzałem na zegarek. W środku byłem około dwudziestu minut.

— Rafał! — krzyknąłem.

Nagle dotarło do mnie, że mój przyjaciel zamknął mnie w schronie. Klapa leżała na swoim miejscu. Wspiąłem się po schodach, uklęknąłem z uniesionymi ramionami próbując poruszyć wąż. Bez skutku! Przecież z Rafałem z trudem we dwóch odsunęliśmy go na bok podnosząc najwyżej na kilka centymetrów nad ziemię.

— Rafał! — wrzasnąłem.

Mój głos zabrzmiał rozpaczliwie w ciemnej pustce schronu. Z sufitu oderwał się komar, który zaczął ze złośliwym bzyčeniem krążyć wokół mojej głowy. Odpędzałem go dłonią. Mały krwio pijca natrętnie powracał. Mocno klasnąłem. Nie trafiłem go, ale owad gdzieś zniknął. Szukałem, czy mam przy sobie telefon komórkowy, ale nie miałem.

Jeszcze kilka razy próbowałem wydostać się z pułapki, aż w końcu zmęczony, spocony, stwierdziłem, że zwyczajnie zaczyna brakować mi tu powietrza. Czy to możliwe, by schron był tak szczelny do naszych czasów? Miałem wrażenie, że za

czasów Forstera schody, na których siedziałem, nie były przykryte betonową płytą, jak to było obecnie.

Na dole, przy zakręcie zobaczyłem nagle dwa świecące w ciemnościach punkciki. Kiedy poruszyłem się, zniknęły. To był szczur, pierwszy z gromady kilku innych, które przyszły tu wnętrzem pękniętej i rozbitej rury. Towarzystwo tych podobno bardzo inteligentnych gryzoni nie odpowiadało mi. Jak większość ludzi brzydziłem się ich i napawały mnie one wstrętem. Szczury zbiegły do schronu i stamtąd rozlegały się ich popiskiwanie. Podjąłem kolejną, bezskuteczną próbę uniesienia włazu. Co mogło się stać, że Rafał mnie tu zaniknął? Może zdradził mnie? Uznałem, że to niemożliwe, każdy, ale nie on. Może ktoś go obezwładnił? Takiego wyczynu i to z zaskoczenia mógł dokonać tylko Arek i taki obrót wydarzeń był możliwy. Co powinienem zrobić? Czułem dziwną duszność, jakby ceglane mury ścian chciały otulić mnie w kokon.

Szybko zrobiłem przegląd tego co miałem w kieszeniach. Scyzoryk, chusteczki i ukryte w kieszeni pudełko z dwiema zapalnikami — reklamówka słowackiej restauracji, na której był zapisany numer rejestracyjny samochodu, który obserwowałem. Nie byłem bohaterem filmów akcji, by z tego i latarki przygotować miniaturowy ładunek wybuchowy, którym mógłbym efektownie otworzyć sobie wyjście. W tym momencie przypomniałem sobie o szybie ewakuacyjnym.

Schylony wróciłem do większego pokoju schronu. Szczury harcowały w mniejszym, a ja poświeciłem do wnętrza wąskiego tunelu. Jego wymiary powodowały moje obawy, że łatwo się w nim zaklinować. Mimo to wszedłem do niego. Kiedy cały mój korpus znalazł się w środku, z wyciągniętymi przed siebie ramionami przekręciłem się na plecy, dłońmi chwyciłem krawędź wejścia do pionowego komina z metalowymi klamrami w ścianie i energicznie podciągnąłem się. Poświeciłem do góry. Ujrzałem równo ułożone koło siebie deski. Najpierw usiadłem, potem wolno wstałem. Było tu niesamowicie ciasno. Wszedłem po kilku klamrach i dotknąłem desek. Były oślizłe. Próbowałem je unieść i zdziwiłem się, że podnosiły się na dwa centymetry, a potem jakby coś je hamowało, jakby były przykryte jakąś plandeką. Niczego takiego nie pamiętałem na zbczu poniżej „Forsterówki”.

Wyjąłem scyzoryk, z całej siły wbiłem go w jedną z desek i szarpnąłem nią, tak jakbym chciał odsunąć luk na statku. Drgnęła, przesunęła się i jej koniec zsunął mi się na głowę. Deska miała najwyżej metr długości. Podobnie zrobiłem z pozostałymi pięcioma. Nad nimi była gumowa siatka z okrągłymi oczkami, jakiej używano kiedyś w czasie zimy do osłaniania dróg przed śniegiem nawiewanym z pół. Siatka musiała być solidnie umocowana po rogach i przykryta warstwą ziemi, jednak niezbyt grubą, bo czułem tu świeże powietrze. Wyłączyłem latarkę. To była diodowa czołówka, która szybko się nagrzewała. W ciemnościach, stojąc na klamrze, oparty o ścianę głęboko wdychałem powietrze pachnące ziemią i zgniłymi liśćmi. Odczekałem dziesięć minut, włączyłem światło i scyzorykiem zacząłem ciąć gumę. Do oczu, ust i nosa zaczęła mi się sypać ziemia. Miałem okropne wrażenie, że łażą po mnie jakieś robaki. Spocona głowa swędziała w sposób niemożliwy do wytrzymania. Szpara w siatce systematycznie powiększała się, a przeze mnie przysypywały się kilogramy ziemi. Co jakiś czas strzepywałem ją z siebie na dół. Szybko zasypałem sobie drogę odwrotu do schronu. Wreszcie poczułem chłodne nocne powietrze i wyciągnąłem rękę na zewnątrz. Wtedy na dziurę nade mną padło światło i rozległ się rozpaczliwy kobiecy wrzask.

— Pomocy! — krzychałem.

Schowałem scyzoryk, w dziurę wsunąłem drugą rękę, wspiąłem się na następną klamrę i resztkami sił wyczołgałem się na powierzchnię. Ktoś poświecił mi prosto w oczy, znowu noc rozdarł ten histeryczny krzyk. Leżąc na ziemi łapczywie wdychałem powietrze. Widziałem, że w „Forsterówce” zapalają się światła w pokojach zajmowanych przez Rafała i jego podopiecznych. Tam gdzie spała Magda panowały ciemności. Jakaś postać uciekała pod górę cały czas szlochając.

Przewróciłem się na plecy i patrzyłem na rozgwieżdżone niebo nad leniwie przechylającymi się na wietrze czubkami sosen.

— Paweł! — usłyszałem głos Rafała.

— To jakiś upiór! — wrzeszczała Magda.

— Król Nazguli — Damian podsycił atmosferę grozy.

— Drakula — dodała Wiktorcia.

Zapaliłem latarkę, żeby lepiej widzieli, gdzie jestem.

— Jak zobaczyłam tę czarną rękę, a potem on wyskoczył spod ziemi, to mało nie umarłam ze strachu — Magda relacjonowała wszystkim. — Rafał, nie podchodź do niego!

Przyjaciel nie zląkł się opowieści i podszedł do mnie.

— To Paweł! — oświadczył.

Po kilku minutach spędzonych na zabezpieczeniu dziury w ziemi, by nikt w nią nie wpadł, i pobieżnym obmyciu się, siedziałem w jadalni przy stole nad kubkiem kawy.

— Paweł, przepraszam, że cię tam zostawiłem — Rafał mówił z autentyczną troską. — Magda zawołała mnie, bo chciała mi powiedzieć, że nie zamierza ubiegać się o stanowisko kierowniczkę ośrodka. Chwilę rozmawialiśmy na górze, za willą. Kiedy wróciłem do wyjścia, właz był już na swoim miejscu, zamaskowany i przywalony pniakiem. Pomyślałem, że sam wyszedłeś i poszedłeś do „Forsterówki”. Szukałem cię, ale nigdzie cię nie było.

— A motocykl, którym tu przyjechałem? — zapytałem.

— Nie pomyślałem o tym — Rafał aż uderzył się w czoło. — Przepraszam cię! Kto mógł cię tam zamknąć? — badawczo przyglądał się swoim wychowankom.

— My nie! — odpowiedzieli zgodnym chórem. Po chwili jedno przez drugie opowiadało, co robiło przez ostatnie dwie godziny, bo tyle czasu spędziłem pod ziemią.

— Tak czy siak, to Magda poszła ciebie szukać — stwierdził Rafał. — Nie dawała mi spokoju pytając, gdzie jesteś. Jeszcze ostatni raz przed snem postanowiła pójść w okolice schronu, bo twoje zniknięcie wydawało się jej podejrzane.

— Magdo, dziękuję za troskę — ukloniłem się mojej fałszywej narzeczonej.

— Na drugi raz mnie tak nie strasz — odpowiedziała. Młódzież śmiała się wyobrażając sobie, co ujrzała Magda, co wtedy poczuła i jak mocno musiała być przestraszona. Przyglądałem się jej chcąc sprawdzić, jakie uczucia malują się na jej twarzy. Przecież była najbardziej podejrzana w tej aferze. To ona odciągnęła uwagę Rafała i wtedy ktoś zamknął mnie w schronie. Tylko kto był współnikiem Magdy? Może to był Arek, a może Margerita?

— Uważam, że musisz jutro Magdę zaprosić na duże lody — doradzał mi Rafał.

— Jutro płynę w rejs z dyrektorem Ciupacińskim — szybko odpowiedziała Magda. — Muszę mu powiedzieć, jaką podjęłam decyzję — szybko uzupełniła dostrzegając moje nieme pytanie „po co?”.

— Chcesz to uczynić na pełnym morzu? — dziwiłem się.

— Już wczoraj umówiliśmy się na rejs — wyjaśniła.

Moją opowieść o sposobie uwolnienia się Rafał okraszał dowcipnymi uwagami, a potem, około pomocy obaj wyszliśmy do bramy. Motocykl nie stał tam, gdzie go zostawiłem, tylko ktoś go przestawił za niewielki, zamknięty na głucho, drewniany domek stróża.

— Magda będzie jutro pływała i my też — powiedział Rafał. — Może się z nami wybierzesz na rejs na zatokę?

— O ile puści mnie mój pracodawca — uśmiechnąłem się.

— Pogadam z nim!

Wróciłem do gospodarstwa pana Klemensa. Podjechałem pod garaż, rozebrałem się i nalałem sobie z pompy wody do wiadra. Kiedy myłem się, nadszedł gospodarz.

— Coś się tak ufajdał? — zapytał patrząc na moje brudne ubranie.
— Ktoś mnie zamknął w schronie obok „Forsterówki”.
— Tak bardzo chcesz znaleźć ten skarb?
— Nie chcę, żeby odnaleźli go ludzie, których interesuje tylko to, ile na tym można zarobić. Oni chcą tylko zdobyć pieniądze.
— A ty? Co dla ciebie jest naprawdę ważne? Stojąc rozebrany do pasa, ociekający wodą czułem się trochę zażenowany, jak dziecko złapane na gorącym uczynku.
— Ważne są prawda, uczciwość, życzliwość wobec innych...
— A miłość?
— Jest ważna — przyznałem.
— Dla ciebie też?
— Nigdy nie miałem na nią czasu.
— Tak sobie tylko to tłumaczysz. Przyszedłeś tu, żebym ci pomógł. Tak jak śpiewają te twoje wyjce, czujesz wstyd przed powiedzeniem sobie: „nie wiem”. Musisz zdecydować, co jest dla ciebie najważniejsze. Którego skarbu naprawdę szukasz? Kiedy sam odpowiesz sobie na to pytanie, ja ci odpowiem na kolejne — zgarbiony pan Klemens odwrócił się i odszedł w kierunku swojego domku.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

REJS DO HELU • ŻEGLARSKIE WYCZYNY CIUPACIŃSKIEGO • ROZBITKOWIE NA WYBRZEŻU SZKIELETÓW • OPOWIEŚĆ PANA KLEMENSA • CO WIEDZĄ KOHNA I LEBBE?

Ten dzień od świtu zapowiadał się na wietrzny i deszczowy. Myślałem nawet, że Rafał zrezygnuje z wyprawy jachtem na Zatokę Gdańską, ale on uznał, że dzieciaki muszą spróbować żeglowania także w takich ekstremalnych warunkach. Żeglarze stawili się u pana Klemensa po śniadaniu. To była niedziela, a ponieważ właściciel sadu dał mi wolne, postanowiłem cały dzień poświęcić na odpoczynek, a przy okazji miałem nadzieję wpaść na jakiś pomysł, jak odszukać skrytkę czy też znaleźć sposób, by stary rybak zdradził mi swą tajemnicę.

Pomogłem młodzieży przygotować łódź do rejsu i około ósmej wypłynęliśmy na Martwą Wisłę. Skręciliśmy na zachód, dopłynęliśmy do przeprawy pontonowej w Sobieszewie, na której odsunięto kawałek pływającego mostu i pożeglowaliśmy dalej. Miałem okazję popatrzeć na dawną przystań hydroplanów w Górkach Wschodnich, na kutry stojące przy brzegach i czekające na remont lub swoje ostatnie dni przed złomowaniem. Ze Śmiałej Wisły przyglądałem się dwukilometrowej kamiennej grobli zabezpieczającej dwa jeziora Rezerwatu „Ptasi Raj”. Na zachodnim brzegu widać było przystanie jachtowe. W jednej z nich Rafał zdobywał wszystkie swoje uprawnienia żeglarskie. Opowiedział mi też historię postawienia drewnianego krzyża zwróconego w stronę morza, skąd się wzięły nazwy „Wybrzeże Szkieletów” i „Mierzeja Messyńska”. Widzieliśmy także, jak Ciupaciński z Magdą szykują się do wypłynięcia na wypożyczonym jachcie do Gdańska i Gdyni.

Wydostaliśmy się za główki falochronów i Zatoka Gdańska przywitała nas silnym północno-zachodnim wiatrem. Nasz jacht, zdawało się, stanął w miejscu, ale tylko na chwilę. Rafał wydawał komendy, a młodzież natychmiast wybierała i luzowała szoty.

Rafał w koszulce, krótkich spodenkach i przepasce na czole z wyświechtanej chusty wyglądał jak kapitan piratów. Młodzież w kolorowych kapokach z fascynacją patrzyła na morze, jak kolejne fale szły na nas, jak bryzgały wodą i jak pozornie niezwrotna DZ uparcie płynęła tam, dokąd chcieliśmy. Inną atrakcją były statki płynące do Gdańska i Gdyni. Do Helu dopłynęliśmy jeszcze około południa. Zostałem na łodzi, by posiedzieć w milczeniu i samotności, zapatrzony na morze, a załoga powędrowała do miasta na obiad.

Z lekkim niepokojem obserwowałem, jak znad wody wracały mewy i kutry rybackie z przemoczonymi rybakami. Słyszałem, jak mówiono o nadchodzącym sztormie i wskazywano na ciemne niebo w kierunku północno-wschodnim. Zastanawiałem się też nad rozwiązaniem zagadki związanej ze skrytką, ale myślni tylko dreptałem w miejscu i jak w grze nie można ruszyć się bez rzucenia kostką, tak ja, nie mogłem złapać tempa bez najmniejszej nawet wskazówki.

Rafał wrócił z dziećmi po prawie dwóch godzinach i też z ponurą miną zerkał w stronę czarnych chmur.

— Szykuje się niezły sztorm — rzucił, ale tak, żebym tylko ja to usłyszał. — Przynieśliśmy ci rybkę w dowód uznania za dzielne czuwanie — dodał wręczając mi wędzoną makrełę zawiniętą w folię aluminiową, kilka kromek chleba i ogórki małosolne na papierowej tacce. — Sma—czne—go! — życzyła mi młodzież.

Kiedy Rafał i jego podopieczni byli zajęci wyprowadzaniem jachtu z portu, ja rozkoszowałem się smakiem ryby, ale na wodach Zatoki Gdańskiej już musiałem mocno trzymać szoty bezana.

— Ile czasu będziemy płynęli do ujścia Wisły? — zapytałem Rafała.

— Trzy godziny, o ile utrzymamy się na wodzie i dobrze wejdziemy za pierwszym razem — odpowiedział. — Trzymaj! — wskazał na rumpel sterowy.

Rafał stanął na lewej burcie i trzymając się want grota obserwował niebo. Potem rozmieścił załogę: Tomkowi przydzielił szoty foka, Damianowi szoty bezana, a innym wskazał, gdzie mają siedzieć, by w razie potrzeby mogli przejść na przeciwną burtę do balastowania. Z Rafałem mieliśmy na przemian sterować i trzymać szota grota.

Po godzinie dotarli do nas silniejsze podmuchy północno-wschodniego wiatru sztormowego i wyższe fale. Po kolejnej godzinie byliśmy już przemoczeni od stóp do głów. Koło nas, w kierunku pełnego morza, przemknęła jak błyskawica łódź ratownictwa morskiego. Rafał kazał zrzucić grota.

— A ten... nie powiem kto... co on wyrabia?! — Rafał wykrzyczał swoje zdziwienie na widok jachtu, który płynął bez zrefowanych żagli, co chwila przechylając się i prostując.

Byliśmy na środku Zatoki. Wiatr gwizdał, deszcz zalewał nam twarze, a tam ktoś najwyraźniej miał kłopoty lub nie umiał pływać.

— Musimy sprawdzić, co tam się dzieje — stwierdził Rafał. Zmieniliśmy kurs i teraz płynęliśmy z wiatrem. Sięgnąłem po latarkę i przyłożyłem ją do oczu. Miałem szczęście, że kiedy byliśmy na szczycie fali, zobaczyłem, kim był sternik tamtego jachtu.

— Czy wiesz, że płyniesz na odsiecz dyrektorowi Ciupacińskiemu? — zapytałem Rafała.

— On nie umie dobrze żeglować i myślałem, że zrezygnuje z rejsu albo dawno już wrócił do portu — Rafał chwycił lornetkę. — Masz rację — powiedział. — Ostrzymy, bo jak do niego podpłynę z ofertą pomocy, to urażę tym jego dumę. Będziemy ich obserwować z daleka.

Rafał siedział zaszepiony na zawietrznej burcie i z troską patrzył na żeglarskie wyczyny swojego dyrektora.

— Nie martwisz się o Magdę? — zagadnął mnie.

— W razie czego zdążymy — zapewniałem go.

Nie do końca wierzyłem w to co powiedziałem. Tak oto nasza załoga miała inne zmartwienie niż sztorm. Wszyscy bardziej byli zajęci tym drugim jachtem. Zbliżaliśmy się do brzegu i ujścia Śmiałej Wisły. Widać było, że Ciupaciński źle wyliczył siłę wiatru i zniosło go za bardzo na zachód. Musiał zawrócić i halsować, by bezpiecznie wpłynąć na Wisłę.

Obaj z Rafałem w tym samym momencie dostrzegliśmy to samo. Magda szła wzdłuż lewej burty w kierunku dziobu, chyba by zdjąć foka, a w tym czasie Ciupaciński zrobił zwrot przez sztag. Dziewczynę nagły ruch żagla wystraszył, bom grota uderzył w nią, a Magda trzymając się wanty zanurzyła się w wodzie.

Podniosła przy tym taki krzyk, że z odległości dwustu metrów usłyszeliśmy go.

— Nie wytrzymam — Rafał zrobił zwrot kierując DZ ku jachtowi Ciupa-cińskiego.

Magda wisiała na rękach, co chwila zalewana falami morskimi, a Ciupaciński stał w kokpicie i chyba nie bardzo wiedział co zrobić. Wtedy na pokładzie pojawiła się trzecia postać. Szybko zerknąłem przez lornetkę. To była Margerita. Odważnie wyszła na burzę i trzymając się fałów foka wyciągnęła dłoń do Magdy. Pewnie krzyczała do sternika: „Stań pod wiatr!”.

Ten był zupełnie spanikowany i gdyby mógł, to najchętniej rzuciłby wszystko i wpływ usiłowałby dotrzeć do brzegu. Margerita wychyliła się, próbowała wciągnąć Magdę i nagle sama została porwana przez falę. Byliśmy już tylko kilkanaście metrów od Ciupacińskiego. Zerwałem się z miejsca. Złapałem koło ratunkowe i skoczyłem z nim do wody, tam gdzie była Margerita. Nad sobą słyszałem, jak Rafał krzyczy do Ciupacińskiego, jak top masztu jachtu dyrektora zahaczył o wanty naszego grotmasztu. Morze porwało mnie jak szmacianego pajacyka, próbowało wciągnąć w głąb. Wirowałem jak szalony usiłując zorientować się, gdzie jest niebo. Przypadkowo lewą ręką dotknąłem ubrania Margerity. Natychmiast prawą ręką przełożyłem koło ratunkowe do niej. Mało co widziałem, ale od razu poczułem, że dziennikarka weszła do koła. Wynurzyłem się obok niej.

— Dziękuję — wydobyła z siebie.

Obejrzałem się, co robi Magda. Rafał właśnie stanął w dryfi wyciągał ją z wody. Za to Ciupaciński robił zwrot za zwrotem praktycznie stojąc w miejscu i tylko łapiąc wodę na pokład.

DZ leniwie ruszyła w naszą stronę. Widziałem Rafała stojącego na rufie i Magdę zawijaną w koc przez dziewczyny. Przyjaciel był przy nas po kilku minutach. Tomek pomógł wejść Margericie na pokład, a Rafał bez trudu wciągnął mnie.

— Co teraz? — zapytałem wymownie patrząc na jacht Ciupacińskiego.

— Ja nie mogę mu pomóc, muszę nas wprowadzić na Wisłę — odparł Rafał. — Odpowiadam za te dzieciaki.

— Ja tam pójdę — zadeklarowałem. — Ty dasz sobie radę beze mnie, a dyrektor jest spanikowany.

— Paweł, nie znasz tego wejścia — Rafał kręcił głową. — Możemy najwyżej zabrać dyrektora, a jacht zostawić, żeby morze wyrzuciło go na brzeg. Tam przy ujściu Wisły od wschodu są kamienie, od zachodu mielizna i stare pale falochronu. W czasie sztormu wszystko jest pod wodą i nie widać przeszkód.

— Wprowadzę jacht na plażę — zaproponowałem. — Jacht ocaleje, a i uszkodowanie, jakie zapłaci dyrektor, będzie niższe.

— Chcesz mu pomóc po tym wszystkim? — Margerita wymownie zerkała na Magdę.

— Tak — odpowiedziałem i dopiero wtedy zauważyłem, że wszyscy przysłuchiwali się naszej rozmowie.

— Nie idź tam — odezwała się Margerita. — Utoniesz razem z tym dyrektorem.

Dopływaliśmy do jachtu Ciupacińskiego i nie było czasu na dalszą dyskusję. Wiedziałem, że Rafał zaraz będzie miał dogodną pozycję do rozpoczęcia wejścia do Wisły. Ze skrytki pod siedzeniem wzięłem latarkę, nóż i automatycznie nadmuchującą się kamizelkę ratunkową.

Podpłynęliśmy na dwa metry od prawej burty łodzi sterowanej przez dyrektora. Oczekałem do momentu, kiedy my byliśmy na górze, a on na dole i skoczyłem. Ktoś jeszcze zrobił to samo. Obejrzałem się. To była Magda.

Przy lądowaniu zahaczyłem o druciany reling i poleciałem głową w dół, do kokpitu. Magda upadła na dach jachtu. Nagle nad nami niebo zahaczało i błyskawica rozdarła ciemną powałą chmur. Spojrzałem na Ciupacińskiego. Stał z zadartą głową nie widząc, że żagle łopocą, a my ustawiamy się bokiem do wiatru i fal.

Pociągnąłem rumpel, co go otrzeźwiło.

- Co pan robi?! — krzyknął oburzony.
- Niech pan stanie pod wiatr! — wrzasnąłem mu do ucha.
- Po co? — dyrektor szykował się do dyskusji.

Gwałtownie chwyciłem go za poły jego modnej kurtki i pchnąłem go do luku zejściowego do kabiny. Magda siedziała w kokpicie przyglądając się temu z przerażeniem.

- Niech pan tam siedzi i nie przeszkadza! — krzyknąłem do dyrektora.
- Zapłaciłem za wynajęcie tego jachtu! — protestował Ciupaciński.
- I ma pan szansę wywrócić go i roztrzaskać o brzeg — wyjaśniłem. — Magda, chodź tu! — postawiłem dziewczynę przy rumplu. — Steruj tak, byśmy cały czas byli dziobem do wiatru — poprosiłem ją.

Zobaczyłem, że całe jej przemoknięte ubranie składało się z dzinsów, koszulki i koszuli. Zdjąłem swoją kangurkę i założyłem jej przez głowę. Przynajmniej kaptur chronił jej twarz przed deszczem. Widząc, że Magda dobrze radzi sobie ze sterem, przeszedłem na pokład dziobowy. Nożem przeciąłem fał, bo zmokniętego i poplątanego supła na knadze nie udało się rozpleść. W kilka sekund zdjąłem foka, obwiązałem uciętym fałem i umocowałem do relingu. Fał grota musiałem rozplatać. Zajęło mi to mnóstwo czasu i wiatr spychał nas w stronę brzegu. Wreszcie zmoczony fał udało się uwolnić, pociągnąłem za brzeg grota i zacząłem opuszczać żagiel. Zrefowałem go o jedną trzecią, umocowałem fał i wskoczyłem do kokpitu. Widziałem, że Rafał już wprowadzał DZ do ujścia Wisły. My byliśmy około dwustu metrów od brzegu i około czterystu od zachodniej główki ujścia.

Wokół nas wszystko grmiało, huczało i falowało. Zacząłem wybierać szota grota. Magdę zostawiłem przy sterze i podpowiadałem jej, w którą stronę ma obrócić rumpel. Ciupaciński siedział na przeciwległej ławeczce w kokpicie i ponuro patrzył na to, co robię. Najpierw popłynęliśmy na północ, zawróciliśmy i płynęliśmy w kierunku brzegu. Tak to przynajmniej wyglądało z punktu widzenia Ciupacińskiego. Chyba nie brał pod uwagę siły wiatru i sztormu, które powodowały, że jacht mocno dryfował. Chciałem płynąc pół-wiatrem wykorzystać tę siłę burzy, by sama nas wepchnęła w ujście Wisły. Kiedy byliśmy w mocnym przechyle, na kursie na wschodnią główkę falochronu przy ujście Śmiałej Wisły, już tylko trzydzieści metrów od niej, dyrektor rzucił się w kierunku Magdy. Odepchnął ją od steru i kiedy szarpali się z rumplem, nieopatrznie któreś z nich zmieniło nasz kurs na wschodni. Nie mogłem teraz puścić żagla, bo stracilibyśmy szybkość i sterowność.

Magda się przestraszyła i uciekła do mnie. Ciupaciński też wystraszony niepewnie trzymał ster. Gnaliśmy równolegle do falochronu, po jego wschodniej stronie, zaledwie kilka metrów od granitowych głazów, o które rozbijały się fale. Mieliśmy nikłą szansę na ucieczkę z tej pułapki.

— Panie dyrektorze! — krzychałem do Ciupacińskiego. — Zrobimy zwrot na granicy przybrzeżnej mielizny! Musimy mieć jak największą szybkość.

Wyobraźcie sobie ramiona kąta rozwartego mającego 120 stopni pomiędzy kamiennym falochronem a piaszczystym brzegiem Mierzei Messyńskiej. My płynęliśmy równolegle do lewego ramienia, wiatr wiał w sam środek kąta, a przy zwrocie przez sztag traci się największą prędkość, bo łódź przekracza linię wiatru. Zbyt wolny zwrot powoduje, że w najgorszym razie żaglówka zatrzymuje się. Pół biedy, jeśli to dzieje się na środku jeziora, ale my byliśmy kilkanaście metrów od kamieni chroniących ujście Wisły i musieliśmy pokonać siłę bałtyckiego sztormu. Balastowałem mocno wychylony za burtę. Obok mnie, to samo przerażona robiła Magda. Ciupaciński patrzył na mnie, kiedy dam znak do zwrotu.

Wydawało mi się, że czuję drgania całej łajby, kiedy kilem delikatnie szorowała po dnie. Jacht gwałtownie przybliżył się. Jacht zaczął sprawiać wrażenie lekkiego. Odczekałem jeszcze kilka sekund i dałem znak Ciupacińskiemu. Moim zadaniem było

przełożenie grotu do nowego halsu, a dyrektor miał tylko wykonać płynny ruch rumplem. Drażek zaplątał mu się między nogami, stanęliśmy pod wiatr, straciliśmy całą prędkość i morze bezlitośnie pochwytiło nas jako swój łup. Jacht uniósł się na fali i został rzucony na płyciznę.

— Na plażę! — krzychałem do Ciupacińskiego i Magdy. Brodzili w wodzie, a kolejna fala przewróciła jacht na burtę. Po kostki w wodzie pobiegłem po burcie do forpiku, skąd wyjąłem kotwicę. Umocowałem linę do knagi na dziobie i sam skoczyłem do morza. Za mną jacht przesunął się w kierunku piasku i był porywany na wodę. Wyniosłem kotwicę na brzeg jak daleko tylko sięgała lina. Wróciłem do jachtu po drugą kotwicę, potem zrzuciłem grota i wszedłem do kabiny, by odszukać jakieś koce. W szafce znalazłem trzy gumowane kurtki. Wziąłem je i dołączyłem do Ciupacińskiego i Magdy siedzących na piasku. Oboje płakali.

— Schrońmy się tam! — wskazałem na kępę drzew wśród wydm. Pod rozłożystymi, powyginanymi konarami sosen rozwiesiłem kurtki tworząc prowizoryczny daszek. Upadłem na mokrą trawę i głęboko wdychając powietrze leżałem wpatrzony w błyskawice.

— Trochę pan to źle wyliczył — po kilku minutach odezwał się Ciupaciński.

Udałem, że nie słyszę tej zaczepki.

— Niby co? — oburzyła się Magda.

— Za późno zrobiliśmy zwrot — powiedział dyrektor.

— Za wolno — wtrąciłem. — Panu gdzieś zawieruszył się rumpel — przypomniałem.

— Bo pan tak usiadł, że nie miałem jak się ruszyć — głos Ciupacińskiego nabierał mocy. — Chyba niepotrzebnie pan i Rafał wtrącaliście się...

— Przepraszam... — odparłem. — Rzeczywiście sam pan potrafiłby wyciągnąć Margeritę z wody, uratować Magdę, złożyć foka, zrefować grota i wpłynąć na Wisłę.

— Właśnie — Ciupaciński przytaknął, ale zaraz zreflektował się, że drwię. — Jak pan śmie?! Wcale nie trzeba było refować żagli! To był błąd! Straciliśmy prędkość i... dokąd pan idzie? — zdziwił się widząc, że wstaję.

— Trzeba powiadomić przystań, gdzie jest jacht — powiedziałem.

— Pani Magdo? — dyrektor zaniepokoił się. — Pani może tu zostać! Przecież jest burza i pani zmoknie!

— Mam już dość — oświadczyła Magda.

— Czego? — dyrektor był zdziwiony.

— Tego wszystkiego, co pan sobą reprezentuje.

— Chyba będę musiał zmienić zdanie o pani i o pani karierze w mojej placówce.

— Trudno — Magda wzruszyła ramionami.

— Proszę, niech pan potem odda ją Rafałowi — wręczyłem Ciupacińskiemu latarkę.

Poszedłem po piasku nad jezioro Ptasi Raj. Ściana deszczu burzyła powierzchnię wody. Wokół nie było widać ptaków. Nie było już słychać grzmotów, błyskawice wydawały się odległe. Magda stanęła obok mnie.

— Dokąd pójdziemy? — zapytała.

— Razem? — upewniałem się.

— A chciałbyś?

— Nie wiem, czy potrafię godnie zastąpić dyrektora Ciupacińskiego — roześmiałem się.

— Jedyne stanowisko, jakie możesz mi zaproponować to kuchta, wioślarz, tragarz zakupów, a szczyt mojej kariery to fałszywa narzeczona.

— Chciałabyś być prawdziwą?

Magda nie odpowiedziała, tylko podeszła bardzo blisko mnie. Taka wymęczona, zmoczona straciła ten sztuczny blask, jaki miała, kiedy ją poznałem. Teraz była po prostu kobietą, z którą nie chciałem się rozstawać. Objąłem ją ramieniem i poprowadziłem w kierunku kamiennej grobli. Szliśmy z Magdą objęci, moknąc, ale

jednocześnie ogrzewając siebie nawzajem.

Groblę wybudowano pod koniec XIX wieku. Jedną z jej funkcji jest zapobieganie nadmiernemu zasoleniu wód jezior stanowiących rezerwat. Do „Ptasiego Raju” w czasie przelotów przybywa wiele gatunków ptaków, które można obserwować z wież widokowych i grobli.

Weszliśmy z piasku na kamienną ścieżkę szerokości około metra. Opowiadałem Magdzie o tym, jak na tej mierzei rozbiła się barka „Messyna”, stąd jej nazwa. Rafał przybijał tu kiedyś do brzegu i jego wychowankowie znajdowali mnóstwo kości. Nie były to resztki rozbitków, tylko pozostałości cmentarza po epidemii febry, który gdańscy rajcy kazali ulokować właśnie tu. W końcu pokazałem jej drewniany krzyż. Postawili go żeglarze, którzy płynęli przez Bałtyk dwa dni w sztormie i obiecali, że jeśli uda im się szczęśliwie wpłynąć na Śmiałą Wisłę, to wystawią taką pamiątkę jako własne wotum i ku czci tych żeglarzy, którzy zginęli w katastrofie kilku jachtów, jakie rozbiły się w wejściu na Śmiałą Wisłę w ostatnich kilkudziesięciu latach.

Przejsie groblą zajęto nam pół godziny. Dotarliśmy do parkingu dla samochodów turystów, którzy przyjeżdżali do rezerwatu. Czekał tu na nas Rafał. Stał na masce swojej terenówki z lornetką w dłoni i najwidoczniej obserwował nas już od jakiegoś czasu.

— Jesteście, gołębiczki — uśmiechnął się. — A gdzie pan dyrektor? Czyżby samotnie walczył z żywiołem?

— Jacht leży na plaży, na zachód od Śmiałej Wisły — tłumaczyłem. — Dyrektor Ciupaciński pilnuje, by nic nie stało się łodzi.

— Wiem, wiem, wszystko widziałem przez lornetkę — Rafał kiwał głową. — Nieźle wam szło do czasu, aż dyrektor nie chwycił za ster. W samochodzie są suche ubrania, to przebierzcie się.

Rafał dopłynął do przystani pana Klemensa, z mojego pokoju zabrał ubrania i przyjechał tu, by nas odnaleźć. W tym czasie młodzież klarowała łódź. Rafał zadzwonił ze swojego telefonu na przystań, skąd Ciupaciński pożyczył jacht, odwiózł nas do pana Klemensa, potem młodzież do „Forsterówki” i wreszcie miał zawieźć dyrektorowi ubranie i jedzenie. Stwierdziliśmy, że zostaliśmy z Magdą sami w moim pokoju. Nagle cały świat wokół nas przycichł. Odgłosy burzy zastąpił śpiew ptaków w sadzie, które chyba chciały nadrobić zaległości. Ich trele i pogwizdy przeplatały się, jakby na raz grały dwie orkiestry próbujące stworzyć wspólną symfonię. Czasami w to wszystko wdzierają się natrętne bzyczenie muchy czy leniwe szczekanie Hunda.

— Paweł! — usłyszeliśmy krzyk pana Klemensa. Po chwili rozległy się jego kroki na schodach. Stał na schodach, popatrzył na mnie i na Magdę.

— Posłuchałeś mnie — pokiwał głową. — Chodźcie coś zjeść, po takich przygodach należy się wam to.

Czy mogłem sobie wymarzyć lepszy posiłek niż gęsty krupnik, ziemniaki z koperkiem i jajecznicą na boczku, a do tego szklanka domowego wina z porzeczek? Nie! Przy jedzeniu opowiadaliśmy nasze przygody. Przy okazji usłyszałem kilka pouczeń na temat tego, jak powinniśmy wejść do Śmiałej Wisły.

— A powiedz mi, jak to było z tobą i tym dyrektorem? — pan Klemens nie owijał niczego w bawelnę.

Magda zaczerwieniła się. Bałem się, żeby to jedno pytanie nie zepsuło atmosfery popołudnia, kiedy burza już przeszła, a my piliśmy herbatę i jedliśmy drożdżówkę.

— Podrywał mnie i obiecywał, że będę kierowniczką ośrodka w „Forsterówce” — odpowiedziała.

— Widziałaś, jak Paweł cierpiał? — rybak nie ustępował.

— Widziałam. On przecież spotykał się z tą dziennikarką — wypomniała mi.

— Sama do niego przychodziła — bronił mnie pan Klemens. — Jest czarnej maści jak diabeł, a kto się oprze diabłu, jeśli nie ma wsparcia swego anioła? Sama go wystawiłaś na pokusę.

— Nie chciałam — Magda broniła się. — Chciałam znaleźć pracę. Chciałabym tu mieszkać, myślałam nawet, że Paweł mógłby tu...

Pan Klemens zamyślił się. Widziałem, jak jego palce drżały i zbierał nimi małe okruszki ciasta, by ulepić z nich większą kulkę i rzucić ją w trawę, dla wróbli.

— Rafał powiedział mi, co zrobiłeś — rybak zwrócił się do mnie. — Nie będę mówił o bohaterstwie, odwadze, poświęceniu. Ty mi mówisz, co dla ciebie jest ważne i jak widzę, nie kłamałeś. Teraz nadszedł odpowiedni czas, żebyś poznał kolejną prawdę.

Siedzieliśmy z Magdą zafascynowani opowieścią starego człowieka, próbując pojąć, jak dramatyczne wydarzenia były jego udziałem.

Dowiedziałem się, jak pan Klemens, czy też Kari, stracił ojca, jak mama przeniosła go do dziadka na Wyspę Sobieszewską. W 1944 roku wojna zawitała do jego „Heimatu”, a w następnym roku na wyspie było już tylko wojsko i uchodźcy. Na niebie panowały rosyjskie samoloty.

Kari z kolegę Wolfgangiem odwiedził schron Alberta Forstera. Potem Wolfgang wyjechał z Forsterem i swoją mamą do Gdańska. Po powrocie Wolfgang opowiedział koledze, że widział w fortach, gdzie był punkt dowodzenia, tajemniczego oficera SS z opaską na lewym oku. On dowodził akcją ukrywania jakichś skrzynek oznaczonych symbolami NSDAP i napisem:

„Danzig”. Potem Wolfgang z mamą i Albertem Forsterem gdzieś wyjechał — podobno na Hel. Po wojnie listownie odnalazł Karla, ale ten już nie chciał wracać do wojennych spraw. Marzył tylko, by zamieszkać w domu dziadka. Starannie zataił za sobą ślady i wrócił do swojego „Heimatu”. Kari widział pogrzeb generała Betzela i po nim ujrzał też tego oficera SS z opaską na oku. Z grupą podwładnych kręcił się on tam, gdzie był schron ze skarbami. Kiedy Forster uciekł, a część j ednostek Wehrmachtu przetrzucano z wyspy przez Przekop Wisły na Mierzeję Wiślaną do walki w Sobieszewie i w okolicach, było tylko trzech panów: SS, złoto i rozpusta. SS zgrupowało się w dawnych koszarach przy „Forsterówce”. Tam Kari widział, jak przyjechały z Zachodu ciężarówki, wyładowano skrzynie, podobnie oznakowane jak te, które widział Wolfgang w Gdańsku. Potem, w nocy w tamtej okolicy rozległa się seria wybuchów.

Innej nocy w domu zajmowanym przez Karla pojawili się dwaj grenadierzy, a potem Kari pierwszy raz w życiu naprawdę strzelał do ludzi. Dopiero po wielu latach zrozumiał, że tamci piloci, bolszewicy czy nie, byli takimi samymi ludźmi jak on — mieli swój dom, swoje rodziny, marzenia. Może wcale nie chcieli brać udziału w tej wojnie? Czy zabicie ich było zemstą za śmierć taty? Nie mogło być. Dlatego na brzegu Wisły jest ten prawosławny krzyż.

Kar! z grenadierami dostał się na Hel. Chłopiec był ranny, a jego opiekunowie opowiedzieli, jak Kari strzelał do bolszewickiego samolotu. Został opatrzony przez najlepszych lekarzy, dostał oddzielny pokój, kredki i blok rysunkowy. Wtedy narysował to, co widział na wyspie. Jeden z grenadierów pomógł mu te rysunki schować do butelki, zalakować ją i zaniósł chłopca na barkę odwożącą uciekinierów na „Goyę”. Kari zasnął i nie pamiętał, jak znalazł się na statku. Obudził się w kajucie kapitana. Do ręki miał przywiązany płócienny worek, w którym były list od grenadierów, czekolada, kilka puszek i butelka z rysunkami. Kari schował butelkę do sejfu kapitana. Wtedy uważał, że jego wspomnienia są ważne i tajne — zwłaszcza te nocne wybuchy.

Chłopiec przeczytał list grenadierów. Żegnali się z nim i poinformowali go, że wysłano ich na front. Kari zrozumiał, że dopóki zajmowali się nim, nikt ich nie wysyłał na wojnę. Teraz oni wsadzili go na statek, a sami musieli zginąć w bezsensownej walce w ostatnich dniach, nim miał nastać pokój.

Kań wyszedł na korytarz i wtedy natknął się na oficera SS z opaską na oku. Nie miał munduru, tylko był przebrany za gefreitra z kompanii pancerniej. Miał lewą rękę na temblaku. Chłopiec zobaczył, jak ten temblak przytknął do piersi mężczyzny i rozległ się cichy strzał. Tak zginął dowódca konwoju, który przywiózł

skrzynki. Wystarczyło jedno spojrzenie oficera SS, by Kari postanowił uciec. Wbrew woli wartownika pilnującego siatki, po której ludzie wchodzili na statek, zszedł po niej do niewielkiej barki odpływającej na Hel. Kari odnalazł swoich grenadierów na pierwszej linii frontu i tam ich zostawił w dniu, w którym wojna się skończyła. Oni odeszli na wschód, do sowieckiej niewoli. Kari znalazł się pod opieką Czerwonego Krzyża, który odesłał go do Niemiec.

— Czyli moja konkurencja jako jedyne wskazówki ma pańskie rysunki z dzieciństwa? — mimo woli uśmiechnąłem się.

— Wtedy nie umiałem jeszcze dobrze pisać — pan Klemens ćmił cygaro.

— Pan wie, jak wejść do tego schronu? — dopytywałem się.

— Wejście było w zboczu Góry Mew — opowiadał pan Klemens. — Ci ludzie z SS dzięki wybuchom zasypali włazy i został tylko jeden sposób, by dostać się do środka.

—Jaki?

— Kiedy wszyscy siedzieliśmy na tej wyspie, nocami chodziłem w okolice „Forsterówki”, gdzie było wojsko. Byłem sierotą i zawsze mogłem liczyć na coś do jedzenia. Raz, przypadkiem słyszałem, jak ten oficer z opaską na oku rozmawiał z kimś na temat czegoś ukrytego na wyspie. Oficer powiedział, że zagadkę jak TO znaleźć znają jedynie Kohna i Lebbe. Ta rozmowa była już po tych wybuchach.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

TAJEMNICA UKRYTA W STELLI • WŁAMANIE DO POKOJU MARGERITY • FOLWARK W WIEŃCU • KOSZARY SS

Po tych słowach pana Klemensa mimo woli uśmiechnąłem się.

— Jak znajdziemy tych panów o nazwiskach Kohna i Lebbe? — zapytała Magda.

— Niech pani spyta swojego narzeczonego — pan Klemens przypatrywał mi się wyraźnie z czegoś zadowolony.

— Znasz ich? — Magda potrząsnęła moim ramieniem.

— Magda, sama domyślisz się, o kogo chodzi — odpowiedziałem. — Ten oficer SS nie mógł mieć pewności, czy ktokolwiek przeżyje na tej wyspie, czy przetrwają tu jego zaufani ludzie. Komelius Kohna i Simon Lebbe to byli zasłużeni mieszkańcy Sobieszewa, których pamiątkowa stela ocalała przy miejscowym kościele. Nikt nie mógł podejrzewać, że z całego cmentarza ocaleją tylko dwa nagrobki.

— Plan wejścia do skrytki jest w jakiejś trumnie? — Magda była wystraszona.

— Nie, raczej chodzi o nagrobek, a ten był tylko symboliczny, upamiętniający tych mieszkańców Sobieszewa — tłumaczyłem. — Wskazówkami są słowa lub symbole wyryte w kamieniu. Byłem na cmentarzu i oglądałem ten nagrobek...

— Kiedy tam byłeś? — Magda zaciękała się,

— Kilka dni temu.

— Z kim?

— Z Margeritą — przyznałem się.

Magda nie komentowała tego, tylko zagryzła wargi.

— Pamiętam, że na tej stelli były jakieś symbole, tylko... — bezradnie rozłożyłem ręce — niczego nie potrafię sobie przypomnieć.

Pan Klemens klasnął w dłonie, wstał i poszedł do domku. Wrócił po minucie niosąc plik zdjęć i lupę.

— Kiedyś po domach chodzili fotografowie, którzy robili pamiątkowe zdjęcia — opowiadał rybak. — U jednego z nich zamówiłem senę fotografii tego pomnika — położył zdjęcia na stole.

Z Magdą pochyliliśmy się nad nimi. Sięgnąłem po lupę, by lepiej przyjrzeć się symbolom. Stela miała około 170 centymetrów wysokości, wykonano ją w XIX wieku. Napisy już się zatarły, ale wciąż widoczna była twarz aniołka i trupa czaszka z dwoma pischzelami.

— To znak SS — Magda zwróciła uwagę na czaszkę.

— Takie symbole na czapkach nosili tylko wartownicy w obozach koncentracyjnych. Taki znak na swoich pojazdach w czasie wojny miała Dywizja Pancerna SS „Totenkopf”, którą początkowo tworzono właśnie z wartowników. Tu, na stelli, jest to tylko symbol „memento mori” i nie ma on żadnego związku z S S. Jako odpowiedź czy wskazówki możemy potraktować bardziej to, co chyba jest z drugiej strony pomnika.

— Klepsydra, oparta o nią kosa i obok trzy kłosa pszeniczne — Magda przyglądała się zdjęciu. — O co chodzi?

— Ja też nie wiem — pan Klemens wzruszył ramionami. — Od kilku lat próbuję rozwiązać tę zagadkę.

Odchyliłem się na krześle i wziąłem kilka głębokich oddechów. Byłem bardzo blisko rozwiązania zagadki, ale brakowało jeszcze czegoś. Nie było sensu teraz, po takim dniu zajmować się rozwiązywaniem tajemnic.

— Odwiozę cię do „Forsterówki” — zwróciłem się do Magdy.

— Może tam wrócisz? — zaproponowała. Czułem, co to mogło oznaczać i jedna część mnie podpowiadała, żeby ulec, ale inna mówiła: „Nie!”, ostrzegała przed zaniedbaniem obowiązków.

— Obiecałem pomóc panu Klemensowi — tłumaczyłem się nie patrząc w oczy dziewczyny.

— Mógłbyś tu dojeżdżać do pracy — Magda argumentowała.

— Łatwiej jest wstać do pracy, kiedy łóżko jest zimne, niż kiedy pościel jest gorąca — wtrącił pan Klemens.

Magda zapakowała mokre ubrania do reklamówki, wyprowadziłem motocykl i pojechaliśmy do „Forsterówki”. Zatrzymałem się przy bramie. Magda zsiadła i oparła się o moje ramię zaglądając mi w oczy.

— Zostań — poprosiła.

Nie potrafiłem jej odmówić, zdołałem tylko pokręcić głową i przekręcić manetkę gazu, by ryk silnika zagłuszył wszelkie słowa. Dojechałem do asfaltu i natknąłem się na jadącego z Sobieszewa Rafała. Zatrzymał się na poboczu i uchylił okienko.

— Zawiozłem dyrektorowi prowiant — relacjonował. — Na razie musi zostać przy łodzi i jej pilnować. A ty co tu robisz?

— Odwiozłem Magdę. Pan Klemens powiedział mi wreszcie, jakie są wskazówki prowadzące do skarbu!

— Jakie?!

— Wpadnij jutro do mnie, to ci wszystko opowiem.

— Przez ciebie nie będę mógł zasnąć!

— Pilnuj „Forsterówki” przed włamywaczami! — uśmiechnąłem się.

Pojechałem nie do domku nad Wisłą, tylko do „Bartanu”. Motocykl zostawiłem na uliczce prowadzącej do hotelu i dalej poszedłem na piechotę. Chciałem sprawdzić, czy Margerita jest u siebie. Na parkingu nie było jej samochodu, a okna jej pokoju były ciemne. Wszedłem do holu. Ukłoniłem się recepcjonistce i uśmiechnąłem się do niej, jednocześnie dyskretnie zaglądając do restauracji. Tam także nie było Margerity.

— W czymś panu pomóc? — zapytała młoda recepcjonistka.

— Czy jest pani Margerita z pokoju 201?

— Wróciła z rejsu, przebrała się i pojechała do Gdańska,

— Nie wie pani, kiedy ona wróci?

— Niestety, nie.

— Dziękuję bardzo — ukłoniłem się i wyszedłem.

Coś ważnego musiało wydarzyć się w Gdańsku, skoro Margerita zmęczona i po takich przejściach jednak zdecydowała się pojechać do miasta. Dopiero teraz wróciłem do domku pana Klemensa. Przed bramą czekał na mnie Rafał.

— Oczywiście niecierpliwość mnie zżera, ale chciałem ci tylko powiedzieć, że teraz w Gdańsku, na fortach prowadzone są poszukiwania — poinformował mnie.

— Mówiłem o tym Margericie, a ona od razu się tym zainteresowała. Może wyskoczmy tam i zobaczymy, co się dzieje?

— Za godzinę? — zaproponowałem. — Spotkajmy się w Sobieszewie.

— OK — Rafał był zdziwiony moim zachowaniem.

Ominąłem go i pojechałem pod garaż, gdzie zostawiłem motor. Wbiegłem po schodach do pokoju, przebrałem się w wygodny, ciemny strój: spodnie bojówki i bluzę. Do małego plecaka spakowałem kilka potrzebnych mi rzeczy. Wsiadłem na motor i wróciłem pod „Bartan”. Tym razem zaparkowałem na placu przy wejściu na cmentarz, za dużym samochodem dostawczym hotelu. W recepcji była już inna pracownica, ale teraz uświadomiłem sobie, że wszystkie pracowniczki hotelu były ładne i na zmianie pracowały albo tylko brunetki, albo blondynki. To była zmiana tych pierwszych. Szeroko uśmiechnąłem się i byłem rad, że woda kolońska, którą się skropiłem, elegancko pachnie.

— Dobry wieczór, nazywam się Paweł Daniec i jestem dobrym znajomym pani Margerity z pokoju 201 — przedstawiłem się. — Wiem, że jej nie ma, ale prosiła, bym tu na nią zaczekał.

— Proszę — dziewczyna wskazała mi wygodną kanapę między stojakami z prospektami turystycznymi i gazetami.

— Czy mógłbym skorzystać z komputera, który stoi na półpiętrze? Chciałbym Margericie ściągnąć jeszcze kilka potrzebnych jej materiałów. Mieliśmy zamiar zrobić to w pokoju na jej laptopie, ale pewnie wróci zmęczona i lepiej, żebym nie siedział u niej do późna. Zapłacę, to nie stanowi problemu — zapewniałem wahającą się recepcjonistkę.

Pozostało mi tylko *szczerze* uśmiechać się i patrzeć w jej oczy. Widziałem malujące się na jej twarzy uczucia. Przyszedł obcy człowiek, twierdzi, że jest znajomym mieszkanki hotelu, wie, że jej nie ma. Wygląda na jej współpracownika, gotów jest zapłacić za podłączenie do Internetu dostępne zwykle tylko dla klientów hotelu. Wiedziałem, co teraz robi. Spojrzała w kierunku monitorów. Już w czasie poprzedniej wizyty u Margerity zauważyłem, że na piętrach działało oświetlenie sprzężone z fotokomórką. Wchodząc po schodach uruchamiało się lampki i kamery monitorujące każdy zakamarek korytarzy. Czujniki ukryto tak, że można było je zauważyć dopiero wtedy, kiedy było już za późno i światło się zapaliło. W tym systemie była jednak drobna luka, którą chciałem wykorzystać. Recepcjonistka upewniła się, że nie wejdę na piętra niezauważony, więc tylko zanotowała czas, kiedy rozpocząłem pracę przy komputerze i skinęła mi głowę.

Wbiegłem po dwa schodki na górę. Uruchomiłem komputer, przeglądarkę internetową, wpisałem słowo „Danzig” i wszedłem na jedną z wyświetlonych stron. Na oparciu krzesła zostawiłem prawie pusty plecak, sprzęt przepakowawszy do kieszeni spodni i bluzy.

Korytarze w „Bartanie” przypominały kształtem literę „T”, której górne ramiona znajdowały się przy schodach. Na wprost stopni, na ścianie odległej o kilkanaście metrów były wielkie lustra, które nie tylko optycznie powiększały korytarz, ale i przykuwały uwagę. Czujnik ruchu znajdował się w załomie po prawej stronie i był skierowany na ścianę załomu po lewej stronie. Przechodząc przy samej poręczy nie uruchamiało się włącznika światła i kamer. Dodatkowo jeszcze szedłem schylony. Bez trudu wspiałem się w ten sposób na drugie piętro. Tam musiałem przeczołgać się do drzwi. W saszetce z wytrychami miałem też odpowiedni, by otworzyć zamontowane tu zamki.

Po chwili byłem już w środku. Margerita zostawiła w pokoju straszny bałagan i włączony laptop na biurku. Poruszyłem myszką i zobaczyłem, co robiła przed wyjściem. Oglądała zamieszczone w Internecie mapy fortu w centrum Gdańska. Miałem przy sobie małą kość przenośnej pamięci. Podłączyłem ją do komputera, następnie w wyszukiwarce plików w komputerze odszukałem interesujące mnie słowo. Większość odpowiedzi znajdowała się w zachowanych przez Margeritę listach z poczty elektronicznej. Skopiowałem sobie te pliki. Robiłem coś, co mój

szef, pan Tomasz, pewnie uznałby za niemoralne. Też czułem niesmak wobec dwuznaczności mojego zachowania i tłumaczenie, że „w starciu z takimi przeciwnikami nie mogłem postąpić inaczej”, było tylko frazesem.

Już chciałem wyjść z pokoju, kiedy przez wąskie szpary dookoła drzwi zobaczyłem, że na korytarzu zapala się światło. Kroki wskazywały, że ktoś idzie do pokoju, w którym byłem. Prerażony zastanawiałem się, gdzie powinienem się ukryć. Wskoczyłem pod łóżko. Zamek zachrobotał. Margerita otworzyła drzwi i zatrzymała się w progu. Pewnie niepokoilo ją, że zamek był otwarty. Teraz patrzyła, czy są jakieś ślady czyjejkolwiek obecności w pokoju. Po chwili, wyraźnie uspokojona, dla pewności zajrzała do szafy i do łazienki. Zamknęła drzwi i zaczęła się rozbierać. Na podłodze łądowały kolejne części jej garderoby. Jednocześnie klikała w komputer. Po chwili poszła do łazienki i odkręciła wodę pod prysznicem.

Ostrożnie wyjrzałem spod łóżka. Na ekranie laptopa widziałem uruchomiony program poczty elektronicznej. Nie mogłem się powstrzymać i zerknąłem, od kogo dostała listy. Jeden z nadawców miał bardzo krótki nick:

„MS45”. To był Mister Sebedian? Słuchałem, co się dzieje w łazience i ostrożnie najechałem myszą, by otworzyć ten list. W jego treść było wpisane tylko jedno pytanie w języku włoskim: „Co odkryto w forcie?”. Zakradałem się do wyjścia. Przez uchylone drzwi łazienki widziałem, jak Margerita zakręca kurek z wodą i sięga po ręcznik.

— Kto tam? — w lustrze zauważyła ruch.

— To ja! — teraz nie było sensu udawać, że mnie tu nie ma. — Recepcjonistka mówiła, że wróciłaś. Pukałem, ale nie odpowiadałaś, więc sam wszedłem. Przepraszam.

— Nie szkodzi — Margerita roześmiała się.

Nie wstydząc się swej nagości, niespiesznie owinęła się ręcznikiem.

— Cieszę się, że wyszedłeś cało ze sztormu — powiedziała rozczesując włosy.

— Ale chyba zanadto nie martwiłaś się o mnie, bo pojechałaś do Gdańska — wypomniałem jej.

— Była z tobą ta jasnowłosa gaska? Nie mogło ci się z nianie złego stać. Czemu ubrałaś się tak, jakbyś szedł na włamanie?

— Jadę do tego fortu, gdzie ty byłaś obejrzyć, jak przebiegają poszukiwania.

— Nic ciekawego — Margerita wzruszyła ramionami. — Już na dzisiaj skończyli, a my możemy pójść na plażę.

— Woda po sztormie jest pewnie lodowata.

— Kiedy będzie mi zimno, przytulimy się do siebie.

— Jutro — uśmiechnąłem się do Margerity. Wycofałem się do drzwi. — Może jutro wieczorem? — zaproponowałem.

— Tylko weź kąpielówki!

Wszedłem na korytarz, zapaliło się światło, znalazłem się w obiektywie kamery. Spokojnie zszedłem do komputera. Wyłączyłem go, zabrałem plecak. Recepcjonistka powiedziała mi, że jako gość pani Margerity nie muszę płacić za korzystanie z Internetu. Na jednym z monitorów widziałem wejście do pokoju 201, więc pracowniczka hotelu doskonale wiedziała, że byłem u Margerity i że nie kłamałem. Podziękowałem za pomoc i wyszedłem na podjazd. Poszedłem do swojego motocykla. Był już późny wieczór. Zjechałem w okolice mostu pontonowego, gdzie czekał na mnie Rafał.

— Margerita mówiła, że na dziś skończyli poszukiwania! — powiedziałem do przyjaciela. — Może dziś już tam nie jedźmy?

— To może przynajmniej opowiesz mi, co powiedział ci pan Klemens? Zgodziłem się. Najpierw przejechaliśmy na drugą stronę, do nieczynnej przystani promowej obok mostu. Usiedliśmy na zjeździe do wody i zrelacjonowałem Rafałowi całą rozmowę z rybakiem. Słuchał jej zafascynowany, aż wreszcie skoncentrował się na symbolach z nagrobka.

— Klepsydra to czas, kosa to śmierć, a trzy kłosa? — zastanawiał się.

— Może chodzi o pole uprawne, o duży plon? — zgadywałem.

— Ciekawe, jak temu SS-manowi udało się dopasować sposób dojścia do skrytki do tego nagrobka? Musieli chyba wcześniej mieć wszystko przygotowane.

— To jest pewien ślad. Skoro skrytkę przygotowywali wcześniej, to robili to w miejscu, do którego mieli swobodny dostęp.

— No, SS mogło wszędzie robić co chciało.

— Tak, ale ich obecność rzucała się w oczy. Jeśli coś chcieli zamaskować, robili to tam, gdzie nikt obcy nie miał wstępu, a świadków i wykonawców, na przykład więźniów, mogli zlikwidować.

Rafał milczał i zastanawiał się. Rzucił drobne kamyczki do wody patrząc na rozchodzące się kręgi wodne.

— Są dwa takie miejsca na Wyspie Sobieszewskiej — stwierdził po chwili. — Pierwsze to dawne koszary przy „Forsterówce”, a drugie to folwark z domem w Wieńcu. Folwark był blisko „Forsterówki”, w czasie wojny był tam zakład rolny, w którym pracowali robotnicy przymusowi. Po wojnie znajdowała się tam uprawa tulipanów.

— Jutro tam pojedziemy — zdecydowałem.

W środku nocy wróciłem do swojego pokoju i wyczerpany rzuciłem się na łóżko. Rozłożyłem do wysuszenia swoje rzeczy, ubrania i dokumenty. Telefonu komórkowego nie dało się już uratować.

Następnego dnia od rana pracowałem w sadzie. Słońce pięknie grzało, ptaki frywolnie kwiliły wśród drzew, a Hund leżał na trawie w cieniu drzew i tylko przewracał się z boku na bok. Po obiedzie rozwiozłem owoce do restauracji i sklepów z warzywami. Po rozliczeniu się z panem Klemensem miałem wolne. Pojechałem do „Forsterówki”. Dziewczyny pod wodzą Magdy malowały pokoje w „Forsterówce”, a chłopcy robili to samo we współczesnym budynku. Rafał widząc mnie dał mi tylko znak, żebym chwilę poczekał i pobiegł się przebrać.

— Co robisz wieczorem? — Magda zrobiła sobie przerwę i z pędzlem w dłoni, w fartuchu ochlapanym farbą i czapce wykonanej z gazety podeszła do mnie.

— Jestem umówiony z Margerita — odpowiedziałem. Magda obróciła się i chciała odejść. Chwyciłem ją, objąłem i czule pocałowałem w czoło.

— Posłuchaj mnie — szeptałem jej do ucha. — To wszystko wkrótce się skończy i będziemy mieli czas tylko dla siebie. Muszę się z nią spotkać, by do końca rozwiązać zagadkę. Zaufaj mi, proszę!

— Obym tego nie żałowała — powiedziała Magda całując mnie w usta. Rozległo się znaczące chrząknięcie. To wracał Rafał, roześmiany, że widzi mnie w takiej komitywie z Magdą.

— Wrócimy za godzinę — zapowiedział. Wsiedliśmy do terenówki Rafała, wjechaliśmy na asfaltówkę i skierowaliśmy się w lewo.

— Co u pana Ciupacińskiego? — zapytałem Rafała. — Dyrektor wciąż pędzi samotny żywot rozbitka na Wybrzeżu Szkioletów?

— Zapomniałem o nim! — Rafał aż klepnął się w udo. — No nic, później do niego zadzwonię. Jest ładna pogoda, więc pewnie chłopaki z przystani już ściągnęli jacht i zabrali Ciupacińskiego. Czuję, że coś dziś jest za spokojnie.

Rafał skręcił w prawo na dziurawą drogę, na której asfalt zastąpiły betonowe płyty. Dojechaliśmy do zamkniętej bramy. Jej porzewiały blachy, siatka rodem z ostatnich kilkunastu lat kontrastowała z czystą czerwieńią murów otaczających dawny folwark. Wsiedliśmy i przeszliśmy przez furtkę na środek gospodarstwa. Jedynym ciekawym architektonicznie budynkiem był tu dom wybudowany na przełomie wieków, obok którego była pergola z rzędu kolumn połączonych drewnianą kratą. Długie budynki folwarczne zostały przebudowane i nosiły ślady wielu remontów i modernizacji. Wszystko było pozamykane i wokół panowała cisza.

— Nie, to nie może być to miejsce — stwierdziłem.

— Dlaczego? — dopytywał się Rafał.

— Nie potrafię ci tego tak wprost wyjaśnić. Podpowiada mi to intuicja i coś jeszcze... Pan Klemens zapamiętał, że schron ze skarbami był pod Górą Mew, tam z Wolfgangiem weszli pod ziemię i tam słychać było wybuchy. Myślę, że wskazówki ze stelli mają podpowiedzieć, jak odszukać wejście awaryjne, dostępne tylko dla wtajemniczonych.

Jeszcze jakiś czas chodziliśmy między dawnymi stajniami, garażami i wróciliśmy do samochodu. Pojechaliśmy do „Forsterówki”. Rafał poprowadził mnie pod bramę dawnych koszar SS. Za drucianą siatką biegał wielki pies, a na krześle siedział strażnik z firmy ochroniarskiej pilnujący opuszczonych budynków. Po wojnie budynki były wykorzystywane między innymi jako ośrodek wypoczynkowy, a teraz był pomysł, by był to zakład leczniczy dla dzieci. Miałyby tu doskonałe warunki, zwłaszcza do organizowania zielonej szkoły czy sanatorium dla alergików, na których zdrowie dobrze wpływają lasy sosnowe i jod morskiego powietrza.

Koszary składały się z dwóch budynków. Ten po lewej był zajmowany przez żołnierzy, a ten po prawej przez instruktorów i oficerów. Między nimi był mur z zadaszeniem służący jako łącznik i rodzaj placu apelowego. Rafał pokazał ochroniarzowi legitymację społecznego konserwatora zabytków i mogliśmy zwiedzić koszary.

Najpierw weszliśmy do części przeznaczony dla zwykłych żołnierzy. Na parterze znajdowały się stołówka, dwie sale wykładowe i świetlica z wciąż doskonale utrzymanym parkietem. Dwa kolejne piętra były przeznaczone na sypialnie i łazienki. Wnętrza były zdewastowane, nie zachowało się tu nic z oryginalnego wyposażenia.

Część oficerska była w lepszym stanie. Za drzwiami wejściowymi były drugie, wahadłowe. Na wprost znajdowała się klatka schodowa z ładnie wyrzeźbioną balustradą. Korytarz w prawo prowadził do kantyny i pokoiów biurowych. Wyżej były sypialnie. Na koniec weszliśmy do świetlicy na parterze. Stały tu jeszcze stary kredens, zegar i kominek. Ściany były wyłożone modrzewiową boazerią. Kiedy przyglądałem się temu wszystkiemu, poczułem szybsze bicie serca. Kolejny raz intuicja podpowiadała mi, że tu właśnie znajduje się rozwiązanie zagadki. Rafał poprowadził mnie do okna wychodzącego w stronę Góry Mew.

— Widzisz to? — wskazał na nasyp ziemi wyglądający jakby pod nim znajdowała się tunel z kolebkowym sklepieniem. — To mnie intryguje. Przecież przy koszarach powinien być schron przeciwlotniczy, a takiego tu nie ma. Piwnice mają bardzo grube mury i mogły dać schronienie, ale...

— Ten pagórek wygląda na sztucznie usypany — powiedziałem. — Chodźmy już — zaproponowałem.

Podziękowaliśmy ochroniarzowi za pomoc i wyszliśmy za bramę koszar.

— Paweł, czemu tak szybko zrezygnowałeś? — Rafał dziwił się. Nie odpowiedziałem, tylko obszedłem wzdłuż siatki teren koszar, tak jak wtedy, kiedy pierwszy raz szedłem na Górę Mew. Patrzyłem na budynek oficerów, jakby wkopany w wydmy, za którą był jar z drogą i dalej rozpoczynała się Góra Mew. Teraz miałem już pewność, że mam rację.

— Rafał, jestem przekonany, że jeszcze dziś rozwiążemy zagadkę — zapowiedziałem.

— Jak twój szef, lubisz efektowne zakończenia — Rafał roześmiał się. — Powiadomiłeś pana Tomasza, że tu jesteś i co tu robisz?

— Mój telefon jest zalany, ale i tak nie muszę tego robić — uśmiechnąłem się do swoich myśli.

Odprowadziłem Rafała do „Forsterówki”, wsiadłem na motor i pojechałem do pana Klemensa. Cekał na mnie z kolacją. Usmażył sandacza, zrobił herbatę z malinami i tradycyjnie już ćmił cygaro. Widział, że aż mnie roznosi energia.

— Masz jakiś dobry pomysł? — zapytał.

— Mam — przy starym rybaku nie mogłem powstrzymać emocji. — Mam

nadzieję, że odnajdę skarb i to dzięki panu.

— Zawiodłeś mnie, bo myślałem, że już go znalazłeś.

— Ten, o którym pan myśli, jest ważniejszy, ale najpierw muszę dokończyć swoje sprawy.

— To *znaczy*?

— Muszę z kimś się spotkać.

— Z tą czarnulką? Nie powinieneś tak ryzykować utraty tego, co już masz.

— Wiem. Czuję, że intuicja mnie nie zawiedzie.

— Jutro pewnie wyjedziesz?

— Odpłynę — poprawiłem pana Klemensa. — Bardzo mi pan pomógł i dziękuję za okazane mi zaufanie.

— Ty też mi pomogłeś.

— Fakt, prawie wszystkie owoce zebrane i sprzedane — przyznałem. — Niech pan powie tylko słowo, a zostanę do końca zbiorów.

— Mamy byłeś pracownik — pan Klemens roześmiał się. — Bardziej ganiałeś za spódniczkami, niż pilnowałeś owoców. Pomogłeś mi zrzucić ciężar, z którym żyłem tyle lat. Wiesz, jak ciężko jest żyć z tajemnicą, ukrywać coś przed wszystkimi?

— Nie wiem — przyznałem.

— Przełamałeś wstyd przed mówieniem sobie „nie wiem”, tak jak w piosence tych twoich wyjćów.

ZAKOŃCZENIE

Po kolacji wykapałem się, przebrałem i pojechałem do „Bartanu”. Zostawiłem motocykl na podjeździe hotelu i w recepcji zapowiedziałem się do Margerity.

— Proszę, pani Margerita pana zaprasza — blondynka uśmiechnęła się. Wszedłem do pokoju dziennikarki. Była ubrana w spodnie rybaczki, koszulę, a pod spodem miała strój kąpielowy. Właśnie do plecaczka pakowała duży ręcznik.

— Wzięłaś kąpielówki? — uśmiechnęła się.

— Tak — odparłem.

Miałem ze sobą plecak, do którego zapakowałem wszystko, co uważałem za potrzebne. Wyszliśmy z hotelu znaną nam już drogą na plażę. Mimo wieczorowej pory wszędzie było wielu turystów cieszących się lipcowym upałem. Na plaży skierowaliśmy się na wschód. Szliśmy około kilometra, nim Margerita zdecydowała, że jest tu dostatecznie spokojnie. Zostawiliśmy rzeczy kilka metrów od pasma wydm. Margerita rozebrała się i pobiegła w kierunku morza. Uczyniłem to samo. Zimna woda działała orzeźwiająco, a łagodne fale skłaniały do długiej kąpieli. Z przyjemnością korzystałem z tych uroków jednocześnie mając baczenie na wszystko to, co działo się wokół mnie.

Wyszliśmy z wody po kwadransie i położyliśmy się na naszych ręcznikach.

— Jak twój artykuł o poszukiwaniach skarbów? — zapytałem Margeritę.

— Poszukiwacze w Gdańsku georadarem odszukali nieznane dotąd przejście w Kaponierze Środkowej na Górze Gradowej, w miejscu, gdzie podobno w styczniu 1945 roku hitlerowcy wykonywali jakieś prace budowlane — odpowiedziała. — A jak twój związek z Magdą?

— To zależy w pewnej mierze od ciebie.

— Czyżbym była aż tak silną pokusą? — w jej głosie wyczuwałem satysfakcję.

Podniosła się i nachyliła do mnie. Słońce już skrywało się za horyzont, byliśmy sami na plaży, piasek przyjemnie grzał, a morze swoim szumem mogło ukołysać najbardziej skołataną nerwy. To wszystko i zachowanie Margerity nie potrafiło uspić mojej czujności. Od jakiegoś czasu słyszałem szum silnika szybkiej łodzi motorowej.

— Może powinieneś podjąć jakąś decyzję? — Margerita usiadła twarzą do mnie,

przekładając jedną rękę, a woda z jej włosów spływała na moje uda.

— Już podjąłem — odpowiedziałem.

— I? — Margerita pochyliła się nade mną,

Silnik umilkł i usłyszałem, jak ktoś brodzi w wodzie i wybiega na brzeg. Chciałem zerwać się z miejsca, ale Margerita gwałtownie przytrzymała mnie. Wyraz jej twarzy zmienił się. Przed sekundą była rozmarzoną kobietą, a nagle stała się wściekłym demonem. Udało mi się odepchnąć ją, a ona sięgnęła do plecaka i wyjęła pistolet. Wycelowała go we mnie.

— To ciebie przysłał Mister Sebedian? — upewniałem się.

— Ich też — ruchem głowy wskazała na dwa zbliżające się cienie. To byli Mel i Ed.

— Chcecie mnie porwać? — udawałem zdziwionego.

— Tak — twarz Eda wykrzywił uśmiech.

— I co wam z tego przyjdzie?

— Znamy dobre metody, żeby złamać takich cwaniaczków jak ty — stwierdził Mel. Wyjął kajdanki. — Rączki — rozkazał.

Wystawiłem do niego lewą rękę, którą on chwycił w nadgarstku prawą ręką. Na lewej nodze zrobiłem obrót w tył pociągając Mela za sobą. Tym ruchem zmusiłem go, by przebiegł przede mną. Wtedy tylko wysunąłem prawe ramię, odrobinę podniosłem łokieć i skracając całe ciało w lewo wywróciłem go. Padł na plecy.

Wtedy Ed rzucił się na mnie od tyłu. Próbował unieruchomić mnie stojąc za moimi plecami i łapiąc mnie za ręce. Wykorzystałem kolejną technikę aiki-do. Ściągnąłem ręce do siebie, przyklęknąłem na lewe kolano i wtedy Ed przeleciał nad moim ramieniem wprost na wstającego Mela.

— Nawet nie próbuj drgnąć! — wrzasnęła Margerita mierząc do mnie z pistoletu.

Posłusznie zamarłem. Mel i Ed podnieśli się z ziemi. Cała trójka stała tyłem do wydm. Po piasku cicho jak skradający się kot schodziła Magda. Była uzbrojona i celowała w plecy Margerity.

— Naprawdę nie potraficie go obezwładnić? — Margerita wrzasnęła na Mela i Eda. — Może na początek ogłuszcicie go.

— Nawet nie próbujcie — odezwała się Magda.

Stała niecałe dwa metry od Margerity. Ta błyskawicznie obróciła się i jednym susem rzuciła się na Magdę. Po chwili Magda obezwładniła Margeritę. Mel i Ed chcieli ratować współpracowniczkę, ale wtedy na wydmie pojawił się ogromny cień. To nadchodził Arek.

— Stać, nie ruszać się! — krzyknął.

Spokojnie zacząłem się ubierać. W tym czasie Arek kazał Amerykanom położyć się na piasku i skuł ich. Na morzu zaszumił silnik łodzi. Widziałem krótką, cienką kreskę, za którą pieniał się kilwater. Nagle z dwóch stron rozległy się na wodzie syreny i błysnęły policyjne syreny. Arek przez krótkofalówkę wezwał posiłki.

Magda stanęła przede mną.

— Wiesz, co powinnam ci zrobić? — zapytała wściekła.

— Za co? Przecież twoim zadaniem było pilnowanie mnie.

— Powinnam cię porządnie złać za to migdalenie się na piasku. Naszą rozmowę przerwał przyjazd kilku samochodów terenowych. Z jednego z nich wysiedli Leśnik, Pirania i pan Tomasz. Szef z wyraźną dezaprobatą kręcił głową.

— Niepotrzebnie ryzykowałeś — stwierdził.

— Powiedz, kiedy zaczęłeś się domyślać, kim jest Magda? — zapytał Leśnik.

— Najpierw moje wątpliwości wzbudził Arek — opowiadałem. — Słyszeliście, jak on ze mną rozmawiał, kiedy próbował mnie wygnać z biwaku? Potem w Sobieszewie prawie wszedł na mnie, ale udał, że mnie nie zauważył.

— Następnym razem będę bardziej naturalny — zapowiedział Arek witając się ze mną. — Do dziś czuję te korzonki — pomasażował się po plecach.

— Twarz Magdy od razu wydawała mi się znajomą — kontynuowałem. — Nie potrafiłem jej skojarzyć do czasu, aż w służbie przedstawiła się Rafałowi jako moja

narzeczona. Przecież to była dziewczyna ze zdjęcia w portfelu Foki, czyli moja narzeczona! Potem Magda w żaden sposób nie chciała ode mnie odejść. Miała zadanie tu pozostać, więc wymyśliła te starania o pracę, mieszkała w „Forsterówce” i miała zamiar wszystko tam obserwować.

— A Margerita? Kiedy zacząłeś ją podejrzewać? — dopytywał się Leśnik.

— Chyba od samego początku. Próbowала wydobyć ode mnie informacje udając, że...

— Wiemy, wiemy — pan Tomasz przerwał mi znacząco patrząc w stronę Magdy.

— Czemu ona sama nie szukała skrytki?

— Magda nic wam nie mówiła o rozmowie z panem Klemensem? — zdziwiłem się. — Myślałem, że wszystko miała wam raportować. Wszyscy spojrzeli na Magdę.

— Pawle, chyba ktoś cię bardzo lubi, że pozwala ci samemu dokonać odkrycia — pan Tomasz domyślił się prawdy.

— Dziękuję! — nie wytrzymałem i przytuliłem Magdę.

— To może nadszedł już czas, byśmy coś w końcu wykopali? — odezwał się Pirania.

Dwoma samochodami pojechaliśmy pod koszary S S. Nasze przybycie wywołało panikę u ochroniarza. Zaprosiliśmy jeszcze Rafała i jego podopiecznych. Poszliśmy do świetlicy oficerskiej, tej z zegarem i kominkiem. Stałem przy zegarze, który był wbudowany w szczytową ścianę. Wszyscy ustawili się w półokręgu przede mną.

— Na stelli są klepsydra, kosa i trzy łany pszeniczne — zacząłem tłumaczyć. — Rafałowi mówiłem, że skrytka musiała być w miejscu dostępnym i pilnie strzeżonym przez SS. Czy koszary nie są takim obiektem? Są! Rafał dostarczył mi stare i współczesne mapy okolicy „Forsterówki” Wyraźnie na nich widać, że układająca się równoleżnikowo Góra Mew przed wojną miała głębokie jary od południowej strony. To idealne wejścia do schronu pod górą, lecz po wojnie już tych jarów nie ma. To efekt prac minerskich. SS zasypało wszystkie wejścia, zostawiając jedno, awaryjne. Skoro zadano sobie tyle trudu, by zamknąć ten schron, to wejście do niego musiałoby być gdzieś tu, w jakimś budynku z całego kompleksu ocalały jedynie te koszary. To przypadek, że wskazówką jest właśnie ta stella z cmentarza w Sobieszewie. Myślę, że słowa oficera SS, że panowie Kohna i Lebbe znają tajemnicę, to był żart, który przyszedł mi do głowy, kiedy zobaczył stellę. Klepsydra służy do odmierzania czasu, podobnie jak ten zegar. Wahadło porusza się takim samym ruchem jak ostrze kosy, a zwróćcie uwagę na to, jak tu rzymskimi cyframi oznaczono godziny.

— Zamiast zwykłych pałek są kłosa pszenicy — powiedziała Wiktoria.

— Tak jest! — uśmiechnąłem się. — Teraz nastawiamy godzinę trzecią, jak te trzy kłosa — otworzyłem zegar i ręcznie przesunąłem wskazówki. — Zatrzymujemy wahadło i... — za boazerią rozległ się cichy trzask. — Działo! — ucieszyłem się.

Pociągnąłem szafę zegara i naszym oczom ukazało się wąskie przejście ukryte w ścianie budynku. Korytarz ze schodkami prowadził w dół.

— Kiedy z Rafałem zobaczyłem tę świetlicę, moją uwagę przykuła nadnaturalna grubość tej ściany — wyjaśniałem. — Można było to sobie wytłumaczyć tym, że to niemiecka budowla militarna, że stoi przy skarpie i musiała być mocna, ale ten zegar nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Rafał wysłał dzieciaki po latarki. Miałem tylko jedną, stanąłem w wejściu i świeciłem w głąb tunelu. Miałem nadzieję, że nie zainstalowano tu żadnych pułapek minerskich. W pierwszej grupie, na zwiad poszedłem ja. Leśnik i Rafał. Korytarz prowadził najpierw cztery metry w dół, skręcał w lewo, w kierunku Góry Mew. Przejście poza obrysem budynku powiększyło się. Ściany były z cegieł, sufit ze zbrojonego betonu. Widać było instalację elektryczną i żarówki w drucianych osłonach. Szliśmy wyprostowani jeden za drugim. Pod nogami chłupotała nam

woda pomieszana z piaskiem.

Tunel zakręcał pod kątem prostym kilka razy, cały czas utrzymując kierunek na Górę Mew. W końcu dotarliśmy do metalowych drzwi. Leśnik obejrzał je, świecił w szparę we framudze wypatrując ewentualnych pułapek. Na szczęście min nie było. Z przeraźliwym skrzypieniem uchyliliśmy drzwi i znaleźliśmy się w wąskiej klatce schodowej. Weszliśmy na piętro, gdzie był ogromny schron przeciwlotniczy. Mógł pewnie pomieścić nawet sto pięćdziesiąt osób. Z długiego korytarza wchodziło się do czterech mniejszych pomieszczeń: radiostacji, sali z wentylatorami i filtrami powietrza, punktu medycznego i prawdopodobnie pokoju dowódcy. Właśnie tu stało kilkanaście skrzynek z godłem Trzeciej Rzeszy i napisami: „NSDAP” oraz „Danzig”. Na głównym korytarzu walały się porzucone konserwy, leżało porzucane wojskowe wyposażenie.

— Gdzie są skarby gauleitera? — zapytał Rafał.

— Trzeba zapytać oficera z opaską na oku — odpowiedziałem. — Zdążył je gdzieś ewakuować. Może ukrył je na Wyspie Sobieszewskiej, a może gdzieś indziej?

Leśnik starym bagnetem odchylił wieko jednej ze skrzyń. Były w niej stopy spleśniałych dokumentów.

— Michał, powiedz, kim właściwie jest Magda? — zapytałem go zaglądając do skrzyni.

— Jak to: kim? — Leśnik uśmiechnął się. — Twoją narzeczoną.

— To zabiorę ją w podróż... — zapowiedziałem.

— Przedślubną? — dopytywał się Rafał.

Odnajdzone dokumenty zostały oddane do konserwacji i miały być potem przekazane historykom, by je przebadali. Moglibyśmy się z nich dowiedzieć, jak funkcjonowała nazistowska partia w Gdańsku, ale chyba byłoby lepiej, żeby jak najszybciej zapomnieć o tej organizacji.

Wejście do schronu zostało zabezpieczone i na razie nie będzie udostępniane turystom. Planuje się zaadoptowanie go dla potrzeb tworzonego Muzeum Wyspy Sobieszewskiej.

Okazało się, że pistolet, który miała Margerita był tylko straszakiem, więc otrzymała karę grzywny i musiała opuścić Polskę. Dane z jej komputera przekazałem do swoich odpowiedników w innych krajach, by mogli je wykorzystać przeciw siatce rabusiów kierowanej przez Sebediana. Mel i Ed mieli odpowiadać przed niemieckim sądem za porwanie staruszka. Olafa spotkałem przy okazji innej przygody i okazał się być wspaniałym kompanem. Od Norwega dowiedziałem się, że Dutch przeszedł wewnętrzną przemianę i postanowił zająć się ratowaniem zagrożonych gatunków zwierząt w Afryce.

Dyrektora Ciupacińskiego zabrano z plaży dopiero rano. Wkrótce przestał być dyrektorem, a zastąpił go pan Barski, który Rafała uczynił kierownikiem placówki w „Forsterówce”.

Pan Klemens był ostatnią osobą, która żegnała mnie i Magdę, kiedy odpływaliśmy w nasz pierwszy rejs, w czasie którego nie zadawaliśmy sobie żadnych pytań oprócz tych w rodzaju: „Kochanie, co chcesz na śniadanie?”.